WYDANIE ZBIOROWE
DZIEŁ
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

WYZWOLENIE

DZIEŁA
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO
WYDANE PRZEZ INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR"

DE PROFUNDIS
HOMO SAPIENS
I
NA ROZSTAJU
II
PO DRODZE
III
W MALSTROMIE
KRZYK
POWRÓT
MOCNY CZŁOWIEK
II
WYZWOLENIE
III
ŚWIĘTY GAJ
SYNOWIE ZIEMI
II
DZIEŃ SĄDU
III
ZMIERZCH
DZIECI SZATANA
SZOPEN A NARÓD

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

WYZWOLENIE

„MOCNEGO CZŁOWIEKA" CZĘŚĆ II.

POWIEŚĆ

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR". SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN
1923

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE
Copyright by „Lektor" nineteen hundred twenty three

№ 418/1

SKŁADY GŁÓWNE:

W LWOWIE:
„LEKTOR", MIKOŁAJA 23
(d. własny) Tel. 525

W WARSZAWIE:
„LEKTOR", SIENKIEWICZA 5
Tel. 253-99

W POZNANIU:
„LEKTOR", RATAJCZAKA 33
Tel. 39-23

W KRAKOWIE:
„LEKTOR", RYNEK Gł. 22

W LUBLINIE:
„LEKTOR", SZOPENA 5

H. NEUMANA

OKŁADKĘ RYSOWAŁ EDMUND JOHN W WARSZAWIE

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA „LEKTORA"

d' Alcoforado: Listy miłosne.
Asnyk Adam: Panna Leokadja.
Barbey d'Aurevilly: Plemię djabła, ilustr. Ropsa.
„ Pieczątka z onyksu.
Bohowityn: Dzieje mężatek.
„ Kobieta z przeszłością.
Bukowski: O kobiecie i o miłości.
Ewers: Alraune.
„ Indje i ja.
„ Mamaloi.
„ Serca królów.
„ Wampir.
Farrère: Człowiek, który zabił.
„ Korsarz z Malo.
„ Ludzie cywilizacji.
„ Markiza Yorisaka.
„ Nasze sojuszniczki.
„ Ostatnia bogini.
„ Panieństwo panny Dax.
France: Bunt aniołów.
„ Czerwona lilja
„ Historja komiczna.
„ Zbrodnia Sylwestra Bonnard.
Garricks: Kobieta, która zabiła.
Gella: Rozmowy o miłości.
Grabiński: Demon ruchu.
Kellerman: Ingeborga.
Louys: Kobieta i pajac.
Maran: Batuala. Powieść murzyńska. Lector-Romania.
A. Nowaczyński: Bajki o księżniczkach i karłach.
„ Facecje z Lodomerji.
Obrzud: Honor Karola Pęksy.
Orkan: Pomór.
Przybyszewski: De Profundis.
„ Krzyk.
„ Homo Sapiens.
Na rozstaju.
Po drodze.
W Malstromie.
„ Mocny człowiek.
Wyzwolenie.
Święty gaj.

Srokowski: Anachroniści.
„ Epigoni.
„ Hedone.
„ Kult ciała.
„ Ich tajemnica.
da Verona Gvido: Życie zaczyna się jutro.
Villers de l'Isle Adam: Ewa przyszłości.
Willy: Małżeństwo Klaudyny.
Zapolska: A gdy w głąb duszy wnikniemy.
„ Antysemitnik.
„ Córka Tuśki (2 wyd.).
„ Fin-de-siecle'istka.
„ I tacy bywają.
„ Jak tęcza.
„ Janka.
„ Jeden dzień z życia róży
„ Kaśka Karjatyda.
„ Kobieta bez skazy.
„ Krzyż Pański.
„ Małaszka.
„ Menażerja ludzka.
„ Modlitwa Pańska.
„ O czem się nie mówi.
„ O czem się nawet myśleć nie chce.
„ One
„ Pan policmajster Tagiejew.
„ Pani Dulska przed sądem.
„ Przedpiekle.
„ Przez moje okno.
„ Rajski ptak.
„ Sezonowa miłość.
„ Śmierć Felicjana Dulskiego.
„ Szaleństwo.
„ Staśka.
„ Szmat życia.
„ Wodzirej.
„ We krwi.
„ Wieczory teatralne.
„ Wirujące myśli.
„ Zaszumi las (2 tomy),
„ Znak zapytania.
„ Z pamiętników młodej mężatki (2 wyd.).
Zbierzchowski: Djabelska przełęcz,

UKOCHANEJ ŻONIE MOJEJ

JADWIDZE

POŚWIĘCAM

I

Lasciate ogni speranza.

Bielecki zerwał się, kopnął stołek nogą, zawstydził się swego barbarzyńskiego odruchu, postawił go prawie pieszczotliwie na tem samem miejscu, na którem przedtem stał, uporządkował pedantycznie manuskrypty i przybory do pisania na stole i jął obchodzić wzdłuż i wszerz ogromny pokój i rozrywać sobie duszę najbanalniejszem szyderstwem:

Słyszałem, że najodpowiedniejszy pokój do pracy, tak zwanej twórczej, jest jak najobszerniejszy, w którym można podczas myślenia dużo chodzić. „Nur ergangene Gedanken sind gut", mówi Nietzsche, co na polski język dałoby się przetłumaczyć i jako też jest przetłumaczone, że najlepsze myśli są „rozchodzone" — całkiem, jak wydeptane kalosze. A więc mam pyszną pracownię, w której

dziennie robię cztery do pięciu mil — następnie nie powinno być w takim pokoju żadnych, albo bardzo mało mebli — zastosowałem się do tego: prócz biurka i bardzo wygodnej otomany — i bardzo miękkiego dywanu, który tłumi odgłos moich kroków — nic więcej: widocznie czegoś innego jeszcze do tego potrzeba.

Inteligencji?

Mam ją, jestem więcej inteligentny, niż przeciętny człowiek, mam jej nawet tyle, że mógłbym nią dziesięciu twórców obdzielić.

Formy literackiej.

Opanowałem ją jak najzupełniej. Wniknąłem nawet w najwyrafinowańsze jej tajniki — znam wszystkie formy od samego początku, aż po dziś dzień.

Wyczytałem w intymnych zwierzeniach wielkiego Rodina zdanie, że, jeżeli chce na coś patrzyć jasno, wtedy pije absynt. Oko jego wtedy zmienia się w soczewkę fotograficzną, zatraca wszystkie ludzkie cechy i funkcjonuje mechanicznie, bystro, jak aparat.

Ale na cóżby mnie się to zdało? Mógłbym wypić cały arsenał butelek absyntu, a co najwyżej nadpsułbym sobie tylko nerki...

Bielecki wybuchnął nagle serdecznym śmiechem.

A toś sobie piwa nawarzył!

A tu cała Polska ma zwrócone oczy na niego i z drżącą niecierpliwością oczekuje od niego jakiegoś nowego, niesłychanego, ha, ha, nową erę twórczości dramatycznej zapoczątkowującego „chef d'oeuvre".

Wybaczcie moi najdrożsi, ja pragnę, ja chcę, morduję się od pół roku i ani w ząb. Przecież ja już dosyć zrobiłem, jeżeli od kompletnej zagłady uratowałem dwa dramaty tego warjata Górskiego, który mi je powierzył, bym je wydał pod pseudonimem Bieleckiego — więc czegoż jeszcze chcecie? A że podobno istniał jeszcze trzeci dramat, który spłonął razem z Meisterwerkami Borsuka — no! o to, to już możecie się kochanej, a wielce drapieżnej Ady zapytać. Mnie tu nie było, zbytnio byłem Łusią zajęty — w każdej chwili mogę moje alibi wykazać — byłem z nią wtedy w historycznem miejscu, gdzie Shelley się utopił. — Łusia kochała bardzo twór Shelley'a — może dla tego z łodzi wyskoczyła, gdy nas motor najechał.

Ja to ogromnie rozumiem, że po pseudonimowych dramatach Górskiego, możecie się

od jego pseudonimu Bieleckiego ogromnie dużo spodziewać, możecie nawet wprost wymagać, możecie powiedzieć: daliśmy ci pieniądze, uwieńczyliśmy twoje skronie nieśmiertelnym laurem sławy, więc teraz wzamian za to: daj nam rękojmię, że twoja przyszłość twórcza, jeżeli nie prześcignie teraźniejszości, to przynajmniej ją potwierdzi.

Słuszne żądanie.

Kupiłem sobie zatem piękne bardzo biurko, ogromny dywan — szeroką otomanę — to też ważne: jeden z wielkich wieszczów mógł tylko wtedy pracować, gdy swoje żądze zaspokoił — wynająłem tak duże mieszkanie, że jakiś genjusz mógłby w przeciągu tygodnia swoje myśli w nim na cały rok rozchodzić, nawet rozdeptać — a tu nic, a nic!

To, co ja miałem do powiedzenia, powiedział Górski i jeszcze się podstępnie podszył pod moje nazwisko — on i ja... ha, ha, ha! doszczętnie się wyczerpaliśmy — on stchórzył, wziął odemnie cyankali, chciał Łusi zademonstrować, jak się umiera, i przypadkowo rzeczywiście umarł! I ja pozostałem biedny sierota z tym straszliwym ciężarem na moich barkach.

Lessing powiedział, że każdy twór swój

wydobywał z siebie kleszczami porodowemi — i ja tego spróbowałem: namarnowałem się długie dnie i noce, ale widocznie za silnie ścisnąłem łeb noworodka, i przyszedł poroniony i martwy na świat — aż wstyd byłoby tę poczwarę pokazać.

Czytałem, że Ibsen matematycznemi kreskami budował swoje dramaty. Jestem dobrym matematykiem — cały miljon formuł postawiłem, zaszeregowałem — ułożyłem z nich bajeczne równanie...

Ha! ha! ha!

Bielecki rzucił się na kanapę: rozpaczliwe, konwulsyjne drgania kurczyły i wstrząsały jego ciało.

Zerwał się nagle na równe nogi.

Opamiętaj się!

Stał się nagle poważnym i wolnym, ociężałym krokiem począł obchodzić obszerny, prawie pusty pokój.

Pomówmy z sobą teraz poważnie.

O tem, żebyś mógł coś tworzyć, mowy niema — ostatni dzisiejszy wysiłek, ostatnie rozpaczliwe twoje podrygi w kierunku tworzenia nie tylko że na niczem spełzły, ale przyniosły ci ostatnią, ostateczną porażkę, że żadną inteligencją, żadną, choćby najwyrafino-

wańszą znajomością tak zwanych prawideł sztuki — nic stworzyć nie można.

Prawda?

Poczekaj — my się porozumiemy.

Aby tworzyć, trzeba mieć pamięć przed pamięcią — doskonale! Michał Anioł w to święcie wierzył...

Aby tworzyć muśi istnieć między olbrzymim materjałem nagromadzonym w twoim mózgu a jakąś odwieczną iskierką — tak — tak! doskonale to nazwano: iskierką — jakiś tajemniczy kontakt — jakaś głupia drobinka obsuwa się głębiej i głębiej, drucik zapala się o iskierkę i następuje eksplozja... ha! widzisz, tak się dzieje! Rozporządzasz, braciszku, onym materjałem, ale tej iskierki niema.

Przez miljony wieków ludzie tę odrobinę praognia tak między siebie rozdrapali — a! złodzieje! każdy geniusz, każdy talent chytrym, podstępnym złodziejem — wszystkie iskierki, każdą odrobinę ognia tak zdążyli wykraść, że dla ciebie, biedny Bielecki, nic — nic — ani jednej iskierki nie zostało. A ten Górski — ten — ten, który mego nazwiska jako pseudonimu zużył — cały krwawy ciężar swojej niemocy na moje barki zwalił, ten ostatni z złodziei...

Bielecki przestał panować nad sobą.

Stanął — wyprężył się, rzucił się na stos papierów leżących na stole, podarł je w drobne kawałki — ciskał na podłogę, tratował nogami i nagle ochłonął.

Zwiesił ciężko głowę na piersi, coraz cięższym, coraz powolniejszym krokiem obchodził pokój dookoła — wstydził się sam przed sobą—nigdy jeszcze takiego wstydu nie doznał.

„Lasciate ogni speranza", huczało mu bezustannie w mózgu.

Dramatów im się chce—zerwał się wściekły — dramatów w ogrzewanych teatrzykach z ładnemi aktorkami, jurnymi aktorami — oh! psia krew — niech was jasny piorun spali — tysiące przekleństw bluzgały spienione usta mocnego człowieka. Chcecie dramatu, ja go wam pokażę: na wały! na barykady! sam jeden przeciw tysiącom pójdę, tysiąc oszczepów zgarnę w moje ręce: niech w moje piersi się wbiją, by dla was miejsce zrobić—na nic! oni chcą papierowego dramatu z aktorkami o przednich i tylnych tęgo utoczonych piersiach — z rosłymi i możliwie głupimi aktorami.

Ha, ha, ha!

Politycznie całkiem niedojrzały naród!

Wolą deski teatralne miast barykad—wolą

fartuszki nierządnic, miast szmat, któremi się krew, z piersi buchającą tamuje...

Bielecki skinął głową — jakaś ciężka mgła zaległa jego mózg — szukał czegoś po podłodze, rękoma obmacywał stół i nagle rozjaśniło mu się w mózgu.

Aż podskoczył z przerażenia.

Przystanął na środku pokoju, nie chciał sobie samemu przyznać, że to wszystko, co przemyślał dotychczas, całkiem dla niego obce, od kierunku jego własnego myślenia niezależne: przemocą zerwał tok myśli.

Teraz, pomyślał, nastrój gębę na nutę ironji, ale nie gorzkiej, tylko kpiącej, nawet bez szyderstwa, poniekąd dobrotliwej, wydmij wargi trochę pogardliwym, ale z lekka dobrodusznym, a w razie przekory, łatwym do złośliwego parsknięcia śmiechem: ot tak!

Brodę podeprzyj jedną ręką, przegnij się naprzód — drugą baw się papierosem: tak — doskonale!

Czujesz teraz, jak się wszystkie twoje myśli odpowiednio formują? Hę?

Zmrok zapada... i przez duże szyby okien twojej pracowni śnieg pada... pada...

Zaprosiłeś jakieś tałałajstwo, aby narodziny Rabi Jeschua, umęczonego za czasów Piłata

Pontskiego, który onemu faktowi Bogu ducha winien, godnie uczcić — prawda?

A juści! zachichotało to w nim, jak młody śmiech dziewczyny, która na łące tuż przy rzece bieli płótno, a psotny parobek ją za kieckę tarmosi.

A więc... teraz już był całkiem rozbawiony.

Trzeba się odświętnie przybrać.

Jeszcze mam dużo czasu do myślenia i do czynu — przejdę się po gwarnych ulicach.

Wdziewał na siebie świeżą bieliznę.

I odświętną minę trzeba przybrać — wpół poważną, ujmującą, z maleńkim odcieniem dystansu...

I, aby uroczystości nadać więcej świątecznego charakteru, trzeba wziąć smoking.

O! tak!

Czyścił starannie ubranie, pozapinał się na wszystkie guziki i nagle zrozumiał jedyny jeden powód do samobójstwa: przypomniał mu się jakiś Anglik, który po głębokiem rozważeniu, ile razy na dzień tę samą ilość guzików będzie musiał zapinać, z rozpaczy życie sobie odebrał.

A teraz „full dress" — „tipp — topp" — teraz możesz się między ludźmi pokazać.

Włożył pieniądze do portfelu, szczelnie po-

zapinał guziki palta, z pedantyczną troskliwością zamknął drzwi mieszkania.

Na schodach przystanął.

— A może w pokoju pozostała jakaś tląca się zapałka — Chryste Panie, gotowy pożar! Wszystkie drogocenne manuskrypta mi się spalą!

Parsknął serdecznym, długim śmiechem.

II

Na ulicy spojrzał na zegarek. Nic nie widział, bo śnieg padał gęstemi płatami; podszedł do latarni.

Dopiero piąta, i już zupełna noc. Prawda, że to grudzień i właśnie, jak na przekór Wigilja Bożego Narodzenia.

Gdy zrobił to przenikliwe spostrzeżenie i chwilę pomyślał, dlaczego właśnie dziś ta przekorna wigilja, szedł dalej.

Tak już błądził od godziny po głównych ulicach, poprzecznych, ciemnych uliczkach, zaułkach — nie miał w sobie spokoju, gnało go przedsię, nie pozwalało mu ani na chwilę spocząć, bo w futrze gorąco mu było i pot lał się strumieniami z czoła, nie pozwalało mu wstąpić do kawiarni, by się rozgrzać — bo właściwie równocześnie i zimno mu było — wewnętrzne dreszcze raz po raz od stóp do głów go przechodziły.

Dopiero piąta, pomyślał, a na siódmą prosiłem tę hałastrę na wieczerzę — dlaczego to właściwie zrobił? I na przekór właśnie dziś — uśmiechnął się — wiem doskonale, dlaczego to „na przekór" bez końca w moim mózgu dzwoni, ale ani mi przez głowę nie przechodzi, by się dłużej nad tą kwestją zastanawiać.

Mocni ludzie nigdy się nie zastanawiają: ich czyny to tylko nagłe wulkaniczne wybuchy, samorzutne... wola ich... Ha, ha... jaka wola? co za wola? napięcie efektu, wyładowanie potężnej jakiejś namiętności, która się w motorycznym odruchu ukazuje... Ohé les psychologues! a moim motorycznym odruchem, czyli wolą: to zabawić się trochę z sobą. Zobaczymy, która wola silniejsza, czy ten kot, czy też ta druga, ten pęcherz, który napełniłem grochem i przywiązałem owemu kotowi do ogona.

Jedna wola nie chce — kot nie chciał skakać, warjować i ciskać się — druga wola chciała i przyczepiła mu się do ogona — ha, ha, zobaczymy, co z tego wyniknie?

Jedna wola nie chciała zabijać, druga zaś chciała, więc trzeba było tę pierwszą zmusić — właśnie na przekór.

Jedna wola pociła się w śmiertelnym stra-

chu na myśl, że może unicestwić jakieś młode życie, więc trzeba było ryknąć śmiechem na pohybel tej pierwszej — właśnie na przekór — i Łusia poszła na dno.

Na przekór! Jeżeli człowiecze — a rozważ to dobrze — możesz żonglować tysiącem wolami, które się w tobie ścierają, wtedy stajesz się mocnym człowiekiem.

Maëstrję w tym kierunku osiąga tylko człowiek z nad-wolą: trzeba długiego i mozolnego trainingu, rodzaju umartwiania siebie samego, trzeba długiej askezy, oczywiście całkiem innej, jak ta, w jakiej nasi święci lub też fakirzy indyjscy żyli — ale zawszeć to mozolna droga.

Ba, ba — ci wszyscy ludzie czynu, ci zwykli mocni ludzie, to proste chamy — ma w sobie siłę byka, żywiołowy nadmiar sił, który się w ten lub ów sposób wyładować musi — nawet Napoleon był takim chamem— Bielecki splunął pogardliwie — ale umieć zabawić się z sobą, robić rozmyślnie to, czegoby się robić nie chciało, sprzęgać wszystkie wole w jedną i na tysiączne części znowu je rozrywać, trzeć jedną o drugą, skręcać na postronki, rozkręcać na delikatne włókienka — to jest istotną mocą, to znaczy zapanować

już nie nad sobą, ale nad wszystkiemi losami swojemi i innych — to znaczy stawać się powoli Bogiem.

Tak, istotnie tak! To byłoby wszystko bardzo piękne, gdyby to były moje oryginalne myśli, ale to jest pogmatwana laurowość i ciemność p. Górskiego, któremu ja po jego przedwczesnej i rzewnie opłakiwanej śmierci razem z Łusią wykradłem manuskrypta, a potem po gruntownej korekcie, poprawkach, zmudnem rozwikłaniu szypłów i poplątanego kokonu myśli, wydałem, jako swoje, co mi przyniosło i sławę i pieniądze.

Nie jest to miłem sobie przyznać, ale ponieważ jestem mocnym człowiekiem, więc właśnie na przekór, po miljonowy już raz prawdę wyznaję, bo tylko słabi ludzie się okłamują... i nie mniej przykrą rzeczą powiedzieć sobie: nie masz odrobiny talentu, za to Górski go miał, a ty teraz jego myślami żyjesz i dobrze je spieniężyłeś, ale na taką odwagę; czyli czynienie sobie samemu na przekór, stać tylko znowu mocnego człowieka.

Ha, ha, ha!

To byłoby już dostatecznie udowodnionem.

Prawdą wobec siebie, a okłamywaniem

drugich — oh! to niby to moich bliźnich — kapitalne! prawdą w cnocie czy w zbrodni umieją żyć tylko ludzie mocni... Cnota... zbrodnia... br! Co za nieczysty sposób myślenia, jaki brudny, taki brudny, że wytworny pan Piłat musiał sobie ręce obmyć, gdy posłyszał słowa: dobro — zło.

Tak długo czynić sobie na przekór, aż się wszystkie wole, ich narowy, szczekania, rżenia, podrygi i wyskoki dokładnie pozna; wtedy wszystkie je ujarzmić — i owszem — tak! swej nadwoli powolne uczynić.

Chciało mi się dziś pozostać w domu z moją drapieżną kotką — właśnie na przekór sprosiłem całą tę hałastrę na tradycyjną wieczerzę wigilijną, — i moja Ada będzie musiała, chcąc nie chcąc, sprawować funkcję gospodyni.

Jesteś podniecony, panie Bielecki...

Oczywiście, to prawda: zabrakło mi talentu, bo wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedział nieboszczyk pan Górski. — Jestem podniecony, bo tu są krańce i zapory dla mocnego człowieka i jego tysiąckrotnie rozgałęzionej woli. Wolą nie można tworzyć — rozwalać tak, ale tworzyć — nie! Jeżeli mocny człowiek coś tworzy, to jest chamem, bo wola

go opanowała i w zamian za to daje mu większą lub mniejszą drobinę talentu — kto zasię wolę opanował, wyczerpał się w tym wielkim akcie parthenogenetycznej mocy: nie stać go już ani na pisanie dramatów, ani powieści lub liryk i tym podobnego śmiecia.

A tu cała Polska wytężyła oczy swe właśnie w tym kierunku!

Psia krew! nieprzyjemna historja — istotnie nieprzyjemna, bo jedyną cechą mocnego człowieka jest pragnienie panowania — to już trudno i darmo — to jest poza obrębem woli — to jest mojem ja, a nad tem już królować nie można. — A, jak tu panować, kiedy wszyscy z rozwaloną gębą czekają, co mistrz powie, a mistrzowi konceptu zabrakło, bo ten bałwan Górski za rychło się otruł...

I tak szedł Bielecki w ciężkiem zamyśleniu i, jak sam sobie przyznawał, szukał stołka, na którymby mógł pewnemi nogami stanąć, bo ten dotychczasowy okazał się za kruchy i czerw go toczył.

A śnieg padał coraz gęściej, sypał mu się za kołnierz futra, więc go podniósł, światło lamp elektrycznych go raziło, przytem w tym tłoku ustawicznie ktoś go popychał, więc, aby

się obronić przed temi wszami, czyli ludźmi, skręcił w boczną i pustą ulicę.

Zaledwie parę kroków uszedł, ktoś mu drogę zagrodził. Zdumiony spojrzał uważnie: bałwan śnieżny, czy co — ależ nie, to jakaś nędzarka.

— Wielmożny panie, ulituj się — ulituj! błagam na wszystko... jednem ramieniem trzymała jakieś całkiem ośnieżone zawiniątko, a drugą schwyciła kurczowo Bieleckiego za ramię: — zmiłuj się panie — tu — tu — moje dziecko umiera... niech ja pod płotem zdechnę, ale ratuj mi dziecko, ja mam tu receptę — nie mogę lekarstwa kupić — ratuj mi, panie, dziecko!

Bielecki szarpnął ramieniem.

— Wynajęłaś za pięć groszy dziennie dziecko i chcesz politowanie budzić...

Padła na kolana:

— Na Boga się zaklinam, że dziecko mi umiera. Człowieku! zaklinam, ulituj się!

Może to prawda, albo też jakaś dzielna aktorka w rynsztoku marnieje.

— Wyj, wyj! aż policja nadejdzie, to się tobą zaopiekuje...

Czekał.

Kobieta w głuchej rozpaczy przykucnęła

do muru — przycisnęła zawiniątko silniej jeszcze do piersi — a śnieg padał — padał...

Bielecki był zachwycony sobą: widzisz, tak dobrze zrobiłeś, już sięgałeś do kieszeni głupim odruchem — ale wolę już tak wytrenowałeś, że głupie odruchy wyeliminowane.

Był dumny z siebie, zwycięskim krokiem szedł naprzód i powtarzał: tak dobrze — skutki dobrego trainingu woli.

Uszedł kilkanaście kroków i zatrzymał się. Dobrze? Aha! więc wola swoją misję skończyła: więc teraz jej na przekór:

Nawrócił i stanął przed nędzarką, która, jakby skamieniała, zastygła siedziała przy murze i najmniejszej uwagi już na niego nie zwracała.

Bielecki szturknął ją.

Spojrzała na niego osłupiałemi oczyma.

— Czego chceta? — charknęła.

— Chodź ze mną.

— Dajta mi spokój — ja z dzieckiem razem chcę zdychać.

— Ja dziecko ci uratuję.

Dźwignęła się nagle, jakby ją prąd elektryczny poderwał.

— Panie, zbawicielu — skomlała i wlokła się za Bieleckim.

Aha więc to ani oszustka, ani aktorka, tylko prosta matka — mógłbym teraz na przekór obecnej mej woli kopnąć ją nogą i powiedzieć: „czego mnie się czepiasz“, ale to już z wolą nie ma nic do czynienia i byłoby ordynarnem, a więc nieestetycznem.

Szli w milczeniu. Skręcili w boczną ulicę — parę kroków dalej widniała apteka.

— Daj receptę.

— Zbawicielu — tu — tu! — drżącą ręką podała mu rozmoczony prawie papier.

Spojrzał na nią bystro.

— Nie wierzyta, wielmożny panie? chodźcie czemprędzej chodźcie...

Weszli do apteki.

Kobieta siadła pokornie w kącie ławy. Bielecki podszedł do aptekarza, podał mu receptę, pogadał z nim, dał obszerne dyspozycje.

— Ależ na to wszystko kosza potrzeba— zaśmiał się aptekarz.

— Oczywiście, więc właśnie proszę dać jej cały kosz.

— Zobaczę tylko, czy jaki znajdę — i aptekarz wyszedł na chwilę.

Bielecki odwinął chustę z zawiniątka i ujrzał maluteńką, siną twarz wynędzniałego

dziecka — natychmiast zakrył z powrotem chustkę — nie lubiał takich widoczków.

Spojrzał na matkę, była wpatrzona w niego, jak w obraz cudowny. Wsunął jej do ręki dziesięć rubli.

— Powiadam wam, że dziecko niedostatecznie ochrzczone, trzeba je będzie raz jeszcze porządnie ochrzcić — jak przyjdziecie do domu, to wylejcie dziecku cały kubeł zimnej wody na głowę, a wtedy będzie w sam raz ochrzczone i stanie się od razu aniołkiem.

Kobieta patrzyła na niego osłupiała, przerażona, usta otworzyła, chciała coś powiedzieć — ale w tej chwili powrócił aptekarz.

— Wszystko będzie załatwione — ukłonił się grzecznie.

Bielecki zapłacił z góry cały rachunek, uścisnął serdecznie rękę aptekarza i wychodził.

Kobieta zerwała się — nie mogła nic mówić, tylko usta jej drgały w dziwacznych skurczach.

— Powiadam wam raz jeszcze, że dziecko trzeba porządnie ochrzcić, a dziś jeszcze będzie w raju.

Chciała mu drogę zastąpić, ale odtrącił ją lekko, iwyszedł na ulicę.

Był uradowany: znowu psikusa sobie urządził — najlepsza metoda trainingu: zawsze sobie samemu na przekór: to jedyna droga do mocy — piekielna, mozolna, ale jedyna.

Śnieg przestał padać, w aptece się rozgrzał, rozpiął futro, wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i spojrzał na zegarek.

Jeszcze pół godziny czasu — niech ta hałastra trochę poczeka i pani Ada trochę się poniecierpliwi — to im całkiem nic nie zaszkodzi.

Skręcił znowu na główną ulicę. Na samym rogu stał wielki magazyn zabawek, a okno wystawowe, jak plaster miodu przez pszczoły, oblepiony dziećmi: całą tą nędzą, spłodzoną w norach piwnic podmiejskich, wychowaną na śmietnikach, niechlujnych podwórz, a wywabioną teraz pragnieniem, by choć zdala, przez szyby, ujrzeć te cuda wyśnionego, a niedostępnego raju.

Bielecki przystanął i z cichym uśmiechem jął się dzieciom przypatrywać.

Ten jeden z tą ponurą gębą i zaciśniętemi pięściami: przyszły nożownik, mściciel krzywd — ha, ha — doskonały! Ten drugi, jak chytrze jego małe ślipki latają od jednego do drugiego przedmiotu: zawodowy złodziej

kieszonkowy. Tamten znowu, z pogardliwie wysuniętą wargą, a chciwie jarzącemi się oczyma: urodzony zbrodniarz. Ale największą radość sprawiały mu dziewczynki: widział całą ich przyszłość: zawłóczone do domów rozpusty w Buenos Aires — daleko — daleko — rozrzewniająco daleko, potem gnijące w szpitalu. Tamte znowu w błocie i śniegu wyczekujące zbawiciela, tłuczone przez pijanych mężów, maltretowane przez rozbestwionych alfonsów.

Dusza jego radowała się niedaleką a tak wspaniałą przyszłością mścicieli krzywd społecznych, ha, ha — doskonałe powiedzenie.

W tej chwili wybiegł ze sklepu subjekt.

— Precz mi stąd, złodziejska hołoto!

Bielecki podszedł do rozłoszczonego subjekta, skłonił mu się grzecznie.

— Wcale nie precz — przeciwnie, ja tym dzieciom chcę gwiazdkę sprawić, pan zrobi dobry interes.

Subjekt popatrzył, jak na warjata, ale widocznie drogie futro Bieleckiego tak mu zaimponowało, że się nizko pokłonił.

— A to co innego...

Dzieciaki cofnęły się parę kroków i w zbitej gromadce oczekiwały, co z tego będzie.

Subjekt roztworzył na oścież drzwi.

— Chodźcie — dostaniecie zabawki...

Dzieciaki stały nieufne, jedno drugie potrącało, ale żadne się nie ruszyło — wreszcie jedna dziewczynka podeszła rezolutnie do pana w futrze, wziął ją za rękę i wprowadził do sklepu...

— Ty najrychlej pójdziesz na dno — pomyślał.

Po chwili wkroczyła nieśmiało cała gromadka i tłoczyła się przy wejściu.

— Śmiało, śmiało, zachęcał subjekt:

Z głębi wypadł na te niespodziane odwiedziny zaperzony szef.

Bialecki zastąpił mu drogę.

— Ponieważ nie należę do żadnego stowarzyszenia dobroczynnego więc — wyciągnął banknot z kieszeni — na własną rękę chciałem tak zwanym biednym dzieciom gwiazdkę urządzić.

Na widok banknota szef głęboko się pokłonił.

— O! do tej wysokości — położył dwadzieścia rubli na ladzie — sprawdzać nie potrzebuję, bo pańska rzetelność ogólnie znana — podał mu rękę i niespostrzeżenie wyszedł. —

Skradał się po prostu: dzieciaki gotowe były za nim wybiec, jak owce za baranem...

Na ulicy przystanął...

Jednak to męcząca rzecz te trainingi woli w tę i ową stronę...

Ziewnął i spojrzał znowu na zegarek.

Ot, teraz już czas — trzeba się spieszyć, by z gorszymi jeszcze nędzarzami tradycyjną wieczerzę spożyć.

Przeszedł przez ulicę wsiadł do dorożki.

— Do Schütta!

III

Dzisiejsza, tak uroczysta i dla każdego serca polskiego tak nieskończenie,..

Tu młody człowiek, który dla całego towarzystwa istniał pod nazwą Chrześniaka, utkwił na chwilę, przestępując z nogi na nogę...

— Banalna — podszepnął siedzący obok niego barczysty, szeroki, rozsadzisty Kotowicz.

— A tak — ta dzisiejsza nietyle banalna, ile wyniosła, i odwieczną tradycją uświęcona wieczerza wigilijna, skupiła nas bezdomnych, po wszystkich punktach miasta rozsianych pracowników wiedzy, sztuki, i jak zwykle, tak przedewszystkiem teraz...

Chrześniak znowu otarł pot z czoła.

— No, skończ-że raz wreszcie! — Kotowicz dał Chrześniakowi szturchańca.

— Panowie, panie — przepraszam — panie i panowie — zważcie, że stało się to je-

dynie z powodu iście magnackiej munificencji naszego ukochanego mistrza, chluby naszego narodu, który, otworzywszy nam okno na Europę, raczył tu nas zebrać, w naszym kółku.

— Ostatnią wieczerzę spożyć — podszepnął Kotowicz.

Tym razem jednak Chrześniak się zorjentował.

— Przepraszam, nie powiedziałem ostatnią, ale chciałem powiedzieć rzeczywiście dostojną, duchową biesiadę nam zgotować.

Cały stół ryknął niepohamowanym śmiechem.

Chrześniak, chwiejąc się na wszystkie strony, nawpół nieprzytomny, zaperzył się.

— Wam się zdaje, że ja brednie plotę — w głosie jego przygrywała muzyka pijackiego śmiechu.

— Ja chciałem dać wyraz mej i waszej wdzięczności dla mistrza Bieleckiego.

— No widzisz, ośle! trzeba było od razu to powiedzieć — wrzasnął Kotowicz. — Bielecki niech żyje!

— Niech żyje! — krzyknęła cała gromada biesiadników, sproszona przez Bieleckiego w napadzie magnackiej munificencji na wieczerzę wigilijną.

Bielecki spojrzał na Chrześniaka ciężko znużonemi oczyma.

— Dałbyś spokój tym bredniom — jeszcze ósmej niema, a już się upiłeś, wycedził zwolna.

— Ja, mistrzu, ja pijany? Ależ ja ci tylko niepomiernie wdzięczny!

Kotowicz pociągnął Chrześniaka za kurtkę i osadził go na krzesełku — gwar głosów pochłonął resztę gorzkich żalów Chrześniaka.

Bielecki wstał.

— No, moi państwo, dosyć się wysiedzieliśmy od pierwszej gwiazdy, przejdziemy się do drugiego pokoju, a tymczasem kelnerzy tu sprzątną.

Zadzwonił.

— Co pan rozkaże — kelner przyzwyczajony do sutych napiwków Bieleckiego, patrzył na niego z nabożną czcią.

— Czy salonik obok ogrzany?

— Jak pan rozkazał.

— Wino, wódka, likiery, kawa?

— Wszystko, jak pan zadysponował.

No — to teraz mogą się uraczyć, pomyślał Bielecki z jakąś złą, zirytowaną pogardą — będą się mogli spić, jak nieboskie stworzenia.

Całe towarzystwo przeszło do przyległego

saloniku, miłego, zacisznego, i jak słusznie zauważył Chrześniak, bardzo intymnego.

Kotowicz okiem wytrawnego znawcy objął już nie oczyma, ale całem skupionem, wytężonem swojem Ja, bufet zastawiony z „iście magnacką munificencją".

Ten Chrześniak, pomyślał, nie jest jednak tak głupi, znalazł przecież odpowiedni wyraz — dla tego — no, jak się on nazywa?

Kotowicz uśmiechnął się złośliwie — dla tego porodzonego w szczęśliwym czepcu — aha! Bieleckiego...

Resztą goni, ale porządny chłop — stawia się.

— Bawcie się teraz, ile wam tylko sił i ochoty starczy — Bielicki silił się na swobodną serdeczność.

— Dobroczyńco nasz! — miliła się Cesia z kabaretu, ochrzczonego „Sprośnym Marchołtem" — patrz, jak Miecia jest wzruszona!

Nieodstępna Cesi Miecia zrobiła rzeczywiście wzruszoną minkę...

— Myśmy myślały, że ty wielki i sławny, całkiem o nas zapomniałeś, nie raczysz nas poznać, a tyś jeszcze kochańszy, jak dawniej...

— Pamiętaj mistrzu — szczebiotała Cesia — to ten sam salonik — obejrzała się

dookoła — istotnie ten sam — pamiętam jak dziś — ten, ten, ostatni raz przed twoim wyjazdem za granicę w nim Łusia siedziała...

— Aha! prawda — Bielecki lękał się, czy przypadkowo nie przybladł, — a istotnie tam siedziała Łusia, a wyście tańczyły macziczę,

— Rozpoczniemy kolendą, tak przykazuje tradycyjny obowiązek — Karska, która przez cały czas śledziła z natężoną uwagą każdy ruch Bieleckiego, wtrąciła się do rozmowy.

— Kolenda! Kolenda! Brawo! Kolenda!

Wszyscy byli niezmiernie zadowoleni z tego pierwszego punktu programu.

Karska siadła do fortepjanu, i za chwilę rozległ się śpiew całego towarzystwa:

„Jezu malusieńki
Nagi calusieńki".

Bielecki siadł w rogu kanapy na przeciwległym końcu pokoju.

Tak, tam pod tą ścianą siedziała istotnie Łusia... No, i cóż z tego? tam tysiące niewiast siedziało — żyjących, zmarłych już — dawno już zgniłych w łonie świętej matki ziemi, a może i na dnie Ocanu, albo w jakiejś zatoce, a nawet w porcie w Spezji, bo i takie wypadki chodzą po ludziach — ha, ha, ha...

Chciał jakąś głuchą, ponurą zadumę na dnie duszy zagłuszyć cynizmem, ale bezustannie, przy każdym rozmachu, by to coś ciemnego, co mu się na duszę zwaliło, rozproszyć, uczuwał niesmak i wstręt do siebie i swego otoczenia.

Hartu i mocy cynizmem się nie zastąpi, pomyślał gorzko — a mnie się zdawało, że jestem mocnym człowiekiem.

Oprzytomniał i przeląkł się.

— Co — co? To już tak źle ze mną? No patrzcie: bohater, mocny człowiek rozmazgaił się, zrobił się galaretką na wspomnienie Łusi. Aleć prawda, nawet Napoleon ronił łzy nad losami Werthera — a mnie się tylko miękko na sercu zrobiło na wspomnienie pieściwej Łusi, która, nawiasem mówiąc, mogłaby mnie była pięknie ubrać...

Spojrzał w stronę fortepjanu — Karska akompanjowała do kolendy.

O słodka zbrodniarko, pomyślał nienawistnie, jak teraz jej głos płacze nad nagim Jezusienkiem.

Przypomniała mu się słynna trucicielka, która o mało co nie zabiła kłonicą woźnicę za to, że się znęcał nad koniem. A może tego samego dnia truła z jak najzimniejszą

krwią, już niewiadomo którego z rzędu kochanka.

Tak! z temi rzeczami powinien sobie mężczyzna dać spokój — jedynie kobieta umie w nich być konsekwentną — nie napróżno jej ojcowie kościoła duszy odmawiali.

Wstał ociężale i podszedł do bufetu.

Za bufetem, tyłem do niego zwróceni, siedzieli przy stoliku Kotowicz z Chrześniakiem i Gajewskim, i pili szampana pół nawpół pomieszanego z koniakiem.

— Rzadką minę ma nasz gospodarz — przez cały wieczór nic nie pije, i prawie się nie odezwał — Gajewskiego trapiła czkawka

— Osioł jesteś — nie znasz procesu tworzenia. On nowy dramat obmyśla — od dwóch lat nic nie napisał, a tu cała Polska ma oczy na niego zwrócone — jeden mu się, jak na złość, spalił, i dostał takiego choc'u, że jego treści zapomniał. — Kotowicz śmiał się szyderczo. — To nie łatwa rzecz przypomnieć sobie coś, co się napisało w twórczym transie. — Inspiracją to nazywają — inspi-ra-cją — ha, ha, ha...

— I — i... — zaświegotał Chrześniak — ta jego muza, ta Egerja... cha! wesolutka, milutka Łusia poszła, tak ni stąd ni zowąd, pod mo-

tor, mimo, że nasz mistrz dwukrotnie wskakiwał do wody... a... a... co ja to chciałem powiedzieć? a prawda! bestja pływa, jak kaczka — dwa razy tam i z powrotem przez Wisłę — widziałem — dalibóg — widziałem na własne oczy...

Bielecki zgrzytnął zębami — czekajcie, jeszcze mnie popamiętacie, pomyślał — podszedł wesoło do stolika.

— Zdaje się o mnie była mowa — Chrześniak ma słuszność — niema nikogo, ktoby Wisłę dwa razy tam i z powrotem przepłynął: on widział, że ja tego dokonałem.

Chrześniak był strapiony.

— Ale o czem to przedtem była mowa — pytał niewinnie Bielecki — żeście aż na Wisłę wjechali.

— Wyliczaliśmy wszystkie twoje zasługi — Kotowicz ratował sytuację — mówiliśmy o twoim skoku do wzburzonej zatoki, by ratować tonącą Łusię...

Bielecki spojrzał na Kotowicza: jak ostre sztyleciki wyskakiwały z jego oczu promyczki nienawiści... Z tym prędzej, czy później będę się musiał zmierzyć na śmierć i życie —

— A istotnie, gdyby mnie te głupie małpy włoskie nie były przemocą zatrzymały, był-

bym Łusię niechybnie wyratował — zamyślił się — jak w jasnowidzeniu widział już w bliskiej przyszłości chwilę porachunku z Kotowiczem.

— A jeszcze przedtem zdradził nam Kotowicz, że mistrz ma nowy dramat na ukończeniu — wtrącił Chrześniak, szczęśliwy, że go Kotowicz „wyrąbał"...

— Oczekujemy z niecierpliwością, a tymczasem pijmy na pomyślność i wydajność pracy naszego mistrza.

Bielecki znowu pochwycił iskry szyderstwa w oczach Kotowicza — aha! wybierasz zatrute szpady, niezadługo będę ci służył...

Trącili się kieliszkami.

Bielecki obejrzał się po saloniku. Po odśpiewaniu kolendy zapanowała przy fortepjanie chwila melancholijnego milczenia, w której ta ukochana jego trójka, a przed którą musiał się mieć na baczności, wypowiedziała się o nim — Teraz po dwóch, czy trzech kieliszkach szampana było już rojno i gwarno.

Naprzeciw przy fortepjanie stała Karska, rozbawiona sceną zazdrości między Cesią i Miecią — opodal grupka młodzieńców, rozprawiających zapamiętale o bojkocie uniwersyteckim — a całkiem w kącie jakiś młody

człowiek, którego, zdaje się, Ciesielski mu przedstawiał, ale Bielecki nazwiska nie dosłyszał. Widział tylko, jak się uporczywie, i jakby w zachwycie wpatrywał w Karską.

— Mam gościa, którego nawet nazwiska nie znam — rzucił niedbale — trzeba się z nim zapoznać bliżej.

— Ty nie wiesz, jak on się nazywa?! toć to Poraj — baron, czy nawet książę, wciągnął go tu Ciesielski, byli razem w gimnazjum. To miljoner — psiakrew — siedzi w kącie, bo nie chce się z tą hołotą wdawać. — On tylko dla mistrza samego przyszedł, a może i dla panny Ady, bo ją oczyma pożera — Kotowicz rozśmiał się cynicznie.

Bielecki podszedł do Poraja.

Poraj wstał nieśmiały i zmieszany.

— Ależ niech pan siada.

Bielecki siadł obok niego.

— Dlaczegoż pan tak samotnie?

— Mnie teraz właściwie przykro, żem się dał koledze Ciesielskiemu namówić — ale tak bardzo pragnąłem pana poznać — kilkakrotnie widziałem dramat pana na scenie...

Bielecki się skrzywił — Poraj w lot się zorjentował.

— Pan wybaczy tę ciekawość — ja nie

gonię za sławnymi ludźmi, ja chciałem tylko poznać człowieka, który mną tak głęboko wstrząsnął — a tu zaszła taka niemiła rzecz, że pan tu jest gospodarzem — a ja zupełnie bez mojej winy prostym intruzem.

— Pan przez to chce powiedzieć, że panu niemiło być moim gościem.

— Niech Bóg broni — Poraj był silnie zmieszany — ja tylko...

— Nieproszonym gościem — rozśmiał się Bielecki serdecznie. — No — to mogę pana zupełnie uspokoić — jestem Ciesielskiemu wdzięczny, że pana przyprowadził, a przy najbliższej sposobności, wiedz pan, że jesteś pan na pierwszem miejscu między tymi, których zaproszę.

— Ale czem ja na to zasłużyłem? — Młody chłopak wstał zaczerwieniony cały.

Bielecki obrzucił Poraja błyskawicznem spojrzeniem — magnat „every inch", pomyślał.

Zdumiała go wytworność i męska piękność w tak młodym wieku.

— Tem, że i ja mam sposobność pana poznać — ale nie mówmy już o tem.

Karska podeszła nieznacznie ku nim. Młody chłopak zerwał się — Karska spojrzała pytająco na Bieleckiego.

— A, pewno nie dosłyszałaś nazwiska: książę Poraj.

Karska podała mu z przyjaznym uśmiechem rękę, nad którą Poraj głęboko się pochylił.

— Ależ usiądźmy — tam przy tym stoliku będzie nam zaciszniej...

Siedli obok.

Lokaj, który bacznym okiem doglądał, by goście jego pana — tak Bieleckiego nazywał — czemprędzej się spili, podał szampana i trzy kieliszki.

Dzięki Karskiej rozmowa zawiązała się szybko i gładko się toczyła. Poraj odzyskał całą swoją swobodę, coraz mniej czuł się skrępowanym. Bielecki zapuszczał teraz z całą zimną krwią sondę w jego duszę.

Rzadki okaz księcia, myślał — piękny, dorodny, wytworny, bardzo inteligentny, zdaje się coś pisze, wiersze, czy też dramaty, mięka, tkliwa, zapalna natura — a przytem podatna — i do tego wszystkiego miljoner — spojrzał na Karską — na jeden błysk schwyciły się ich spojrzenia, zrozumieli się.

— Jak się pan tu dostał w tę gromadę cyganerji, wyklętej przez dobre, a tembardziej

pańskie towarzystwo? — pytała z wdziękiem Karska.

— Otóż, proszę pani, ja do żadnego towarzystwa nie należę.

— To wielki luksus, na który sobie tylko albo ostatni biedacy, albo też wielcy magnaci pozwolić mogą — wtrącił Bielecki.

— I wielcy ludzie, jakim pan jest — ja przepraszam, że użyłem tego banalnego określenia, ale są uczucia, w których gorącej szczerości wszelka banalność stapia się doszczętnie.

— No, ale opowiedz pan.

— Nikogo tu nie znałem, przypadkowo spotkałem pana Ciesielskiego, z którym byłem razem w gimnazjum — popełniłem wprawdzie nietakt, żem się dał namówić, ale tak pragnąłem...

— Bez komplementów, książę, bo inaczej będzie nam trudno bliżej się poznać — przepraszam na chwilę. Bielecki wstał, czarne kłęby chmur przewaliły się przez jego mózg, chwilę zdawało mu się, że nogi się pod nim uginają, ale to przez jeden błysk sekundy. Teraz przeszedł się po saloniku, jakiś czas jeszcze widział wszystko, jak przez mgłę, a nagle wyprężył się i wszystko minęło. Zdusił w sobie, opanował, zwyciężył — tak, o! tak! —

trzeba mieć w garści swój mózg, wtedy się jest mocnym.

Nie miał teraz czasu myśleć nad tą chwilą słabości. To trzeba spokojnie wszystko rozważyć, zbadać przyczyny, dokładnie zanalizować, by temu zapobiedz...

Wśród grupy młodzieńców coraz gorętsze rozprawy, a wszystkich zdołała przekrzyczeć studentka ekonomji społecznej panna Stefanja — w kącie szeptała Miecia coś Cesi do ucha — Cesia siadła i wzięła wątłą, delikatniutką Miecię na kolana.

Bielecki uśmiechnął się dobrotliwie.

Stół Kotowicza pomnożył się o trzech wdzięcznych słuchaczy, bo Kotowicz był w doskonałym nastroju i sypał sprośnemi anegdotami, jak z rękawa.

— To ostatnie bz — bz — bz — ciężka czkawka przerwała Chrześniakowi dłuższy okres — tego nie zrozumiałem ..

— Boś idjota... — Chrześniak ugiął się pod ciężką pięścią Kotowicza, która zadudniła na jego plecach.

— Teraz posiedźcie tu do rana, popijcie się, pławcie się w szampanie, ja moją misję skończyłem. — Bielecki był rozdrażniony.

Ani jednemu tutaj — aha! Poraj i Ada — ale tym innym jednego słowa wierzyć nie można.

— A tobie? — zachichotało w nim.

— A tak! — to mądrze i sprawiedliwie pomyślałem.

Podszedł do bufetu, napił się kieliszek najmocniejszej wódki, stanął chwilę na środku saloniku, i znowu podszedł do stolika Karskiej i Poraja.

Poraj był rozpromieniony, cały pałał jakiemś radosnem podnieceniem, mówił dużo, a każde słowo buchało młodą, niekłamaną szczerością.

Bielecki obrzucił cichem, uśmiechniętem spojrzeniem Adę i Poraja.

— Wybaczcie, was jednych o to proszę, że na jakąś godzinę po angielsku zniknę — w kamień zapomniałem o jednej ważnej sprawie, którą w tej chwili załatwić muszę.

Karska wstała spojrzała na niego pytająco:

Bielecki wpił w nią swój wzrok z taką siłą nakazu, że ta znowu siadła.

Poraj wstał również, prawie wystraszony.

— A drogiemu panu daję najwyższy dowód zaufania i sympatji, prosząc, by podczas

mej nieobecności zechciał mnie zastąpić, i spełniać rolę gospodarza.

— A ja gospodyni — Ada uśmiechnęła się ironicznie, jak się Bieleckiemu zdawało.

— Doskonale, doskonale — a zatem do widzenia, niezadługo będę z powrotem.

Wyniósł się powoli, niespostrzenie i za chwilę był na ulicy.

IV

Bielecki przeszedł przez pokój, w którym niedawno wieczerza się odbyła, i wszedł do kawiarni.

Kawiarnia była prawie pusta, zaledwie kilka stolików było obsadzonych.

Ucieszył się, bo lękał się, że będzie musiał się przepychać przez cały tłum, a on od jakiegoś czasu lękał się tłumu, unikał go jak tylko mógł. Właściwie się nie lękał, ale miał wstręt i obrzydzenie do tego tłumu, który tak zapalczywie oklaskiwał, pewno już po setny raz, dramat Górskiego.

Miał już wychodzić, gdy przy drzwiach schwycił go ktoś za ramię.

Chciał już parsknąć jakiemś ordynarnem słowem, gdy nagle ujrzał znajomą twarz.

— Jakto, nie poznajesz mnie? — pytał przybyły.

— A! Ligęza! — Bielecki przybrał bardzo serdeczną minę.

— Tak, ja! we własnej osobie. A tom cię przyłapał, nocny ptaszku, a cały tydzień cię szukam — ale chodźże.

— Wybacz — później...

— Nie, nie — naglił Ligęza — muszę cię nasamprzód przedstawić mej żonie.

I bez ceremonji powlókł Bieleckiego do małego stolika, przy którym siedziała młoda kobieta.

— Tu masz wreszcie tego słynnego Bieleckiego — moja żono.

Bielecki ukłonił się głęboko, podała mu rękę.

Sztywno, jak mu się zdawało, i ani się nie uśmiechnęła onym obowiązującym chociażby uśmiechem, jaki kobieta ma zawsze dla słynnych ludzi.

— Siadajże, już kilka lat się nie widzieliśmy.

— Coś robił?

— Siedziałem na mojej zapadłej wiosce— nie było czasu na wyjazdy do stolicy. Trzeba było pracować od rana do nocy — wieś była fatalnie obdłużona. No, ale, chwała Bogu, wyciągnąłem taczki z błota, tryby zazębiłem,

maszyna teraz w pełnym ruchu... I nie byłbym jeszcze przyjechał, ale głuche wieści, które nas z początku o twoich triumfach dochodziły, stawały się coraz głośniejsze — prawie w każdym numerze Kurjerka jakiś artykulik — jakaś wzmianka... Bielecki — mówię sobie, czy to ten nasz? Ale to tylko ten jeden mógłby laury zbierać — i nie pomyliłem się. Przychodzi jednej niedzieli Tygodnik Illustrowany — na trzeciej stronicy — aż mnie poderwało: jest twoja podobizna — lecę do żony, pokazuję: jest! Ligęza szeroką dłonią trzepnął o stół.

Bielecki spojrzał na panią Ligęzę. Tym razem przebiegł lekki uśmiech przez pięknie zakrojone usta, ale oczy zdały się nie brać w tem udziału: pozostały w siebie wpatrzone i jakby mgłą przysłonięte.

— Na gwałt jechać i zobaczyć!

Nie wygląda, pomyślał Bielecki, jakby chciała coś na gwałt robić.

— Ale to nie szło tak na gwałt, trzeba było nasamprzód interesa załatwić — wreszcie się uporałem i jesteśmy tu.

— Od dawna?

— Od tygodnia.

— Jak długo zostaniecie?

— Przez cały karnawał.

No, to się jeszcze zobaczymy — chciał Bielecki powiedzieć i pójść, ale w tej chwili przykuła całą jego uwagę tajemnicza twarz żony Ligęzy.

On jej jeszcze chyba nigdy nie posiadł — pomyślał — to zdumiewające: tak mężatka nie wygląda.

— Ale pomyśl tylko: jedziemy więc, ale przez całą drogę w ciągłym lęku, że może w przedświątecznym czasie dramatów grać nie będą...

Maleńka główka pani Ligęzy zdawała się uginać pod ogromnym ciężarem włosów — takich Bielecki jeszcze nie widział.

— Pierwsze, zaczem jeszcze kwit od pakunków oddałem, było: co grają dziś w teatrze?

Niezwykle delikatne, rasowe, drobne rysy — bajeczny ten pieściwy owal...

— Odetchnąłem: wprost z dworca do hotelu, a za godzinę już w teatrze...

Wzrok Bieleckiego osunął się na rękę pani Ligęzy — ręka, zda się, z odrębnem swojem własnem życiem — spoczywała zamyślona na płycie stolika, ręka dziecka z długimi, wąskiemi palcami, a na ich końcach paznokcie, gdyby różowem światłem mieniące się opale.

— Morowy chłop z ciebie! Kelner, flaszkę szampana — Veuve Cliquot — siedziałem — nie wiem, czym patrzył z otwartą gębą, ale musiałem mieć głupią minę — patrzę ukradkiem na żonę: nie na tym świecie — powiadam ci.

— Zyga, tylko mnie do swego opowiadania nie wtrącaj.

Al wreszcie przemówiła — timbre tego głosu miał niezwykły odcień. Bielecki miał czujny słuch — to coś pośredniego między głosem dziewczyny dorastającej a głosem mężatki — zagadka mu się wikłała i poczęła go intrygować.

— Ale duszko, czy wstydzisz się wrażenia, jakie ten potężny dramat na ciebie wywarł?

Gorąco zrobiło się Bieleckiemu naokoło serca — wściekła fala irytacji przepłynęła przez jego żyły, ale w tej samej chwili spojrzał na panią Ligęzę i słuchał dalej cierpliwie. Tę zagadkę muszę rozwiązać, pomyślał.

Dałbyś wreszcie spokój temu dramatowi— to całkiem licha — marna rzecz.

— A widzisz—przerwał mu Ligęza, zwracając się do żony — nie mówiłem ci? on ma skromność genjusza... No, ale jeżeli to licha

rzecz, nie wiem — nie jestem fachowcem — ale rzecz, która jest w stanie w mojej grubej skórze dreszcz wywołać, nie jest lichą.

Boś osioł, pomyślał Bielecki — te dytyramby na cześć Górskiego, które słyszał naokoło, drażniły go już wprost fizycznie.

— Powiadam ci, wyszliśmy oszołomieni z teatru — poszliśmy pieszo do hotelu, przez całą drogę ani jedno ani drugie pary z ust nie puściło...

— Zygal

— Dopiero w domu: całą noc przegadaliśmy —

— Zygal

Brzmiało to, jak prośba dziecka, by go nie obrażano. Zapragnął posłyszeć, jakby brzmiało przez nią wypowiedziane jego własne imię: Henryku! niel pieszczotliwiej: Heniu!

— Już, już przestałem.

Kelner otworzył flaszkę i ponalewał kieliszki.

— Już więcej gadać nie będę. Twoje zdrowie! — stuknęli kieliszkami

— Dla mnie nie była to nowina — ja zawsze wiedziałem, żeś ty morowy chłop.

— Przyrzekłeś, że już o mnie więcej mówić nie będziesz.

— Pod jednym warunkiem, że jeszcze chwilę z nami pozostaniesz.

Bielecki miał ochotę powiedzieć, że sprosił gości, że ma ich w przyległym saloniku, ale w tej chwili zawstydził się swego towarzystwa: taka łuna czystości, taki czar wykwintu i pełnego godności dystansu bił od pani Ligęzy.

— Oczywiście... Ale, jeżeli przez cały karnawał tu pozostajecie, to chyba nie ostatni raz się widzimy.

— Oszalałeś? Już my ci spokoju nie damy — ja, ja, chciałem powiedzieć... widzisz, pszenica doskonale obrodziła — buraki, jak jeszcze nigdy przez ostatnie pięć lat — hypoteka oczyszczona — więc możemy sobie pozwolić. Wprawdzie ja tam między moimi chamami sam trochę schłopiałem, ale, jak tylko nabiorę w płuca porządnie waszego powietrza, to żonka mnie się nie powstydzi.

— Widzi pan, jak mąż się uradował, że pana spotkał — dawno już tyle nie mówił.

A więc raz wreszcie zwróciła się do niego.

— Ja nie miałem się uradować? Całe cztery dni latam po mieście i szukam go — wreszcie tu go przydybałem — i nie miałem

się uradować? A — prawda! Wiesz, kto cię też szuka?

— No?

Borsuk, wiesz, ten malarz, ten manjak. Byliśmy przecież z nim razem w gimnazjum.

— Borsuk?

— Tak, wrócił przed miesiącem z Polesia — całkiem zwarjowany — chodzi, jak błędny — słyszałeś zapewne, że wszystkie jego obrazy się spaliły — nie myślałem, że dla artysty taka krzywda, jeśli mu się parę obrazów spali, może przecież nowe namalować.

— Oczywiście! W głosie Bieleckiego drżała wściekłość, dla niego samego dosłyszalna, przeciwko wszystkiemu, co się sztuką nazywało.

— On mnie poznał — ja nigdy w życiu nie byłbym się nawet ani śladu dawnego Borsuka w tym zwiędłym starcu nie dopatrzył — starzec, powiadam ci.

— Tak sobie to do serca wziął? Bielecki uczuł nieprzepartą chęć, by się roześmiać na cały głos. Ale uczuł jej wzrok na swojej twarzy i spoważniał.

— Czasem jednakowoż może to być rzeczywistem nieszczęściem, może porządnie siły nadszarpnąć.

W tej chwili pomyślał, że Borsuka unikał, jakby się go bał — stchórzył na całej linji — a! wstyd! Jutro, zaraz jutro go odszuka.

— A! a! — Ligęza tarł czoło — przypominam sobie doskonale — czytałem, czytałem — przy tej milutkiej sposobności spaliły się też twoje rzeczy i świeży dramat.

— No i cóż z tego? — zaśmiał się Bielecki — widzisz, że wskutek tego ani się nie postarzałem, ani posiwiałem.

— Ba — ty! Ty z twardego drzewa. Tyś mocny człowiek.

Bielecki począł w sobie zagadywać Ligęzę:

Dziewica, nietknięta — dałbym szyję za to.

— Tacy, jak ty, na pniu się nie rodzą...

Niezmiernie ciekawa zagadka.

— No i tak z Borsukiem lataliśmy po mieście, ale towarzystwo takiego ponurego człowieka przygnębia.

Muszę tę tajemnicę zbadać, zagadkę rozwiązać.

— Dali nam adres jakiejś Karskiej.

— Gospodyni, u której przed rokiem mieszkałem.

— Ale i ona zniknęła jak kamfora z pieprzem.

— Dawno już umarła.

Borsuk zgrzytnął zębami, jak posłyszał jej nazwisko.

— Podobno coś przykrego między nimi zaszło?

— Pytałem się go, ale mi nawet nie odpowiedział.

— Borsuk skryty, jak wiesz...

Ligęza nalał świeże kieliszki.

Poza tą cichą, tajemniczą spokojną maską cały wulkan się ukrywa — Ligęza nie umiał, a może nie mógł go w czynność wprowadzić, zakonkludował Bielecki i spojrzał dyskretnie na panią Ligęzę.

Siedziała, jakby najmniejszego udziału w rozmowie nie brała — spojrzał na jej ręce, zdawało mu się, że w tej chwili przebiegł przez nie prąd nerwowego niepokoju.

Spokojna, zimna maska twarzy nie licuje z temi rękoma — ręce ją zdradzają i nie mylę się.

Nagle uprzytomnił sobie, że ktoś z jego towarzystwa mógłby wpaść do kawiarni i odruchowo z niepokojem spojrzał w stronę drzwi, prowadzących do biesiadnego saloniku.

W drzwiach stała Karska — spojrzenia ich zetknęły się na chwilę: Karska zniknęła.

— Państwo wybaczą że ich teraz opuścić muszę — z głęboką przykrością, ale jestem gościem — całe towarzystwo na mnie czeka...

— Ależ i my idziemy — pani Ligęza wstała.

Tak, tak! Ani na chwilę się nie pomylił — do tej cudownej główki musiała koniecznie ta smukła wiotka, drobna, właśnie ta — ani na jotę inna postać przynależeć.

— Pamiętaj, jeżeli jutro o trzeciej popołudniu nie stawisz się w hotelu Bristol — pamiętaj: Bristol — to mnie śmiertelnie obrazisz.

— Z całą pewnością — Bielecki podawał futro pani Ligęzie.

Muszę tylko jeszcze jej stopy zobaczyć.

Pani Ligęza wsunęła drobną, maleńką stopę dorastającej dziewczynki w kalosz.

Co za niesłychana harmonja w całej budowie, jaki bajeczny układ całego ciała, całej postawy.

Ligęza płacił.

— A więc — do widzenia — powiedziała pani Ligęza.

Bielecki pocałował ją w rękę — miał uczucie, że się dotknął nagiego ciała.

Ligęza ucałował go serdecznie, co mu się wydało niepotrzebnem i trochę za włościańskiem; irytowała go w tej chwili ta czułość.

— Pamiętaj: Hotel Bristol!

— Z pewnością.

Jeszcze jeden głęboki ukłon i Bielecki zawrócił do biesiadnego saloniku.

Z daleka dochodził go już odgłos dobrze mu znanej pijackiej piosenki — najlepszy znak, że Kotowicz rozpocznie niezadługo awantury.

W sieni przystanął, namyślał się, czy nie zawrócić, czy nie pójść na miasto tam — no! — tam wahał się. Całkiem mal à propos spotkał Ligęzę — Ligęzę, jak Ligęzę, ale jego żonę...

„A gdy opuszczę ziemski glob
I u stóp stanę tronu,
Do boskich jego padnę stóp
i rzeknę bez pardonu:

Rozkoszy niebios nie chcę znać,
ni widzieć, gdzie się kryją,
lecz tam mnie Panie Boże wsadź,
gdzie piją, piją, piją".

Z uporczywą, ha! nawet wytężoną uwagą wsłuchiwał się w tekst piosenki, zauważył nawet, że jest bardzo dobry i w tej chwili wię-

cej odpowiedni, jak sentymentalna kolenda o nagim Jezusieńku, a równocześnie głęboko rozważał: iść, czy nie iść?

A przed oczyma majaczyła mu się ustawicznie maleńka, drobna twarz pani Ligęzy z temi tajemniczemi oczyma, których zagadkę on — Bielecki rozwiąże, a w danym razie przetnie.

— Iść, nie iść? znużenie przemogło — teraz wyciągnie się na kanapie — pójdzie tam, gdzie piją — piją...

Nieobecności jego widocznie wcale nie zauważono, bo nikt się nie zdziwił, gdy stanął w drzwiach, i przeszedł środkiem do stolika, przy którym siedziała Karska, Ciesielski i Poraj.

Poraj był silnie podniecony — oczy mu się skrzyły, a na policzki wystąpiły gorące rumieńce.

— A co? wskazał na gromadkę porządnie już podpitych uczestników biesiady — z godnością spełniłem obowiązki gospodarza— dobrze wywiązałem się z pańskiego polecenia.

— Istotnie — uśmiechnął się Bielecki roztargniony. Myślą był przy pani Ligęzie — uśmiech jej wykwitł mu w ciemno-czerwony gwoździk, a głos jej pachniał niby cała łąka

konwalji na wiosnę, ruchy jej: zapowiedź raju, którego rozkoszy jeszcze nie zaznał.

— Salomonie, Salomonie! Czem twoja pieśń nad pieśniami, wobec wdzięku i czaru tej żyjącej pieśni!

Tyle szampana musi w końcu i na najsilniejszą głowę podziałać.

— Gdzieś był? — pytała Karska z dziwnym uśmiechem.

— Chciałem tam pójść — wiesz — szepnął z cicha.

— Gdzie?

— No wiesz przecież, zobaczyć, co się tam dzieje, i nagle przyłapał mnie przy drzwiach stary znajomy.

— A ona?

— To jego małżonka, rozumiesz, prawnie i kościelnie poślubiona.

— Ciekawa kobieta — nie dziwię się, że cię tak długo zatrzymała.

Bielecki spojrzał na nią dobrotliwie i pogroził jej palcem:

— Ado — zważaj na siebie — odcień zazdrości słyszę w twoim głosie.

— Byłoby mi żal tego dziecka.

Jak onej trucicielce katowanego zwierzęcia — pomyślał Bielecki.

— A on, jak ci się podoba — szepnął jej do ucha.

— Kto?

— Poraj.

— Podatny materjał, będziesz miał z niego pociechę — zaśmiała się swoim złym, szyderczym śmiechem.

— No i ty też — odparł cynicznie.

— A jak chcesz inaczej? Łupem uczciwie wspólnie się podzielimy.

— Trzeba go tylko od tej hordy— wskazał na przyległy stolik — szczelnie izolować.

— Już załatwiłam... — między Kotowiczem, a nim o mało do awantury nie przyszło.

Bielecki spojrzał w stronę Poraja.

Siedział jakiś nagle posowiały: między brwiami wystąpiła bruzda.

— Doskonale, już haczyk połknął — już mu się to nie podoba, że tak intymnie z Adą rozmawiam —

„A gdyby mi kto wybór dał,

ryczał na cały głos Kotowicz, a wdzięcznym dyszkantem wtórował mu Chrześniak.

Kobietę, konia, trunek —

Grobowym głosem darł się Gajecki:

I rzekłby: wybierz sam,
Co wolisz na frasunek —

Miecia siadła na okrak na kolanie Cesi i huśtała się, a obie pijane przekrzykiwały wszystkich:

Napróżno dziewczę wdzięczy się,
koń zgina piękną szyję —

I teraz rozwył się cały pijany chór:

Ja chwytam puhar w dłonie swe
I piję, piję, piję..."

Wzrok Ady spoczął nieruchomie na pięknej twarzy Poraja — uśmiechnęła się szyderczo.

Niesmak panicz odczuwa—poczekaj, niech ja cię tylko wezmę w rączkę, poprowadzę ścieżynką jaką nam boski Henio wskaże, całkiem inne bibki będziesz urządzał.

W tej chwili spojrzał na nią Poraj, i jakby się zawstydził chmurnej miny.

— Co pan tak osowiał?

— Ależ pani — skądże? Ja czuję się tak dobrze, tak bardzo dobrze tutaj.

— Trzeba ich tu teraz samych zostawić— szepnął Bielecki Adzie do ucha. — Wyślij Poraja najprzód, potem ty wyjdź — czekajcie na mnie na ulicy.

Bielecki podszedł do Kotowicza.

— No? jak się czujesz?—pytał przyjaźnie.

— Piramidalnie! Ha, ha, ha! Wprost piramidalnie — hojną ucztę sprawiłeś. Jak to bydlę, co mi teraz na ramieniu chrapie — Chrześniak oparł swój rudy łeb na ramieniu Kotowicza i spał — powiedziało — magnacką ucztę sprawiłeś...

Poza ich plecami przesunął się Poraj.

— Aha! paniczyk z Podola, czy z Wołynia wynosi się po angielsku — po co taka psiakrew tam włazi, gdzie go nie potrzeba, psuje mi humor już cały wieczór—jak jestem w złym humorze, to mi ten królewski szampan do łba idzie...

— Udajesz pijanego, a ty sam jesteś tu trzeźwy...

— Mylisz się mój dobroczyńco, jestem pijany, ale na tyle trzeźwy, by ci powiedzieć: daj mi dziesięć rubli — wiesz, że nie oddaję.

Bielecki sięgnął do kieszeni od kamizelki, wyciągnął papierek i dał mu go.

Kotowicz schował niedbale do kieszeni papierek.

— Tak to rozumiem, to mi się należy.

— Należy?—Coś tajemniczo drgnęło w duszy Bieleckiego.

— Jesteś porządny chłop — potrzebne mi są pieniądze. Bo trzeba ci wiedzieć, że tu przyjechał przyjaciel Górskiego od najmłodszych lat — jak, jak on się to nazywa?

Za plecami Kotowicza stała Ada i nadsłuchiwała z zapartym oddechem.

— Surzycki, aha! Surzycki —

Spojrzał z podełba na Bieleckiego, ale ten ani drgnął — palił spokojnie papierosa.

— No i co?

— Jakiś oberwaniec, fanatyk — przyjechał gdzieś tam z Galicji i robi poszukiwania co do Górskiego jakiejś urojonej puścizny literackiej — mnie się zdaje, że to obłąkaniec jakiś, pal go pies! Przyplątała się bestja do mnie, czepia się mnie, jak pijany płotu, łazi na policję—już go tam parę razy wyrzucili...

— Ciekawe! — powiedział Bielecki swobodnie. — Może przyprowadzisz go do mnie, ja byłem w ostatnich czasach jedynym, który z Górskim przestawał — może ja będę mu mógł jakichś informacji dostarczyć — z całą przyjemnością mu służę.

— Wiesz! to kapitalna myśl. — To ja ci jutro tego bałwana przyszlę.

— Jutro — czekaj tylko — muszę parę

wizyt złożyć, ale spotkamy się tu w kawiarni, no powiedzmy o dziesiątej wieczorem.

— Doskonale! psiakrew, wytrzeźwiałem...

Ada znikła, jak się jej zdawało niespostrzeżenie.

Kotowicz łypał ślepiami — i ogarnął badawczym, gospodarsko-czujnym wzrokiem całą baterję nietkniętych, czyli, jak on je nazywał „dziewiczych flaszek".

— Heniu! słuchaj! Cień Ady przesunął się poza moimi plecami. — Ty już tu nie masz co robić — wyręczę cię, obejmuję prezydjum — znam twoje obowiązki: to niby, panie, to samo, co miodowe miesiące... Zapłać — wyrównaj wszystkie rachunki — i jesteś zwolniony z ciężkich obowiązków — dobroczyńcy... ha, ha, ha... czyżby z musu?

— Widzę, że jesteś rzywiście uchlany — lubię cię bardzo, ale nie myślę oczekiwać, aż na serjo awantury rozpoczniesz.

— Wstał:

— Kto z was jeszcze trzeźwy — zawołał — ten niech zważy i zrozumie, że niniejszem obejmuje Kotowicz wszelkie funkcje gospodarza, ponieważ ja z powodu ważnych okoliczności na jakiś czas zgromadzenie opuścić muszę.

— Brawo! Brawo!

Nikt dobrze nie rozumiał, co Bielecki mówił, ale wszyscy wrzeszczeli co sił: brawo! jakby coś niesłychanie dowcipnego powiedział.

Dusiła go wściekła złość, wstręt, obrzydzenie, przed oczyma wyrosło widmo Górskiego, szerzące z zajadłem szyderstwem zęby, kark jego owiało zimno, jakby od dotyku żelaznych kleszczy, złośliwa, pokraczna bestja, której Surzycki na imię — tak Surzycki — gotowała się do zabójczego skoku — na dnie oceanu jęczała Łusia — chwilę pociemniało mu w oczach.

Widział, jak się jakaś ciemna masa zwolna podnosiła, prostowała — i rozpoznał Kotowicza. Oprzytomniał w tej chwili.

— A gdyby tak jeszcze czegoś było potrzeba, to na mój rachunek — ja z kelnerem pomówię...

Wyszedł.

— Teraz ja tu jestem panem — bełkotał Kotowicz, który przez chwilę był całkiem trzeźwy.

— Słuchać mego regulaminu!

Bielecki zapłacił, dał kelnerowi dyspozycje, przystanął chwilę, jakby się nad czemś na-

myślał, ale zmiarkował, że na myślenie ma jeszcze dosyć czasu, i wyszedł na ulicę.

Tam oczekiwali go niecierpliwie Ada i Poraj.

— Do rana jeszcze czas! — zaśmiał się wesoło Bielecki — z tą pijaną hołotą nie sposób było wytrzymać — pójdziemy na kawę do Kurpińskiego.

V

W kawiarni Kurpińskiego było prawie pusto.

Szczędzono na świetle elektrycznem, to też tylko przy stolikach, gdzie jakiś samotny gość siedział, paliły się lampy, resztę zalegał tajemniczy pół-zmrok.

Karska stanęła w drzwiach i rozejrzała się dookoła.

— O! tu wcale przyjemnie!

Nagle trąciła Bieleckiego.

— Patrz, Borsuk.

W kącie przy drzwiach siedział Borsuk. Popatrzył nieprzytomnie, jakby go ktoś z ciężkiego snu zbudził, zerwał się nagle, oparł dłonie o stół, spojrzał prawie z przerażeniem, jakby się w jakieś widmo wpatrywał, a potem nagłym nerwowym ruchem chwycił za czapkę i jął spiesznie wdziewać palto.

— Idźcie, siądźcie stąd jak najdalej, ja się z nim rozmówię — szepnął Bielecki Karskiej do ucha.

Karska pociągnęła Poraja za sobą, Bielecki podszedł do Borsuka.

— Borsuk!

Ale Borsuk nic nie odpowiedział; schwycił za laskę i, jakby całkiem Bieleckiego nie zauważył, zaczął wołać na cały głos:

— Płacić, płacić!

— Czyś zwarjował, czy co? Czy mnie nie poznajesz? Ze skóry chcę cię obedrzeć, czy co?

— Płacić! — krzyknął Borsuk podniesionym głosem.

— Nie drzyj się tak do jasnego piorunal — Bielecki był zirytowany — szukałem cię przez cały tydzień...

— W tej chwili! — kelner wysoce obrażony tak niekulturalnem zachowaniem się gościa, nie spieszył się.

— Szukałem cię i chcę się z tobą rozmówić.

— Nie mam nic z tobą do gadania! — Płacić!

— Owszem — owszem jesteś mi winien kilkaset rubli, i tę sprawę trzeba załatwić — a przynajmniej po ludzku mówić.

To poskutkowało. Jakby piorun raził Borsuka. Wytrzeszczył oczy, zatrzepotał ręką w powietrzu, jakby się czegoś uczepić chciał i opadł ciężko na krzesło.

— Któren z panów chce płacić? — pytał obrażonym głosem kelner.

— Nie, to pomyłka — przynieś pan dwie porcje herbaty.

Chwilę zaległo głuche milczenie.

Bielecki spojrzał na stojącą okok Borsuka flaszkę absyntu.

— Można z tobą pogadać? — rzekł po długiej chwili — jesteś przytomny?

Borsuk podniósł na niego ciężkie, złowrogie oczy — patrzył przenikliwie i z taką złą chciwością na Bieleckiego, że oczy jego zdały się wydłużać i wyostrzać, jak para szczypców, któremi chciałby z dna duszy jego całą tajemnicę wyrwać.

Ale Bielecki patrzył bezmyślnie przed się i bębnił palcami po stole.

— No! czekam — rzekł wreszcie i spojrzał na Borsuka.

— Jak, jak... — Borsuk jąkał się i z trudem wyrywał słowa z gardła — jakeś ty śmiał się do mnie zbliżyć?

— Albo pijany — albo rozum straciłeś...

o czem ty gadasz? Dlaczego jabym nie miał śmieć do ciebie się zbliżyć?

— Gdzie moje obrazy? — zasyczał Borsuk, i zerwał się.

— Gdzie mój dramat? — stłumionym głosem krzyknął Bielecki i wstał — mój dramat, moje zapiski — cały ogromny materjał przygotowawczy do dziesięciu co najmniej prac — chyba to tyle warte, co twoje obrazy i szkice, a gdzie to jest?

Gdyby Łusia żyła, mogłaby ci też wrzasnąć nad uszami: — gdzie moje klejnoty rodzinne? gdzie?

Siadaj warjacie jakiś i pozwól z sobą po ludzku pogadać. Zresztą — cedził zimno — musimy jeszcze tę sprawę pieniężną załatwić.

Borsuk opadł na krzesło, nalał sobie absyntu, zachłysnął się, popił wodą, i odzyskał równowagę.

Bielecki popatrzył na niego chwilę, jakby go chciał zahypnotyzować.

Borsuk wyciągnął przed się nogi, obie ręce włożył do kieszeni, oparł się szeroko o poręcz krzesła, i wświdrował swoje wpół błędne oczy w Bieleckiego.

Przestał się golić, pomyślał Bielecki szyderczo. Twarz Borsuka była cała obrosła bru-

dną, rzadką szczeciną. On, który tak na swoje „exterieur" zważał — to widoczny znak żałoby.

— Więc o co ci chodzi?

— O co tobie chodzi?

— Mnie o pieniądze.

— A mnie o moje obrazy, o moją krwawą pracę dziesięcioletnią.

— Co ja mam z tem do czynienia?

— Tyś je spalił, alboś je kazał spalić?

Bielecki roześmiał się na cały głos.

— Słuchaj, daj spokój tym głupim żartom — karnawał rozpoczyna się dopiero na Trzech Króli... przecież mnie wtedy tu nie było...

— Wszystko jedno, kazałeś tej szatańskiej nierządnicy tam — skinął głową w kierunku Karskiej — spalić.

— Zastanów się warjacie jakiś, przecież tam mój dramat równocześnie się spalił.

— Bo nie był twój!

Bielecki rozwarł szeroko oczy — było to, jakby go ktoś wrzącym warem oblał.

— Co? co?

— Piekielna zbrodnia, jejby najwięcej szatański z szatanów nie wymyślił!

— Jesteś chory — powiedział Bielecki —

bo inaczej musielibyśmy się w inny sposób rozprawić.

— Aby ci dowieść, że nie jestem chory, ani pijany, postaram się uprzytomnić ci, jak się to stało. Tyś wiedział, że mieszkanie Górskiego było nad szopą siana.

— Skąd ja o tem mogłem wiedzieć?

— Bywałeś bardzo często u Górskiego.

— Kto ci to mówił?

— Kotowicz!

— A! a! — Bielecki uderzył się w czoło — teraz dopiero rozumiem — teraz mi jest wszystko jasne... i istotnie... ten sam Kotowicz, który jednemu z moich znajomych odradził kupowania twoich obrazów, bo twierdził, że to są nędzne kicze, ten sam, który u Schütta wylał zbyt rzadką jajecznicę na stół i ryczał na cały głos, że ma twój obraz przed sobą, a raz gdy zobaczył nędzny szyld nad sklepem rzeźnika, opowiadał wszystkim, żeś ty go namalował...

W oczach Borsuka migotały złe błyski.

— No, no, i ktoby to pomyślał, żeś ty zawarł przyjaźń z Kotowiczem, który w przystępie dobrego humoru pokazywał, jak ty malujesz: brał wiecheć lub szczotkę, maczał

w pomyjach i rozmazywał na ścianie... No, ale dosyć tego.

Co za potworna bestja!

A dlaczego ty z nim przestajesz? — pytał Borsuk podejrzliwie.

— Ja? Obserwuję go, studjuję, ciekaw jestem do jakiej podłości, do jakiego jeszcze haniebnego świństwa natura ludzka dojrzeć może.

— Czemuś mi kazał ubezpieczyć moje obrazy?

— Bo widziałem, jak się z nimi obchodzisz — walało się to wszystko po podłodze, jak śmiecie — pełno słomy do pakowania naokół — zapalałem papierosa i pomyślałem: rzucę niebacznie papierosa a wszystko może pójść z dymem.

Borsuk patrzył niepewnie na Bieleckiego, spuścił głowę na piersi, podparł ją obu rękami i głucho załkał.

Głosu słychać nie było, ale całe ciało, wszystkie mięśnie zdawały się rozpaczliwie łkać w spazmatycznych skurczach.

Bielecki zapalił papierosa i czekał — czekał długą chwilę.

Obejrzał się — w mrocznej głębi siedziała Ada i Poraj — żywo coś z sobą mówili.

Uśmiechnął się pogardliwie — dopalał papierosa do końca.

Pewno usnął z wyczerpania, pomyślał.

Ale w tej chwili Borsuk podniósł głowę, całkiem już uspokojony.

Zdumiewające, jak się ten człowiek zmienił, pomyślał Bielecki. Oczy Borsuka cofnęły się w głąb i zdawały się wyzierać z ciemnych jam, policzki zapadły — czoło się pofałdowało jak u starca.

— Ja ci jestem winien — pieniądze — dużo, dużo ci jestem winien, a oddać ci nie mogę — cały mój majątek się spalił.

— Słuchaj Borsuk — Bielecki mówił cierpkim, niecierpliwym głosem — pluję na pieniądze, jeżeli o nich wspomniałem, to jedynie dla tego, że widziałem, iż tem jednem mogę cię do przytomności doprowadzić — że to jedno cię zmusi, by ze mną po ludzku pogadać, i o to jedno usilnie cię proszę, byś mi nic więcej o tem nie wspominał... Ale wybacz, że cię zapytam, coś zrobił ze sumą ubezpieczeniową?

— Jaką sumą?

— Przecież twoje obrazy były ubezpieczone.

— Nie pytałem jej.

Bielecki zerwał się, oczy wyszły mu na wierzch, ale w tejże samej chwili wybuchnął szczerym śmiechem.

— Kapitalne! Nie byłbyś sobą, gdybyś tego nie był zrobił — powiedziałeś, że ogień był umyślnie podłożony?

— Tak!

— Że któryś z przyjaciół ogień podłożył, byś mógł kilkanaście tysięcy rubli zarobić, bo twoich obrazów nikt nie kupował?

— Tak!

Zimny dreszcz zbiegł Bieleckiego od stóp do głowy. Uczuł tak silną wewnętrzną drżączkę, że lękał się teraz coś powiedzieć, by się drżeniem głosu nie zdradzić.

— A oni — wykrztusił wreszcie — byli tak radzi, że premję zabrali, nic płacić nie potrzebowali, że zaniechali wszelkich dochodzeń.

— Tak!

— Ale swoją drogą sprawę prokuratorji oddali?

— Nie wiem — to mnie nic nie obchodzi.

Bielecki miał w tej chwili niepohamowaną ochotę rzucić się na Borsuka, z całą wściekłością okładać go pięściami, nogami go skopać. Dławiły go najpotworniejsze, siekące

wyzwiska, najplugawsze przekleństwa, więc — przysiadł się bliżej do Borsuka, i począł do niego mówić łagodnie i dobrotliwie.

— Słuchaj, Wojtek — nikt lepiej odemnie nie wie, jaką straszliwą stratę poniosłeś, i nikt więcej z tobą nie współczuje, jak właśnie ja. Ale, gdyby artysta tej miary, co ty, miał wskutek jakiegoś głupiego przypadku tak rozpaczać i szaleć, tego już całkiem nie rozumiem. Spluń na wszystko — powiedz sobie: zmarnowała mi się praca przygotowawcza, wypróbowałem środki techniczne, opanowałem je i teraz dopiero pocznę malować, teraz dopiero na serjo rozpocznę. Ot tak! powinieneś sobie powiedzieć.

Wielki Bartholomé spakował wszystkie obrazy, które malował w ciągu dwudziestu lat, sam je na wózku powiózł na Montmartre, ułożył z nich stos, i zapalił je — tak! tak! spalił — i wiesz, co powiedział: nauczyłem się rysować — więc to wszystko mi już niepotrzebne, teraz dopiero mogę rozpocząć rzeźbę. Widzisz, tak poczyna sobie istotny, wielki artysta: niszczy pośrednie ogniwa rozwoju sam, a pozostawia, co najpiękniejsze i najdoskonalsze.

Bielecki wytężył całą siłę swej rozmowy,

uspokajał, podniecał, nawoływał, nawet do zaklęć się uciekał, a Borsuk miękł i coraz uważniej go słuchał.

Przemawiał, jak brat doświadczony, jak najczulsza matka, jak artysta, ktory sam poniósł niepowetowaną stratę: swój dramat, który też się spalił — ale nie żałuję tego, bo teraz mu się widnokręgi rozwidniły, wzbogaciło się jego artystyczne doświadczenie — teraz na nowo rozpocznie — silniejszy, bogatszy w środki, pewniejszy w celach...

A gdy tak przemawiał, gdy Borsukowi ducha „podnosił", spoglądał raz po raz w stronę stolika Karskiej i Poraja — nie spieszył się.

— Jakie szczęście — przemówił Poraj po długiej chwili — żeśmy się stamtąd wynieśli.

— A to dlaczego? — pytała Karska.

— Nienawidzę ordynarnych ludzi — mogą być łotrami, złodziejami, czem chcą, ale nie wolno im być ordynarnymi.

— Książę zważa na dobre maniery?

— Tu nie o maniery chodzi, łaskawa pani — o całkiem co innego. Pani byłoby też niemiło, gdyby pani na ropuchę nadepnęła — o! to coś podobnego, co uczuwam, gdy się naprzykład z takim Kotowiczem zetknę...

— Pan żywi do Kotowicza jakąś specjalną niechęć?

— Nie, to nie jest niechęć, bo tego rodzaju człowiek nawet mojej antypatji wzbudzić nie może, to wprost fizyczny wstręt — jakby mnie ktoś zmuszał, wziąć do ręki jakiegoś oślizłego gada.

Karska uśmiechnęła się dyskretnie — a potem nagle głęboko się zamyśliła.

— W pańskich dobrach są lasy? — zapytała bezpośrednio.

Spojrzał na nią chwilę zakłopotany, bo nie wiedział, co ma znaczyć ten nagły przeskok.

— Mam kilkanaście włók wspaniałego lasu.

— A zwierzyny dużo?

— Bardzo dużo — ciekaw był do czego zmierza.

— To pan często chodzi na polowanie?

— To jedyna moja namiętność.

— To pan pewno świetnie strzela?

— Od dziecka ze strzelbą mam do czynienia — teraz mi się już nigdy nie zdarza, bym spudłował. Ale dlaczego pani o to pyta?

— Tak mi nagle do głowy strzeliło, że to musi sprawić ogromną satysfakcję, być pe-

wnym strzału. I pan rzeczywiście nigdy nie spudłuje?

— Nie lubię się chełpić, ale mógłbym się celnością mego strzału w cyrku popisywać — byłem jeszcze małym chłopakiem, kiedy marzyłem, by wstąpić do trupy Buffallo-Bill — i jeszcze jedną rzecz umiem: konno jeździć — i jeszcze jedną odczuć: każdą piękność w zbożnej czci podziwiać i ubóstwiać.

Spojrzała na niego przeciągle.

Pochwycił jej wzrok.

— Panią zapewne dziwi to, to ostatnie, co powiedziałem. Pani zapewne sobie pomyślała, że tam jakieś wołyńskie książątko nauczyło się parę frazesów od Krasińskiego, którego, jako z tej samej sfery pochodzącego, przeczytać wypada...

— Ani na chwilę nic podobnego nie pomyślałam.

— Wdzięczny jestem pani — nie! nie! to u mnie nie jest frazesem — to najistotniejszą treścią mej duszy, i mogłoby być moją tragedją — mogłoby być, ale nią nie jest, bo umiem być sam. Z tą tak zwaną moją sferą nie mam nic do czynienia, całkiem jej nie znam — ani znać nie chcę — wasza zaś — pani

wybaczy, że mówię wasza: bo i wy ściśle się odgraniczacie, wy patrzycie na mnie nieufnie..

— Książę się myli—przerwała żywo Karska — między nami jest stokroć więcej zróżniczkowana hierarchja, aniżeli między wami: są Kotowicze i są Bieleccy. Jedni będą patrzeć na pana z zazdrosnem „ressentiment"— a drudzy z głęboką przyjemnością, jaką się odczuwa w zetknięciu z czemś bardzo wytwornem.

Poraj spojrzał na nią z jakąś nieskończoną wdzięcznością. Ogarnęło go całego uczucie bezgranicznej tkliwości — patrzyła na niego takiemi czystemi, siostrzanemi oczyma— oczy jej głaskały, jak najsłodsze ręce siostry, którą mieć pragnął, a której nigdy nie miał. Taka serdeczna, łagodna szczerość była rozlana na jej twarzy, że nie panował w tej chwili nad sobą: wstał, schwycił jej rękę, pochylił się głęboko i ucałował tą drogą, tą przejasną rękę, tą samą, która w najwięcej stęsknionych snach twarz jego musnęła.

— Siądź pan, siądź...

Siadł, przybladł nagle i drżącą ręką chwycił za kieliszek.

— Pan mało dobroci i tkliwości w życiu doznał — mówiła Karska po cichu i tajemni-

czo — za dobrocią pan stęskniony — prawda? więcej niż za miłością.

Zdawał się jej słowa wchłaniać w siebie.

— Daj mi pani odrobinę dobroci, daj! — szepnął gorąco.

— Dam!—powiedziała w jakiemś głuchem zamyśleniu.

Umilkli.

— Kiedy ja będę miał to szczęście panią spotkać—rzekł Poraj po długiej chwili i spojrzał na nią błagalnie.

— Niech pan zajdzie do mnie, jeżeli pan nie ma nic lepszego do roboty.

— Ale ja mógłbym panu Bieleckiemu przeszkadzać.

— Skądże? ja mieszkam sama.

Poraj był zmieszany, w oczach napróżno dusił niedyskretne pytanie.

Karska uśmiechnęła się.

— Wiem, o co książę chce pytać — więc dam malutkie wyjaśnienie. W naszej sferze różnica płci prawie całkiem zatarta — żyjemy po koleżeńsku, stąd ta poufałość stosunków, która może się księciu dziwną wydała, i na inne myśli go naprowadzić mogła.

— Nie, nie — zaprzeczał Poraj — żar

gwałtem tłumionej radości rozjarzył się w jego oczach.

Karska musnęła go przelotnem spojrzeniem i popatrzyła w głąb kawiarni — przy wejściu żegnał się Bielecki z Borsukiem.

— Wreszcie Bielecki się wyzwolił, miał widocznie ciężką przeprawę.

Za chwilę podszedł Bielecki do stolika — był całkiem wyczerpany.

— No, i cóż tam Borsuk? — pytała obojętnie.

— A nic w nieutulonej żałobie po stracie obrazów. Wytłumaczyłem mu, że powinien być rad z tego -- niech to wszystko uważa za przedwstępną robotę, która teraz już mu całkiem niepotrzebna...

— I to go przekonało?

— Nie, ale dało mu dużo do myślenia. Uspokoiło go to; trzeba go tylko koniecznie od Kotowicza odgraniczyć.

— Znowu ten Kotowicz — mruknęła Ada i popadła w zamyślenie.

— A czy wolno zapytać, co mu się stało? — pytał Poraj.

— Istotne nieszczęście, jak dla artysty. Wyjechał na wieś, obrazy złożył nieoględnie tymczasowo w szopie — szopa przypadkowo

czy też nieprzypadkowo spłonęła, a z nią razem cały artystyczny dobytek Borsuka.

— To Kotowicz ma taki zły wpływ na Borsuka? — pytała Ada znacząco, a w oczach migotały zimne, złe błyski. — Trzeba koniecznie będzie go od Kotowicza usunąć, i nie tylko jego samego... koniecznie! — powtórzyła z naciskiem i patrzyła bystro Bieleckiemu w oczy.

— Tak, raz to trzeba zakończyć. — Bielecki umilkł nagle, głośno myślał.

— Książę wybaczy, że tak długo z Borsukiem siedziałem, ale to istotnie bardzo nieszczęśliwy człowiek.

— Myślisz, żeśmy się nudzili bez ciebie? — zaśmiała się Ada — przeciwnie: książe jest świetnym causeur'em. Między innemi rzeczami opowiadał, jak świetnie umie strzelać.

— Biję ptaki w locie — ironizował Poraj.

— A pojedynkował się pan kiedy?

— Niebezpiecznie to z moją nieszczęsną celnością strzału. Gdy mnie kto chce zaczepić, z góry mu odradzam, a jeżeli jeszcze naciera, daję mu pierwszy lepszy dowód, że niezawodnie strzelam, wtedy zostawia mnie już na pewno w spokoju.

Śmieli się, ale jedyny Poraj śmiał się szcze-

rze: w śmiechu Ady i Bieleckiego tkwił głęboki namysł i rozważanie.

— O! to doskonała rzecz umieć tak niezawodnie strzelać — tak! wtedy nic człowiekowi stać się nie może — a jeszcze ważniejsza: umieć dobrze pływać... Bielecki majaczył.

Poraj spojrzał na niego pytająco.

— No tak! to bardzo ważna rzecz umieć dobrze pływać... Ha, ha, ha... Gdyby Schelley umiał dobrze pływać, nie byłby się tam pod Spezzią utopił, i kto inny też nie — —

Spojrzał szklannymi oczyma na Poraja, twarz mu się nagle zmieniła.

Mocnemu człowiekowi znowu Łusia się przyśniła, Karska uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Śmiało i zręcznie obchodzić się z ogniem, to zdaje się jednakowoż największa sztuka. — W głosie jej brzmiał odcień nienawiści, dla Bieleckiego tylko dosłyszalny.

Spojrzał na nią uważnie.

— A tak! tak! słuszność — masz wielką słuszność — kto tych trzech zdolności nie posiada, nie zdzierży na tym bożym świecie — nieprawdaż panie?

Poraj potakiwał, chociaż nie wiedział, o co chodzi: albo Bielecki był zamroczony, albo we wszystkiem, co mówił, tkwił jakiś ukryty sens —

ale co go to teraz obchodziło. Szczęśliw był, że może siedzieć w pobliżu Ady, raz po raz ukradkiem na nią spojrzeć, słuchać brzmienia jej głosu, i patrzeć na to gibkie ciało, jakiego jeszcze nie widział.

Uczuł nagle, że było mu jednak daleko lepiej, gdy był z Adą sam: obecność Bieleckiego onieśmielała go, krępowała mu język, tracił całkiem swobodę. Milczenie, jakie nagle zapadło, poczęło go męczyć i drażnić, wytężył swój mózg, by coś powiedzieć, i to nieznośne milczenie przerwać, ale nic wymyśleć nie mógł.

To jedno tylko podczas tego zyskał, że przyłapał znowu na gorącym uczynku jedną myśl, która go już cały wieczór niepokoiła, i coraz dotkliwiej piekła.

Co tych dwojga ludzi łączy ze sobą? prosta koleżeńska poufałość, jak mówiła Ada? O nie! tam coś głębszego się kryje — miłosny stosunek? Drgnął — nie, nie! Zbyt obojętnie zachowują się wobec siebie — chwilami, jak w jasnowidzeniu, zdawało mu się, że drwią z siebie, i że się poprostu nienawidzą.

Ta myśl przyniosła mu głęboką ulgę i rozjaśniła mu duszę.

— No, panowie — roześmiała się nagle Karska — nie mogę powiedzieć, by tu było

zbyt wesoło — patrzcie, kelner już ostatnie światła pogasił, nasza lampa żgli się, jak wieczna lampa w pustym, ciemnym kościele — chodźmy tu stąd — chodźmy.

— Do domu chyba za rychło — szepnął błagalnie Poraj — onby ją teraz wszystkiemi siłami do miejsca przykuł: zląkł się na myśl, że za chwilę nie będzie już przy niej siedzieć, jej głosu słuchać, chłonąć pobliże jej ciała.

— Oczywiście, że za rychło — zaśmiała się — pójdziemy tam, gdzie muzyka — tu niedaleko doskonała cygańska muzyka — o! i tańczą! Która godzina?

— Pierwsza dopiero! — Poraj był cały rozpromieniony.

— Doskonała myśl! doskonała — zawołał Bielecki. — Tu istotnie siedzieliśmy, jak wokół jakiegoś katafalku — czas najwyższy było się stąd wynieść. A więc do sprośnego Marchołta!

— Koniecznie to książę musi zobaczyć — zaśmiała się Ada — lepszego kabaretu w Paryżu niema...

VI

Późną nocą wracali do domu.

Automobil pędził cicho po śniegu, który litośnie pokrył wyboje i dziury, ogromnemi polnemi kamieniami wybrukowanej szosy podmiejskiej, raz po raz podskoczył, jakby przez rów przeskakiwał, ale zresztą była jazda, jak Ada zauważyła, bardzo miła.

— To już wpół do piątej, a to biedactwo Poraj na wszystko zaklinał, na klęczkach błagał, by jeszcze pozostać. I takby siedział bez snu, bez jedzenia przez cały tydzień przy twoim boku, piękna Ado, z nóg by się zwalał, a jeszczeby nas, a raczej ciebie — bo ja mu wcale nie na rękę — zaklinał, by jeszcze — jeszcze... ha, ha, je m'y connais — to prawda, widziałem to u innych — zawsze mnie to niepomiernie dziwiło.

Ada milczała.

Irytowało to Bieleckiego. Był podrażniony

całodzienną rozterką duszną, Borsukiem, całonocnem siedzeniem, Kotowiczem, Porajem, a teraz wkońcu — Adą.

— Czemu milczysz? Wogóle nie poznawałem cię dzisiaj przez cały wieczór.

— A ja cię już od dłuższego czasu nie poznaję.

— Jakto? — zapytał Bielecki, i zaciekawiony przysunął się do niej.

— Robisz zupełnie wrażenie złodzieja, na którym czapka gore.

— Co?

— Jesteś niespokojny, niepokoisz drugich, wylatujesz, znowu wracasz — bredzisz od rzeczy — ustawicznie wspominasz Spezzię, Shelley'a, dziwne, że na cały głos nie wykrzykujesz imienia Łusi — i dziwisz się może potem że Kotowicz coraz podejrzliwiej cię śledzi, każde twoje słowo skrzętnie w pamięci notuje, pijanego udaje, a wyraźnie daje do poznania, że już wpadł na tropy... Wyrzuty sumienia masz, czy co?

Bielecki roześmiał się na cały głos.

— Żartujesz chyba, koteczku, ja i wyrzuty sumienia! Ja z największą rozkoszą skręciłbym kark własnej siostrze, gdyby mi zawadzała, i anibym się obejrzał — nie! nie! to

nie to. To, co mnie tak drażni i bezustannie do wściekłości doprowadza, to ta cała głupia pomyłka.

— Pomyłka?

— Tak, tak — raz jeszcze ci to powtarzam: pomyliłem się, całkiem mylną drogę do mego celu obrałem — ale teraz nie pora o tem gadać — potem ci to wszystko opowiem — pojadę do ciebie — zgadzasz się?

— Dawnoś już nie był.

Zajechali wreszcie przed mieszkanie Ady.

Bielecki zapłacił automobil, Ada otworzyła bramę, weszli na górę, zapaliła światło.

— Br! jak zimno — czekaj, w tej chwili w piecu napalę.

Zdjęła futerko, rzuciła kapelusz na łóżko, zakrzątnęła się około dużego, żelaznego pieca, wrzuciła cały stos polan drzewa, oblała naftą, i za chwilę buchnęły gorące płomienie.

— Teraz tak napalę, że będziemy siedzieć, jak w łaźni parowej — już sam widok ognia ją podniecał.

Odrazu wpadła w dobry humor.

— Widzisz, ja jestem urodzoną podpalaczką. Miałam czternaście lat, gdym po raz pierwszy opiekunowi stodołę podpaliła. Najwyrafinowańszy złoczyńca nie byłby to tak

sprytnie urządził, jak ja... Tak się to cudownie wszystko paliło — te olbrzymie stosy, z których płomienie buchały w ciemne niebo — te fajerwerkowe snopy iskier, co się, jak potoki manny niebieskiej sypały na wszystkie strony, a przytem ta przedziwna piekielna muzyka trzeszczących belek, załamujących się wiązań dachu, przeraźliwy syk ognia tłumionego wodą, o! to było przedziwnie piękne — razbym to jeszcze przeżyć chciała.

Oczy jej się rozwarły, iskrzyły się, jak u kota.

— No, i co dalej — pytał chciwie Bielecki.

— Całkiem byłam, jak nieprzytomna, przypominam sobie tylko, że z rozpaczą myślałam o tem, iż mogliby ogień ugasić, że niezadługo pozostanie tylko czarna ohyda rumowisk i brudnego węgla — i wtedy po raz pierwszy i ostatni modliłam się żarliwie do Boga, by chciał zesłać silny wicher, któryby rozpędził i rozniósł iskry na wszystkie strony, tak, żeby cała wieś w płomieniach stanęła — ognia! więcej jeszcze ognia! — krzyczało coś we mnie. Miałam ochotę wykraść się, podpalić całą wieś na wszystkich czterech rogach, kazać pędzić bydło w ogień, by się tam na węgiel paliło i ryczało w przedśmiertnych bólach. — I by-

łabym może to zrobiła, ale opiekun stał na ganku dworu i trzymał mnie za rękę, a ręka jego drżała. Spojrzałam na niego. Był blady, jak płótno, patrzył osłupiałym wzrokiem na pożar, który mu całe żniwo zniszczył, a po jego twarzy ciekły łzy. Ba! gdyby to były łzy zachwytu, łzy uniesienia wobec tej niesłychanej piękności, byłabym go ubóstwiała — ale on płakał, bo mu się dobytek palił, a przedtem nie zdążył odnowić ubezpieczonej policy.

To mnie ocuciło, uczułam niesmak, szarpnęłam się, wbiegłam do dworu. Odtąd opiekuna nie lubiłam i w tej chwili postanowiłam, z jego domu się wydobyć.

— Ciekawe, bardzo ciekawe — mruknął Bielecki, i uporczywie wpatrywał się w ogień, przeświecający przez grube szkło drzwiczek pieca.

— Przynajmniej miałaś coś z tego — wielką artystyczną rozkosz, jakiś ogromny przyrost sił, który twoją ekstazę twórczą w tej chwili, bo duszą obejmowałaś ogrom, potęgę i piękność ognia, — ach! jak ci zazdroszczę, — w nieskończoność potęgował.

Ada zacietrzewiała się coraz więcej.

— A widziałeś kiedy, jak się las pali?

— Nie!

— To boskie, to niepojęte, to w słowa ująć się nie da. Przez całą wiosnę raz byłam pod Meranem — lekarze stwierdzili jakiś nieporządek w płucach i posłali mnie do południowego Tyrolu. Kpiłam sobie z wszystkich lekarzy, przez cały dzień uganiałam po górach wśród bajecznych lasów — tam wszystkie wzgórza, wszystkie podnóża nawet najwyższych szczytów porosłe lasami.

A była taka susza i takie upały, że wszystkim winnicom groziło zniszczenie. Zabłądziłam, dostałam się na jakąś ścieżynę, wreszcie na małą polankę całuteńką zasłaną zeszłorocznem listowiem, suchem, jak pieprz.

Zaśmiała mi się dusza.

Odszukałam drogę, którąbym szybko na dół zbiedz mogła — paliłam już wtedy ukradkiem papierosy — zapałki miałam przy sobie, zapaliłam papierosa, wypaliłam go do połowy, a potem wsadziłam, palący, między suche liście. Zeszłam powoli w dolinę.

Ada roztwarła oczy, patrzyła przed się — widocznie chciała sobie dokładnie uprzytomnić krajobraz—dolinę Adygi głęboko, głęboko w dole, jak w jakim parowie...

— Przeszłam przez most, potem przez miasteczko w góry — wysoko — wysoko do

mego sanatorjum. Pamiętam, gdy weszłam do mego pokoju, miałam wrażenie, że jestem w jakimś wspaniałym couloir na krótko przed premjerą. Wiedziałam, że będę musiała jeszcze z godzinę, a może i więcej poczekać, zjadłam z apetytem kolację, otuliłam się w szal, bo było dość wietrzno i siadłam na balkonie.

Czekałam, jak może żadna kochanka swego wybranego nie czekała; w duszy grała mi muzyka niespokojniejsza, jak wagnerowska, gdy Izolda Tristana oczekuje, a nagle krzyk, jakby mi się dusza z pęt ciała wyzwolić miała:

Buchnął olbrzymi słup ognia, ale tak od razu w jednym okamgnieniu—pękł w środku, rozlał się w około, ale jakby się sam zapłodnił, nowy słup ognia wystrzelił w niebo, rozszczepił się, rozwachlarzył się świętem błogosławieństwem nad całym lasem.

— I co? — co? — Bielecki schwycił drżącemi rękoma jej ręce.

Ada opadła.

— Tego opowiedzieć, ani opisać nie można, to trzeba przeżyć, tak, jak ja przeżyłam.

Znowu się podniecała, przycisnęła rękoma piersi, oddychała szybko.

— Palce wsadziłam do ust, by nie krzy-

czeć, wszystkiemi siłami trzymałam się poręczy, by nie wyskoczyć z balkonu i lecieć i gnać, i cały las z wszystkich stron podpalić — ujrzeć raz wreszcie całe palące się morze – rozumiesz? cały ocean płomieni—możesz ty sobie wyobrazić; ocean, który w płomieniach stanie?

Popadła w zamyślenie.

— Im się zdaje, że mają estetyczne wrażenia — ha, ha, ha... — zaśmiała się dziko. — Staną przed jakimś obrazkiem w salonie, dostaną czkawki ze wzruszenia—posłyszą piękną muzyczkę w sali koncertowej, odczuwają lekkie dreszczyki—naokoło Michała Anioła chodzą, jak handlarze bydła, naokoło krowy, przypędzonej na targ — a na własne oczy widziałam, jak jakiś estetа odmierzał Milońskiej Wenerze laską objętość miednicy.

Bielecki wybuchnął nagłym, głośnym, niepohamowanym śmiechem.

I ona na głos śmiać się poczęła.

Bielecki był szczęśliw, że raz wreszcie coś rozprzęgło w nim całodniowe, coraz przykrzejsze rozdrażnienie.

— Powiedz, powiedz, jak to było — zanosił się od śmiechu.

— Wiesz — Wenus Milońska stoi sama

w takim okrągłym saloniku — widzę: wchodzi jakiś niespokojny jegomość, podszedł z tyłu poza Wenerę, obejrzał się ostrożnie, czy go kto nie podpatruje — ułożył laskę pionowo, przymrużył oczy, podchodził, oddalał się, zrobił wreszcie paznokciem znak na lasce, uśmiechnął się błogo i odszedł.

— Ha, ha, ha — nadzwyczajne wzruszenie estetyczne!

Ada zwolna poczęła się rozbierać.

— Jednego tylko odżałować nie mogę — to było głupie i marne — wtedy, gdy podpaliłam tę szopę siana, czy też słomy pod obrazami Borsuka — twoim trzecim dramatem — ha, ha, ha... pod klejnotami Łusi — zanosiła się od śmiechu — a nagle spoważniała:

Wtedy uczułam do siebie taki nieprzemożny wstręt, że gdyby mi się był po drodze ktoś nawinął, powiedziałabym była bez wahania: to ja to zrobiłam, i wstydzę się tego malutkiego czynu — taką pracę na przyszłość możesz powierzyć pierwszemu lepszemu bandycie, ale nie mnie. Zapłacisz mu 10 rubli i rzetelną robotę ci wykona.

Zgrzytnęła zębami, zerwała z siebie żółty, jedwabny gorset, i rzuciła go z wściekłością

na ziemię, i usiadła w pajęczynowo lekkiej batystowej koszuli na łóżku.

Bielecki chciał się roześmiać na cały głos, ale wiedział, że w takich chwilach z Adą żartować nie można.

— Chciałem się właściwie śmiać z twego gwałtownego wybuchu, ale teraz cię rozumiem.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem: kpi, czy mówi prawdę?

Wstał, przysiadł się do niej i objął ją wpół.

— Trafiłeś w samo sedno. Posądzałaś mnie o jakieś wyrzuty sumienia — nie znam tego interesu — myślałaś, że poczynam tchórzyć — nie — nie! słodka gołębico moja... Ja nic więcej nie czuję ponadto, coś ty wtedy czuła, gdyś tę szopę paliła: wstręt obrzydliwy, ohydny wstręt do siebie samego. To wszystko takie maluśkie: olbrzymia maszyna, której wydajność równa się zeru — głupie, barbarzyńskie to wszystko było.

Patrzyła zaciekawiona na niego i czekała.

Bielecki zamyślił się i ocknął się wreszcie po długiej chwili.

— Widzisz, gdym dramaty Górskiego...

— To nie twoje?

— Nie! gdzież tam!

— Aha! I co dalej?

— Gdym je wydał, jako swoje, zdawało mi się, że zyskam sławę, potęgę, władzę nad ludźmi, coś w kształcie deski rozpędowej, z której uda mi się jakieś bajeczne salto mortale urządzić...

Przetarł czoło.

— Była to fatalna pomyłka, Pozostał tylko wstręt i ciężkie obrzydzenie — widzisz to ta wieczna tragedja tych, tak zwanych, mocnych ludzi, że dla jakiejś głupiej, marnej rzeczy wprowadzają w ruch olbrzymi aparat swoich sił. Upoiłem się raz, drugi i trzeci niebywałemi triumfami, a potem przyszedł tem silniejszy katzenjammer — który stał się już teraz chronicznym.

O ile ty jesteś szczęśliwsza: stodołę opiekunowi spaliłaś, las cały doszczętnie zniszczyłaś, ale przynajmniej pozostało ci wspomnienie groźnej piękności, a mnie niesmak, jakbym się starego tłuszczu objadł.

W całkiem mylnym kierunku skierowałem moją siłę i wolę, i to mnie gryzie — rozumiem teraz, że zbrodniarz, który dniem i nocą podkopywał się do jakiegoś banku, w krwawym trudzie rozbijał kasę żelasną, zaskoczony przy pracy ubił stróża nocnego, a wreszcie

znalazł w kasie dziesięć znaczków pocztowych, może sobie z wściekłości łeb o ścianę rozbić.

Przytuliła się do niego gorąco.

— Jakiś ty mój — jakiś ty mój — przechyliła jego głowę w tył i wssała się w jego usta.

— Z zimną krwią potopiłbym setki ludzi, spaliłbym ich w stodole, możebym, się nawet cieszył ich skowyczeniem, gdybym ich mógł do podziemnych lochów wtrącić, ale, żem to, com zrobił, tak bez sensu, i bezcelowo zrobił, to mnie piekielnie gnębi.

— To ty nic nie możesz sam stworzyć? — pytała.

— Cośmy mieli do stworzenia — Górski i ja... ha, ha, ha, ja i Górski, tośmy stworzyli: a teraz amen!

Nagle zerwał się i zaśmiał się ochrypłe.

— Widzisz jak się umiemy we dwójkę pięknie bawić! Tyś skomponowała nadzwyczajną historję o lesie i stodole — a ja chciałem ci się odwdzięczyć, i w tej chwili obmyśliłem tragiczną historję zbrodniarza, który dla siedemdziesięciu kopiejek zabił kobietę... Byłbym ci to daleko piękniej opowiedział, tylko byłem zmuszony pić za wiele szampana i ciężką mam głowę.

— Za dużo piłeś? O nie! Ty nigdy za wiele nie pijesz! Tylko wypadłeś z roli. W tym twój ciężki błąd. I jeżeli się rychło na nogi nie postawisz i Kotowicza nie usuniesz, to prędzej, niż się spodziewasz, klamka za tobą zapadnie.

— Wiem.

— Sam tu nie poradzisz, ja ci pomogę.

— Chcesz mnie ratować? — uśmiechnął się pogardliwie.

— Nie, nie! chcę ci tylko dać chwilę spoczynku, byś mógł odsapnąć, by ci ktoś przypadkowo na tym ślisgim gruncie nogi nie podstawił.

— A dlaczego ty to robisz?

— Bo ja wiem? może się powoli zakochałam w tobie — nie wiem, czym zdolna do tego, ale ty jesteś mi z wszystkich ludzi najbliższym — w pierwszej chwili, gdym cię spotkała, powiedziałam ci, że ty i ja nierozerwalnie przynależymy do siebie.

— Ja do nikogo nie przynależę — uśmiechnął się słodko.

— I ja też nie! naśladowała grymas jego uśmiechu — tylko ty i ja razem przynależymy do siebie — każde z nas, pojedyńczo, do nikogo.

— Nadzwyczajna kazuistyka... — roześmiał się cicho. — To, com ci przed chwilą powiedział, powiedziałem w tej myśli, by się oddać w twoją moc, dać ci broń przeciwko sobie, i patrzeć potem, jak ty z tego skorzystasz — i —

— Po co jabym miała korzystać z zupełnie niepotrzebnych, a kto wie, może kłamliwych zwierzeń?

— Po co? Mówiłaś, że przynależymy do siebie. Bolałoby cię, gdyby coś nas rozerwało?

— To nigdy nie nastąpi.

— Ale dajmy na to, żebyś mi się znudziła, a jabym do innej kobiety poszedł?

Parsknęła śmiechem.

— Może do tej dzisiejszej pani Ligęzy? — to nie dla ciebie — toby ci się znudziło po paru dniach... zamyśliła się — ja wiem, że tam jutro, pojutrze pójdzesz — idź, idź, tylko to wszystko takie bezcelowe, taki brak w tem, świadomej swoich dróg, mocy.

— A ty czego szukasz?

— Na razie ciebie szukałam, a niech Bóg-Szatan cię uchowa, jeżeli mi się zgubisz.

— To?

Zaiskrzyły się jej oczy, popatrzyła na niego głęboko:

— Nie, nie! roześmiała się nagle — ty kochać nie umiesz — co najwyżej skóra twoja kocha — odrzuciła kołdrę i wyciągnęła się na łóżku.

Głaskał ją oczyma.

— Słodkie masz oczy — mówiła — ja twej miłości nie potrzebuję, mnie starczy to przeświadczenie, że przynależymy do siebie — o! patrz! już świtać poczyna — zróbmy sobie noc — zapuść żaluzje — dorzuć parę polan do ognia — i chodź do mnie.

Spuścił żaluzje, dorzucił drzewa do pieca, i usiadł na krawędzi łóżka.

Oparła głowę na ręku i patrzyła na niego przenikliwie.

— Ciebie jeszcze jedna troska gnębi — pełnemi garściami wyrzucałeś pieniądze — ja cię dużo kosztowałam — ale to głupstwo! za parę dni będę ja miała pieniądze.

— A jakim sposobem?

— A co cię to obchodzi? Czy ja cię pytałam, skąd ty pieniądze brałeś.

Roześmiał się sucho.

— Nie chcę być twoim utrzymankiem.

Zerwała się:

— Toś ty mnie uważał za twoją utrzy-

mankę, gdyś na mnie garściami pieniądze wyrzucał?

— Nie!

— No więc...

Powiedziała to z takiem szelmowskiem brzmieniem w głosie, że musiał się serdecznie roześmiać.

Zwarli się z sobą.

Bieleckiemu pociemniało w oczach. Przez chwilę zdawało mu się, że trzyma w objęciach panią Ligęzę, że drapieżnemi szponami pochwycił już jej duszę, całą ją teraz rozgrzebuje, by wreszcie uchwycić rdzeń zagadki, którą rozwiązać musi.

— Przynależała już do kogo, czy nie?...

Ada owinęła się wokół niego, ramionami oplotła mu szyję tak silnie, że się z trudem z tego uścisku uwolnić zdołał.

— Ja cię jeszcze kiedyś uduszę — szeptała namiętnie. — Znieść nie mogę, że ty żyjesz, to mi spokoju nie daje i jak długo żyć będziesz, nie będę go miała.

— No, a to czemu? — nadsłuchiwał.

— Czemu? czemu? — Ada chwilę myślała.—Ja cię tak nienawidzę, że przeraziłbyś się gdybyś zdołał spojrzeć w otchłań mej nienawiści. Każden włos na mojej głowie cię

nienawidzi — moje palce kurczą się wściekłe ile razy na ciebie spojrzę—nienawidzę twego uśmiechu, poza którym słyszę wiecznie zimne, cyniczne szyderstwo i pogardę—w oczy twoje patrzę wtedy tylko, gdym zmuszona porozumiewać się z tobą, najchętniejbym ci je wydrapała... Ach, jaką rozkosz przedwczoraj przeżyłam! Kupiłam twoją fotografję...

— No — no?

— Przez całą drogę coś mnie gnało, nie szłam, ale pędziłam wprost przed się, wpadłam do pokoju, zamknęłam na klucz drzwi — wyciągnęłam fotografję — twoją łotrze, twoją! — położyłam na stole i zaczęłam się nad nią pastwić.

— Literacki pomysł!

— Literacki, nie literacki, wszystko jedno, ale nie pamiętam, kiedy taką rozkosz przeżyłam. Wzięłam długą szpilkę i zaczęłam ci oczy wykłuwać — z początku, jakby w przerażeniu z lękiem i wahaniem, a potem już z całą zaciekłą pasją coraz szybciej, coraz silniej wbijała się szpilka w twoje szatańskie ślepia — oczekiwałam cudu: myślałam, że teraz krew tryśnie, trysnąć musi! — Cud się nie stał — przedziurawiłam całą fotografję, podarłam na kawałki i rzuciłam do pieca.

— Szkoda — zaśmiał się Bielecki. — Chętniebym siebie widział z wykłutemi oczyma. Ale dlaczego ty mnie tak nienawidzisz?

Ada wyprężyła się — odsunęła od niego i patrzyła w sufit.

— Czemu ja cię nienawidzę? Nie trudna odpowiedź. Chciałabym, żebyś był mój, całkiem mój, a wiem, że nigdy nim nie będziesz.

— To ty mnie kochasz?

— Bo ja wiem czy to miłość? Wiem tylko, że na myśl o tobie zgrzytam zębami z wściekłości, wiem. że ręce moje wszczepiłyby się najchętniej, jak kleszcze w twoje gardło, kolana moje najchętniejby dusiły twoje piersi, żeby wszystkie żebra trzeszczały, najwyższą moją rozkoszą byłoby patrzeć, jak się dusisz, jak twarz twoja zielenieje, oczy słupem stają w przedśmiertnym strachu — a potrzebujesz się tylko mnie dotknąć, już gorące płomienie buchają z zarzewia, a jeżeli się moje ramiona wyciągają ku tobie, to do miłosnych oplotów, jeżeli usta się ku tobie roztwierają to nie na to, by gryźć, ale całować bez końca, bez opamiętania... tak! jak teraz... jak... teraz... cię całuję!

Całowała całe jego ciało z jakimś rozpacznym szałem, to znowu w nabożnem uniesie-

niu — cichą, łechczącą pieszczotą i znowu w bezpamiętnem opętaniu, aż wreszcie opadła cała wyczerpana na posłaniu.

Dyszała ciężko, a nagle siadła i zaczęła mu się głęboko przypatrywać.

Zimny dreszcz zbiegł wraz Bieleckiego, zląkł się czegoś, ale nie wiedział, co to było.

— Nie widzę teraz twoich oczu — zaśmiała się ochryple — nie widzę ich lęku, ale czuję, że go masz w sobie... a... a... poczekaj, może chcesz papierosa? Sięgnęła na stolik po papierosa, włożyła mu do ust, i zapaliła — widzisz, teraz możesz spokojnie słuchać.

— Mów, mów, z rozkoszą słucham twego głosu.

— Nie potrzebujesz się lękać, bym cię zdradziła, bym chociaż rąbek twoich tajemnic odsłoniła — nie, nie! wiesz o tem dobrze — o co innego mi chodzi...

— No?

— Myśmy za bardzo spokrewnieni, byś mnie mógł na chwilę oszukać, albo choćby nawet tylko w pole wywieść.

— Wiem o tem.

— Ty — wykrztusiła — ty myślisz o innej!

— Nie!

— Teraz, w tej chwili nie! Ale, gdyś mnie

tak gorąco do siebie przygarniał, i tak oplótł, jak jeszcze nigdy przedtem, myślałeś o innej — nie czekam wcale twego zaprzeczenia lub potwierdzenia, to mi obojętne, bo wiem, że myślałeś...

— O kim ja mogłem myśleć?

— O tej drobniutkiej, maleńkiej, tej z tym dziewiczym, białym pyszczkiem, tym ogromem miedzianych włosów na głowie... tej pani Ligęzie — och! jak ty na nią patrzyłeś — nie! ty się nie gapisz, ty zdajesz się nie widzieć, ale jedna błyskawica, która z twych oczu strzeli, więcej ci rozjaśni, aniżeli innemu gapienie się przez lata całe.

— Niebezpieczna kobieta — pomyślał Bielecki — jasnowidząca, czy co?

— Ty myślisz, że jestem zazdrosna? Nie, nie — śmiała się pogardliwie — możesz robić, co zechcesz, ale już moim na zawsze pozostaniesz — jak długo tylko zechcę, pozostaniesz moim. Ty możesz pragnąć mocy, sławy, władzy, i jak tam te wszystkie marne głupstwa się nazywają, a ja pragnę ciebie tylko, i dlatego zostaniesz moim.

— Zostanę twoim — Bielecki mówił to w tej chwili z głębokiem przeświadczeniem —

o ile mi w drogę wchodzić nie będziesz, ani też woli mej krępować.

— Nie będę, nie będę...

— Teraz już wszystko między nami jasne? Wszystko, wszystko...

Ogień w drzwiczkach żelaznego pieca dogasał, tlił się, zamigotał jeszcze raz po raz, a potem skonał.

Głucha ciemność zaległa pokój.

VII

Obudził się.

Spojrzał na zegarek. Była już druga popołudniu.

Wstał cicho z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać.

Spojrzał na Adę. Spała, oddychała spokojnie, a na jej ustach nawet we śnie ten zimny szatański uśmiech, który go zawsze — nie lękiem — niel ale swoją nierozwiązalną zagadką irytował.

Ale nie miał teraz czasu na rozwiązywanie zagadek — zresztą ta go już zbytnio nie nęciła — on pragnął tajemnicę całkiem innej duszy ludzkiej odsłonić.

Ubierał się po cichuteńku, jak złodziej, który się nauczył cienia nie rzucać, i nie zadzwonić dzwonkami, którymi był cały obszyty, a skradając się, umiał tak stąpać, że sto-

pa jego w miałkim piasku odcisków nie robiła.

To ostatnie tak mu się podobało, że na cały głos wybuchnął śmiechem.

— Jeszcze nie zdążyłem oprzytomnieć po tym przeklętym szampanie — rausch — kolosalny rausch!

Ada obudziła się — wpół senna błądziła ręką wokół siebie, ocknęła się, zerwała i usiadła na posłaniu.

— Co? co? Ty już idziesz?

— Bój się Boga, toć to już druga godzina popołudniu.

— A ja tak się cieszyłam, że przez cały dzień u mnie pozostaniesz. Pozostań, tak cię bardzo proszę, ja cię tak rzadko o coś proszę, ale dziś pozostań ze mną.

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę — zawiązywał pospiesznie krawat.

— Nigdy cię już o nic nie poproszę, ale dziś zrób mi tę łaskę pozostań u mnie.

— Nie bądź natrętna — oburknął gniewnie — jeżeli ci mówię, że nie mogę, to nie mogę.

Był zirytowany, już kilkakrotnie próbował zrobić prawidłowy węzeł krawatu, ale mu się nie udawało.

Ada przymrużyła oczy.

— Coś ty powiedział? ja? ja — natrętna?

Spojrzał na nią, uczuł jej wzrok, jak obuch tępej siekiery, i w jednej sekundzie opanował się.

Podszedł ku niej, gładził jej ramiona i ręce.

— Umyślnie to powiedziałem — byłem bardzo ciekaw, w jaki sposób ty na to zareagujesz... i chciałem — a dawno już nie widziałem go — chciałem ujrzeć ten do szpiku i kości przeszywający wzrok, ostrzejszy nawet, aniżeli twoje paznokcie, któremi już przy pierwszem spotkaniu poorałaś mi ramię.

Spojrzała na niego zimno — lodowato i lodowatym uśmiechem wykrzywiły się jej usta.

— Aha! taki mały literacki eksperyment — pozwól, wstanę, zrobię herbaty, przecież tak całkiem na czczo tam polecieć nie możesz.

— Dokąd?

— No, do pani Ligęzy.

Wstała, narzuciła na siebie szlafrok, i zakrzątnęła się naokoło maszynki do herbaty.

— Ani mi się śni, tam iść.

— Wstydź się — masz nieczyste sumienie — poraz pierwszy mi kłamiesz. I dlaczego? — mówiła zimnym, oschłym głosem — czy masz jaką potrzebę, kłamać mi? Czy jesteś wogóle czemś skrępowany wobec mnie?

Bielecki trzeźwiał.

— Słuchaj Ado, proszę cię bardzo, byś z jakiegoś wpół nieprzytomnego powiedzenia nie robiła żadnych tragedji. — Nic nie znam ohydniejszego w stosunku miłosnym.

— Miłosnym? — Ada zaśmiała się cierpko — co ty nazywasz miłosnym stosunkiem?

— No, jeżeli nie miłosnym, to takim, jaki nas wiąże.

— Prawda — Ada zamyśliła się — takim go chciałam mieć.

— A więc też — jesteś mądrą i sprawiedliwą niewiastą — więc mówię ci, że nie znam nic ohydniejszego w stosunku takim, jak nasz, nad sprzeczki i kłótnie: to wkracza już w zakres małżeństwa i jego najistotniejszych praw.

— Prawda — potakiwała Ada, oczy jej wlepione w maszynkę do herbaty, błądziły w ciemnych przestworzach.

— O czem ona teraz myśli? — Bielecki był zaniepokojony.

Odwróciła się nagle do niego.

— No? jakże? Takeś się głęboko we mnie wpatrzył — jeszcze nie odgadłeś o czem myślałam?

— Nie! Przyznaję się uczciwie, że nie.

— Ha, ha, ha — ty taki przenikliwy i nie odgadłeś moich myśli?

Nalewała herbatę do filiżanek, postawiła je na stole i przysiadła się do niego...

— No, pijże, póki gorąca — pani Ligęza na ciebie czeka — obiadu zjeść nie zdążysz — a tak znowu na czczo — tak całkiem na czczo flirtować — to niezdrowo... Ale, co ja chciałam powiedzieć — prawda? Byłeś ciekaw, com ja przed chwilą myślała? Otóż ci powiem — opowiadałeś mi kiedyś, że przed wejściem do wil rzymskich patrycjuszy stał napis: Cave canem! Miej się na baczności przed psem — i to cave canem! cave canem! rozigrało mi się w duszy we wszystkich możliwych tonacjach — w warczeniu, szczekaniu, w przeciągłem wyciu, zajadłym wrzasku...

Bielecki popatrzył na nią bardzo uważnie, a potem uśmiechnął się.

— To znaczy?

— Przenośnia byłaby zbyt naciągnięta, ale sens ukryty rozumiesz.

— Grozisz mi?

— Ja tobie grozić? Tak ja mam cię w rękach, jak ty mnie.

— Ale w każdym razie: cave canem!

— Kot gorszy od psa.

— Słusznie powiedziałaś! Ale do czego ty zmierzarz?

— Do czego? — Wstała, zamknęła drzwi na klucz, wyciągnęła go z zamku i wsunęła go nieznacznie do kieszeni szlafroka.

— Chciałeś mną eksperymentować, nazwałeś mnie natrętną, gdym cię prosiła, byś został, a teraz ja mały eksperymencik urządzę: zamknęłam cię na klucz, i nie wyjdziesz stąd, dopóki ci na to nie pozwolę.

Bielecki zmarszczył brwi.

— Gwałcić mnie chcesz?

Na cały głos się zaśmiała.

— Spójrz na nas zdaleka: żywy obraz: Józef i Putyfara!

— Nie błaznuj — żachnął się Bielecki.

— Ordynarny jesteś — śmiała się lekko, swobodnie, wyzywająco.

Bielecki się zawstydził.

— No, no: trochę łaciny od ciebie się nauczyłam — post — jak to tam dalej?

Bielecki opanował się, przykra i niemiła do tej chwili sytuacja poczęła go śmieszyć — przytem rozbrajała go coraz więcej wprost zdumiewająca, prawie dziewicza świeżość cery na twarzy Ady.

— Zapomniałeś jak dalej? omne animal...

— Omne animal — powtórzył Bielecki.

— Triste!

— O nie, nie! — schwycił ją, przygarnął do siebie, całował po twarzy, szyi, piersiach — zdawał się omdlewać, tonąć w oceanie rozkoszy.

A ona poddawała się jego pieszczotom z zimnym chichotem, o tysiące mil od niego odbieżała.

Posadził ją na łóżku.

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby go oczyma na kawały rozszarpać chciała — wreszcie uśmiechnęła się skrycie i podstępnie.

Znowu zdjął Bieleckiego lęk. Tego uśmiechu jeszcze nie znał — on od paru dni dopiero się pojawił — co się za nim kryło?

— Wiesz Heniu — mówiła pieszczotliwie i kołysała się na łóżku — tak cudownie — tak niesłychanie odegrałeś komedyę, że ci się za to należy nagroda. Masz klucz — i możesz teraz pójść — wyciągnęła klucz z kieszeni szlafroka — masz — no? nie chcesz brać? Ale wstydźże się, mocny człowieku — nie brać. jak ci się daje? położyła klucz na stole.

Patrzyli na siebie. Bielecki wsadził ręce do kieszeni, i aksamitnem, łaskoczącem spojrzeniem głaskał jej biust, między otwartym szlafrokiem jej piersi, z których koszula opadła.

— Tyle razy cię widziałem, ale ty za każdym razem inaczej piękna.

— Tobie spieszno — pani Ligęza czeka — klucz na stole — możesz iść.

— I dumny jestem, że cię poraz pierwszy widzę zazdrosną o mnie, i do tego kobietę tak piękną, którąby mogła mieć na każde skinienie dziesięciu mężczyzn u każdego palca.

— Czemu ty, łotrze, tak się wykoleiłeś? Dlaczego zachciało ci się być literatem, kiedybyś ty mógł zostać najwspanialszym komedjantem, jakiego świat jeszcze nie oglądał?

— Z czemżeby cię porównać można? Bielecki ogarniał ją oczyma i udawał, że nie słyszy, co Ada mówi — z łasicą — jesteś pieściwą i gibką, jak ona — z panterą z samicą leoparda — cudowne zwierzę z — tygrysicą? gdy jesteś zła, to oczy twoje stają się zielone, jak oczy tygrysicy...

Nagle, jakby się ocknął z zachwytu nad jej pięknością:

Ado, zmiłuj się, toś ty się we mnie rozkochała? Co za niepojęty cud! Mnie jeszcze żadna kobieta nie kochała. Bały się mnie — chciały kochać, ale nie śmiały... Ha, ha, ha... Ty jedyna! ciebie na to stać, by mnie kochać...

Stał chwilę zamyślony.

— Lękam się tylko, czy nasz stosunek się nie popsuje. Całkiem inny układ był między nami. — To miało być wszystko tak „en camerades" — a teraz się coś zmienia — miłość poczyna nam bruździć.

Zerwała się.

— Tobie się zdaje, że ja cię kocham? Śmiała się — nie! ja cię nie kocham, ja chcę cię tylko mieć... nic więcej — ale teraz już idź — idź!

— Tak, teraz już czas — Bielecki wziął klucz i otworzył drzwi.

— A, słuchaj tylko — zajdź do Schütta — tam napewno spotkasz Poraja, powiedziałam mu wczoraj, że z pewnością po południu zajdziemy — on tam czeka — powiedz mu, że go do siebie proszę.

Bielecki pocałował ją w rękę.

— Wstąpię i powiem mu, żeby do ciebie przyszedł — tak?

— Tak!

— Dobrze!

Bielecki wyszedł na ulicę i przystanął, jak zatumaniony.

Ogromnymi płatami padał śnieg, więc podniósł kołnierz futra do góry, popatrzył przed

się, popatrzył na niebo, i zauważył głęboko, że śnieg pada.

Czuł niepokój — niezmiernie przykry, drżący niepokój w sobie, ale nie mógł się na razie zorjentować, coby to było.

Jeszcze całkiem nie otrzeźwiałem po tej całej nocy — pomyślał — no! Heniu, weź mózg w łapy — o! tak!

Raźno przebrnął ulicę, po kostki śniegiem zasypaną.

Pochylił się, nabrał w garście śniegu — przetarł czoło — to go orzeźwiło.

— Gdyby mnie teraz ktoś widział — pomyślał — mniejsza o to — w każdym razie doskonale mi to robi... A! obejrzał się — może Ada mi się przypatruje i chichocze złośliwie... nie! story u okien mieszkania Ady były szczelnie zapuszczone.

Włożył czapkę na głowę i szedł ku miastu.

Tu mi grozi największe niebezpieczeństwo — rozmyślał po drodze — Łusia! Ha... Łusia niewinne jagniątko, wobec tej drapieżnej, tej krwiożerczej łasicy, pantery, tygrysicy... Trzeba się jej pozbyć, zaczem zdoła mi łapę na łbie położyć, a może i oskalpować...

Cave canem! — powiedziała — zdumiewające, jakim ona to głosem wypowiedziała —

To brzmiało, jak pomruk burzy, jak groźba Sądu Ostatecznego — no — no! Już ja sobie z tobą radę dam, już ja ci pazurki przytrę: chytrą jesteś, podstępną, a co najgorsza: zakochaną.

I któżby się spodziewał, że taka kobieta zakochać się może. Jeżeli której byłem pewien, że jest wolną od tych idjotycznych, paranoicznych, hystero-epileptycznych sentymentów, jakimi jest miłość, to, właśnie jej. I masz tu djable pociechę!

O — o! znowu pomyłka!

Wstrząsnął się.

— Panie Bielecki! cave canem! Na każdym kroku pomyłka: pomyłka z Łusią, pomyłka z twoim literackim zawodem, pomyłka co do wszystkich dróg, któremi chciałeś dobrnąć do jakiegoś celu — urojonego, bo jasno go nie widzisz przed sobą, i teraz nowa i najprzykrzejsza pomyłka: zdawało ci się, że zyskasz wspólnika — a tu — psiakrew! miłość samicy zwaliła ci się na kark.

O! to już nadspodziewane, a przedewszystkiem nadprogramowe — cały, caluteńki program tym nadprogramem zepsuty.

Cave canem! Cave canem! powtarzał w głębokiem zamyśleniu.

Oczywiście, że wstąpię do Schütta, powiem jak najdelikatniej, jak najoględniej panu Porajowi, aby zajrzał do panny Karskiej, bo ja jej dziś wskutek niesłychanie ważnych interesów, towarzystwa dotrzymać nie mogę, a ona się przy tem obrzydliwem pierwszem święcie na śmierć zanudza.

Na to zerwie się pan Poraj na równe nogi, zaczerwieni się po same uszy — na ustach będzie miał radosny wykrzyk: Co za niespodziane szczęście! ale, jako dobrze wychowany człowiek powie tylko: z największą przyjemnością. Panna Karska była tak łaskawą zezwolić, bym jej mógł złożyć moje uszanowanie więc tem milej mi będzie, dziś to już załatwić.

Tak a nie inaczej powie dobrze wychowany, wytworny pan Poraj, który świetnie strzela, żadnej dziury jeszcze w powietrzu nie zrobił. — Jak to dobrze, że on tak świetnie strzela — Ada, zdaje się, chciałaby to sprawdzić... Jak mi Bóg miły! to Kotowicz ma służyć za tarczę dla celnych strzałów Poraja.

Bielecki zacierał ręce.

Wspaniały pomysł!

W kawiarni Schütta jeszcze Poraja nie było. Bielecki napisał na wizytówce polecenie Ady i oddał kelnerowi, by w tej chwili wrę-

czył to panu, który lada chwila nadejdzie i tak a tak wygląda — opisał dokładnie wygląd Poraja.

— Wiem już — wiem...

— Więc dobrze...

— Przepraszam pana, ale pan Kotowicz — wczoraj...

— Co znowu zrobił?

— Cała awantura.

— No?

— Nad ranem zaczął rozbijać wszystkie flaszki, szklanki, kieliszki — niech wielmożny pan wybaczy — ale, jak się to powtórzy, to nam kawiarnię zamkną... policja się zleciała.

— Już się to nie powtórzy — Bielecki dziwnie się uśmiechnął — ile szkody narobił?

— Na pięćdziesiąt rubli, wielmożny panie.

— To niech płaci.

— Chyba więzieniem odpowie, bo płacić nie ma czem.

Bielecki zamyślił się.

A możeby pozwolić, by go do dziury zasadzono na jakieś parę tygodni? Ale nie! Nie trzeba krzyżować zamiarów Ady — Kotowicz musi być w każdej chwili pod ręką.

— Więc ile?

— Pięćdziesiąt rubli.

— Powiedzmy trzydzieści — tyle zapłacę — więcej ani kopiejki.

Kelner pochylił strapioną głowę.

— No, trudno, resztę będzie musiała kawiarnia ponieść.

Bielecki rozejrzał się — co to on chciał jeszcze powiedzieć?

W drzwiach stanął Poraj i rozglądał się niespokojnie po kawiarni.

Bielecki podszedł ku niemu.

Poraj głęboko się ukłonił.

— Tylko nie tak ceremonjalnie, kochany książę.

— To nie są ceremonje — to prosty wyraz mego głębokiego szacunku, jaki dla pana żywię.

— Dałbyś książę spokój: ja szacunku nie potrzebuję, trochę wzajemnej sympatji starczy za dziesięciokrotnie wzmocnioną dawkę szacunku — cieszę się bardzo, że pana spotykam, bo właśnie w tym zamiarze tu wstąpiłem.

— Czy mogę panu czem służyć?

— Owszem! Dzisiaj jest pierwsze święto — najohydniejszy ze wszystkich dzień, bo wszystko pozamykane, ulice puste, całkiem, jak w Londynie każdej niedzieli. Panna Karska — spojrzał badawczo na Poraja — o! o! — po-

myślał — tego obłudy nie zdołali nauczyć, — jak się odrazu zmienił — panna Karska prosiła mnie, by jej przez dzisiejszy dzień towarzyszyć — niestety nie mogłem — więc będę panu bardzo wdzięczny, jeżeli pan zechce pannę Karską odwiedzić.

Poraj skłonił się. Dla pokrycia wzruszenia, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

— Zapewniam pana — zagadnął Bielecki — że będzie pan miłym gościem.

Poraj patrzył na niego niepewny.

Bielecki wziął go serdecznie pod ramię.

— Panie Poraj — dostał się pan przypadkowo, czy też samochcąc w nasze towarzystwo — my się nie krępujemy temi tysiącznemi względami, które stanowią wasz żelazny kodeks. W naszem towarzystwie, podkreślił to „naszem" — naszem pożyciu istnieje tylko jedno prawo, które nasze stosunki towarzyskie reguluje: sympatja lub też antypatja. Proste? co?

Poraj się znowu skłonił przed wielkim i słynnym człowiekiem.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, że pan... nie dokończył...

— Ale może ja pannie Karskiej — może moja wizyta — poprawił się — nie będzie pannie Karskiej na rękę.

— Przeciwnie, przed chwilą z nią mówiłem, i przyrzekłem jej właśnie, że pana odszukam.

— A to się dobrze złożyło, Poraj silił się na swobodny ton — bo ja właśnie nie wiedziałem, co z dzisiejszym dniem począć... panna Karska raczyła łaskawie zezwolić bym jej uszanowanie złożył, więc rad jestem, że już dzisiaj będę mógł to zrobić.

Mówi, jak przewidziałem — pomyślał Bielecki.

— No, a teraz mi spieszno już.

Uścisnęli sobie bardzo serdecznie ręce, Poraj wyprowadził Bieleckiego do drzwi, Bielecki skinął na sanki — wsiadł:

— Do Bristolu — co koń wyskoczy.

VIII

Poraj był tak zdenerwowany, że w pierwszej chwili nie wiedział, co z sobą począć.

Jakaś wewnętrzna drżączka nie pozwalała mu rąk spokojnie utrzymać.

Więc ona go kazała przez Bieleckiego prosić, by jej przez cały dzisiejszy dzień dotrzymał towarzystwa — ona sama kazała go prosić...

— Kazała mnie prosić, powtarzał z radością jakiej nigdy jeszcze dotąd nie doznał, — i cały dzień zostanę z nią sam na sam — nie mógł objąć ogromu tego szczęścia.

Przed jego oczyma wykwitła postać Ady, gdyby smukła łodyga śnieżnej lilji, słyszał jej głos słodki i kojący, gdyby muśnięcie lekkiego wiatru w znojny i upalny czas, a oczy błyszczące, a równocześnie, jakby lekką mgłą przysłonięte, wświecały się w niego, jak para

bliźnich gwiazd w mroźnej, roziskrzonej nocy styczniowej.

Serce niespokojnie tłukło mu się w piersiach. A jak rozbujany dzwon od jednego krańca mózgu do drugiego kołysał się refren:

— Sama mnie zaprosiła — sama kazała mi dzisiaj przyjść.

— Trzeba się tylko uspokoić — pomyślał — przecież nie pojadę do niej w tym stanie.

Wypił kilka filiżanek czarnej kawy i zwolna się uspokoił. Niepokój opadał na dno duszy, gdyby mętny osad, a teraz rozlała się w nim krystaliczna błogość i szczęśliwość.

— Kwiatów, dużo kwiatów jej powiozę! — strzeliło mu nagle do głowy — ale gdzież tu dzisiaj kwiaty dostać? przy pierwszem święcie!

Zawołał kelnera i długo z nim konferował — po pierwszym rublu napitku kelner poskrobał się zamyślony w głowę — po drugim rozjaśniło mu się w mózgu.

Uderzył się w czoło.

— Mam krewnego, który jest pomocnikiem w największym zakładzie ogrodniczym tu w mieście.

— To dajże jego adres i napisz parę słów do niego — Poraj dał mu trzeciego rubla.

Kelner podbiegł do bufetu, i za chwilę przyniósł list z adresem.

— Teraz proszę mi zawołać automobil.

Gdy wsiadł do automobilu, owładnął nim znowu przykry niepokój.

— A może zniecierpliwi się, nie będzie czekała: wyjdzie z domu — aż mu się serce skręciło na tę myśl, ale maniackie pragnienie, by cały jej pokój wypełnić kwiatami, przemogło.

— Proszę jechać szybko, zapłacę podwójną taksę — powiedział do szofera i wsiadł do automobilu.

Nie poznawał siebie — coś dziwnego z nim się działo, ale nawet nie myślał nad tem się zastanawiać. Taka radość, takie szczęście, taka gorąca tęsknota rozpierała mu piersi, że choćby miał się teraz dostać na samo dno piekła, toby z rozkoszą w nie się rzucił.

Niedługo, już niezadługo ją ujrzy, będzie całować jej ręce, będzie patrzył w jej oczy, ogarniał wszystkiemi zmysłami przedziwną harmonję jej ciała i w nabożnem skupieniu słuchał brzmienia jej głosu, a gdy usłyszy jedno przyjazne jej słowo dla siebie, będzie się poił słodkiem uczuciem wdzięczności i jasną, bezmiernie daleką, to znowu bliską, przezroczą

i znowu zamgloną — utęsknioną i nadziejną oddalą, a może pobliżem...

— Czego? — zapytał nagle z trwogą...

Nie wiedział — nic nie wiedział — on tylko teraz pragnął mieć czemprędzej całe naręcza kwiatów, i potem do niej — do niej...

Wpadł w stan gorączkowego zniecierpliwienia.

Drżał na myśl, że mogłaby z domu wyjść, zaczem zdąży przyjechać.

Automobil przystanął wreszcie — Poraj wysiadł, zadzwonił do furtki prowadzącej do wielkiego zakładu ogrodniczego.

— Czy pan jest pomocnikiem właściciela tego zakładu? — zapytał rosłego chłopaka, który mu furtkę otworzył.

— Niel pomocnik wyszedł na miasto.

Poraj zatrząsł się.

— A pan sam jest?

— Jest.

— To poproś go pan w ważnym interesie.

Poraj opanował się odruchowo — będzie musiał spokojnie i poważnie pomówić, inaczej wzbudzi podejrzenie.

— Czego sobie pan życzy? — przed nim stał krępy mężczyna o inteligentnej, i jak się Porajowi wydało — sympatycznej twarzy.

— Jestem w wielkim kłopocie, szanowny panie, przyjechałem na ślub mojej siostry... latam po całem mieście, nigdzie nie mogę jednego kwiatka dostać.

— I u mnie pan go nie dostanie — zaśmiał się dobrotliwie — jakkolwiek chętnie chciałbym służyć, ale nie mogę.

— A to dlaczego? — pytał Poraj z udanem zdziwieniem.

— Dziś pierwsze święto — nic panu sprzedać nie mogę — bo grozi mi ciężka kara — ogrodnik patrzył teraz podejrzliwie na Poraja — może to jakaś pułapka? pomyślał.

— Więc dobrze, to ja złożę u pana pieniądze w wysokości, jakąby ewentualna kara wynieść mogła. — Rozumiem dobrze, że pan może się obawiać, czy ja przypadkowo nie przybyłem w charakterze kontrolera — więc, by się wylegitymować, pokażę panu mój paszport.

Ogrodnik spojrzał na paszport, i skłonił się głęboko.

— Wobec tego postać rzeczy się nieco zmienia.

Poraj uśmiechnął się.

— Ja, proszę pana, wczoraj już — rozumie pan — listownie zamówiłem kwiaty u pa-

na, a dziś je odbieram. Już wczoraj zamówiłem — powtórzył raz jeszcze.

I inteligentny i niezwykle sympatyczny ogrodnik — Poraj chciałby go teraz uściskać — też się uśmiechnął.

— Prawda! zamówienie napisze pan postnumerando.

— Oczywiście.

— Dziś rano otrzymałem świeży transport kwiatów z Riviery...

— Doskonale!

Ogrodnik zaprowadził Poraja do oranżerji — Porajowi serce się śmiało głęboką radością na widok spienionych, kwiecistych fal, które całą oranżerję zalewały.

— Wybierz pan, co najpiękniejsze — o! ten snop róż białych, żółtych, różowych — i te — te pąsowe, prawie czarne — i mnóstwo orchidei.

— Bardzo kosztowne.

— Wszystko jedno — o! i tam widzę kale i biały podwójny bez — doskonale...

Oczy jego latały po całej oranżerji.

— To ja wszystko kupię — powiedział.

Ogrodnik roześmiał się.

— To niemożliwe, bobym jutro nie mógł mego składu w mieście otworzyć — ale jakąś

część panu odstąpić mogę — za sto pięćdziesiąt rubli, co najwyżej.

— Dobrze — dobrze, tylko niech pan się szybko załatwi. A wazony pan ma?

— Mam.

— No, to niech pan wybierze co najlepszego i najodpowiedniejszego i ile pan uważa, że potrzeba, by pomieścić tę ilość kwiatów.

W przeciągu pół godziny cały automobil był wprost zapchany olbrzymiemi naręczami róż, lilji, orchidei, kosztownem kwieciem pełnego bzu białego, kiściami hiacyntów i mimozy.

Teraz był tak uradowany, że byłby najchętniej padł ogrodnikowi na szyję.

Nigdy z taką rozkoszą nie płacił.

— I daj mi pan jakiego chłopca do pomocy, bo sam sobie z tem rady nie dam. A może kaucję panu zostawić w razie jakiejś kary — zapytał...

— Nie, nie! — ogrodnik uśmiechał się — ja wiem, że mnie książe niezadługo znowu odwiedzi.

Poraj wsiadł z tysiącem ostrożności do automobilu, by kwiatów nie uszkodzić, chłopak usadowił się obok szofera.

Automobil pędził z szybkością uwłaczającą godności wszelkich przepisów policyjnych.

A młode, rozkochane, pierwszą ślepą miłością opętane serce Poraja tłukło się niepohamowanym triumfem — miał uczucie, że już nawpół bitwę wygrał, ale równocześnie drżący niepokój, jak ona go przyjmie — jak odważy się jej kwiaty — ten biedny symbol tego, co czuje, u nóg złożyć...

Automobil przystanął — kazał poczekać. W sieni się zawahał. A może jakiś nietakt popełnię — skamieniał na tę myśl... pierwszy raz — z pierwszą wizytą, i od razu z całą oranżerją kwiatów...

— No, teraz przepadło... Odwagi!

Nagle uśmiechnął się podstępnie... genialna myśl — aha! to go dostatecznie wytłumaczy... całkiem uspokoił się — ale gdy wchodził po schodach, nogi się pod nim uginały.

Ada Karska! wyczytał na drzwiach — zadzwonił. — Opanuj się na Boga! krzyknął w siebie. Czekał chwilę.

Jezus Marja! niema jej w domu — zadygotało mu serce.

Ale w tej chwili posłyszał szelest jedwabnej sukni w kurytarzu.

Drzwi się otworzyły. Ada sama stała w drzwiach — Poraj głęboko się skłonił.

— A! to pan — powiedziała to wesoło i serdecznie i wyciągnęła do niego obydwie ręce.

Poraj od razu odzyskał równowagę — schylił się do jej rąk i ucałował je gorąco.

— Serdecznie pana witam.

— Nieśmiałbym się pani narzucać, ale pan Bielecki...

— Wiem, wiem — to ja go właśnie prosiłam, by pana odszukał...

— Chodź pan — chodź — jesteś mi pan miłym gościem — jednym z najmilszych.

Gorący ogień rozlał się w żyłach Poraja.

— W tej chwili łaskawa pani — tylko na jedną chwilkę muszę zejść na dół.

— A to poco?

— Ja ośmieliłem się, przywieść pani odrobinę kwiatów. — I pani i pan Bielecki robicie głęboki rozdział między waszą sferą — a... a moją... Ja, ja już do waszej przynależę — wziąłem ostateczny rozbrat z tą moją...

— O czem pan mówi? — pytała Ada zaciekawiona.

— Nic, nic ponadto, że ośmieliłem się to

zrobić, nacoby nikt z waszej sfery przyzwolenia nie potrzebował.

I nie czekając odpowiedzi zbiegł na dół.

Ada stała w drzwiach, zaciekawiona i trochę niespokojna.

— Co to miało wszystko znaczyć?

Za chwilę wbiegł Poraj kilkoma susami po schodach i stanął przed nią.

— Jeżeli pani pozwoli mi przekroczyć próg jej mieszkania... — teraz odzyskał już całą swobodę i pewność siebie.

— Tylko niech pani drzwi nie zamyka — zaraz tu wniesie ogrodniczek parę wiązanek kwiatów.

Znowu pocałował ją w ręce, i spojrzał jej w oczy, jak rozbawiony chłopak.

Zdjął w przedpokoju palto i kapelusz, i wszedł do małego saloniku.

— Och! jak tu dobrze i miło! — powiedział to z takiem ciepłem, niekłamanem uczuciem, że Ada spojrzała na niego z zajęciem.

Dziewicze nietknięte serce — pomyślała. I jednocześnie dziwny, głęboki, nieznany jej smutek padł jej na duszę.

A tymczasem zdumione jej oczy patrzyły, jak jej cały niewielki pokój zaczął się zapełniać kwiatami. To już nie były bukiety — to

całe naręcza — snopy kwiatów — cały przepych rajskich ogrodów południa.

Ogrodniczek zbiegał na dół i znowu wlatywał z coraz to pyszniejszemi kwiatami, aż wreszcie przyniósł wazon z czarnemi gwoździkami.

Ada klasnęła w dłonie.

— Ależ, kochany panie, co to wszystko ma znaczyć?

— Nic, nic, droga pani — i ja też kocham kwiaty, chciałem się też niemi nacieszyć, a gdzież je miałem powieźć, jeśli nie do pani? Chciałem je sobie zawieźć do hotelu, ale tak samemu na nie patrzeć, szybko się znudzi, a tak: podzielona radość — podwójna radość — ujął jej ręce.

— Tylko niech się pani na mnie nie gniewa.

— Jak się tu na pana gniewać? Jestem tylko mocno zakłopotana uprzejmością pańską — czy jakby to nazwać...

— Ależ to nie uprzejmość — protestował żywo — to prosty egoizm z mej strony — ja kwiaty bardzo kocham, chciałem się niemi nacieszyć razem z panią.

Nic nie odpowiedziała, ściskała tylko ręce Poraja, a gorycz zalewała jej serce.

Myślała o Bieleckim. Tak go prosiła, by

dziś z nią razem pozostał. Tak byłaby mu wdzięczną, gdyby był tę małą, głupią prośbę spełnił — ale gdzież Bieleckiego na to stać! Biedne, skąpe serce — jeżeli je wogóle ma... Kapitalna myśl: Bielecki i serce!

Spojrzała z głęboką wdzięcznością na Poraja.

— Jestem panu bardzo — bardzo wdzięczna i za kwiaty, i za to, że mi pan dziś towarzystwa dotrzyma. Chyba byłabym się sama na śmierć zanudziła... Ale gdzież ja te wszystkie kwiaty ułożę?

— I o tem pomyślałem — pani pozwoli — otworzył drzwi — chłopak wchodził właśnie z wazonami.

Cała twarz jej zapłonęła szczerą radością.

— O! teraz będzie dużo roboty.

— Ja pani pomogę.

Ada spojrzała na niego głęboko.

— Pan nawet nie wie, jaką mi pan radość sprawił.

— Ależ to taka drobnostka — bronił się.

— Nie wiem doprawdy, jak mam panu dziękować.

— Jeżeli pani pozwoli raz jeszcze ucałować swoje ręce, to będzie największą podzięką.

Ada podała mu ręce — on przywarł do nich gorącemi ustami.

Patrzyła na niego z cichym uśmiechem, a potem nagle spochmurniała, wysunęła ręce z jego gorących dłoni, i siadła zamyślona w fotelu.

Zląkł się.

— Czy ja panią czemś uraziłem? — pytał zaniepokojony.

Milczała, a nagle go obrzuciła prawie gniewnem, nieprzyjaznem spojrzeniem.

— Czy to — wskazała pogardliwie na kwiaty — czy książe mi to przyniósł w jakimś zamiarze?

Poraj spojrzał na nią z głębokiem zdumieniem.

Przepraszm panią, ale nie zrozumiałem jej pytania.

— Jakto? książe nie rozumie? Jeżeli mężczyzna jakiejś młodej kobiecie, i to jeszcze takiej, której się całkiem nie zna, którą się po raz drugi spotyka, zwozi do domu pół oranżerji, to chyba z jakimś celem...

Porajowi buchnęła krew do twarzy — głęboki smutek stłoczył mu się na duszę, chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł narazie myśli zebrać.

Patrzyła na niego długo.

Odetchnęła.

Nie, nie! ten przyszedł bez tych zamiarów — przyszedł z dobrocią, jasnem i czystem sercem. — Nieznane jej dotąd uczucie wdzięczności poczęło zwolna, nieśmiało z tysiącem wahań i ostrożności, podejrzeń i zawarunkowań wciskać się w jej krew.

To było takie dziwne — przetarła czoło — nigdy jeszcze tego nie doznała: takie dobre, ciepłe i jasne,

— Pani się myli — powiedział wreszcie Poraj — ja nie miałem żadnego innego zamiaru, prócz tego jednego, by pani maleńką radość sprawić. Przysięgam pani, że o niczem innem nie myślałem — myśleć nie mogłem, anibym się myśleć nie odważył.

Powiedział to z taką prostotą i szczerością, i takim zakłopotanym smutkiem, że Ada uczuła żal, iż mu krzywdę wyrządziła, ale chciała posłyszeć, co jej powie...

Ważył się chwilę, jakby myśli zbierał, a potem znowu zaczął mówić przytłumionym głosem, jakby się z jakiejś wielkiej tajemnicy spowiadał.

— Gdym wchodził na schody mieszkania pani, serce mi biło takim lękiem, żem przy-

stawać musiał. W ostatniej chwili strzeliło mi przez głowę, że ja może jakiś nietakt popełniłem. Ale tak byłem oszołomiony myślą, że pani małą przyjemność sprawię, iż dłużej się już nie zastanawiałem... wstał: jeżeli mnie pani teraz po tem, com powiedział, jeszcze o jakieśkolwiek zamiary posądza, to niech mi pani drzwi pokaże, a za mną na schody te wszystkie kwiaty wyrzuci — przestałyby już wtedy być kwiatami, byłyby jakiemś wstrętnem zielskiem.

— Nie, nie, nie! — przerwała mu gorąco — teraz panu wierzę! I wszystko to, co mi pan powiedział jest mi równie drogiem, jak kwiaty pańskie.

W duszy zrobiło jej się biało i odświętnie.

— Wreszcie raz jeden, całkiem — całkiem inny, jak oni wszyscy! Jeden wreszcie, który na nią patrzy, jak człowiek, a nie jak prosty, ordynarny samiec: uczuła wzruszenie, i w tej samej chwili zawstydziła się.

Jeszcze gotowam się przy tem gołębiem sercu rozmazgaić — już mi mózg ślamazarnieje! o! droga Ado, niebezpieczeństwo ci grozi! broń się wszystkiemi siłami przeciw tym słabostkom:

— Ale książe przecież musiał coś my-

śleć, gdyś te kwiaty kupował — to musiało być połączone z szalonym trudem, dziś przy pierwszem święcie — w ogóle nie rozumiem, w jaki sposób pan je mógł dostać? — pytała uporczywie.

— Raz jeszcze pani powtarzam i usilnie panią proszę, byś mi zechciała wierzyć: gdy mi pan Bielecki powiedział w kawiarni, że pani mnie oczekiwać będzie, opanowała mnie jedna myśl: kwiaty! kwiaty! Ta myśl nie była z żadną inną myślą lub zamiarem złączona— była całkiem wyodrębniona, sama dla siebie, była tak silną sama w sobie, że stała mi się nakazem.

— A czy książe wie, kto ja jestem? — spytała nagle, schwyciła oburącz pęk róż i wtuliła w nie swą twarz.

Poraj spojrzał na nią pytająco.

I ona patrzyła na niego z głębokiem zdziwieniem.

— To książę istotnie nie pomyślał o tem, kto to może być ta kobieta, która noce przepędza w pijanem towarzystwie, której Bielecki mówi poufale ty, która sama mieszka bez żadnej cioci — bal nawet bez parawanika starszej towarzyszki?

— Tego rodzaju ciekawość wydałaby mi

się niedyskrecją, a zatem czemś ordynarnem. Jakiem prawem miałbym wnikać w to, co pani robi, badać, a co gorsza dowiadywać się, kto pani jest? Cóż mnie to wszystko może obchodzić? — zawahał się chwilę, a potem powiedział nagle, jakby czemprędzej chciał się pozbyć przykrej tajemnicy: — pani zrobiła od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem, na mnie ogromne wrażenie, i za to pani jestem wdzięczny... to nie jest właściwie wdzięczność — to jest uczucie samo dla siebie, ja je tylko tak nazywam, bo nie mogę odpowiedniego wyrazu znaleźć. — Każdej rzeczy: książce, czy obrazowi — sonacie Szopena, czy też Bethovenowskiej symfonji, wszystkiemu, co na mnie silne robi wrażenie, co mnie dreszczem zachwytu zbiega, jestem wdzięczny, i szczęśliwy jestem, że istnieją... I widzi pani — spojrzał na nią z szczerem i gorącem uczuciem — i to mój stosunek do pani: jestem pani wdzięczny, że pani istnieje, jestem szczęśliw, że oddycham tem samem powietrzem, co pani, że mogę na nią patrzeć, słuchać głosu pani...

— Pan esteta... próbowała żartować.

— Byłbym nim, gdybym tego wszystkiego tak intensywnie nie przeżywał, gdybym przy

takiem przeżyciu nie używał tyle najgorętszych i najlepszych sił — to mnie różni od zwykłego estety. Braknie mi analitycznego zimna — i tego zrównoważonego spokoju, któryby mi pozwalał tylko estetycznie odczuwać — u mnie każde takie uczucie jest tak przepojone tą gorącą wdzięcznością, że staje się wprost religją.

Ada zawrzała nagłym gniewem.

Och! idjoto — pomyślała — gdybyś ty wiedział, kim ja istotnie jestem, tobyś nie klepał tych bredni o gorącej wdzięczności, o religijnych uczuciach.

Poraj ujrzał to, i zmieszał się.

— Czy ja przypadkowo nie powiedziałem czegoś, coby panią niemile dotknąć mogło?— pytał nieśmiało.

— Bynajmniej! Każda inna kobieta nie posiadałaby się z radości, gdyby podobne słowa z ust pańskich słyszała, a mnie jest wprost przykro, że mogłam tego rodzaju uczucie w panu wzbudzić. Nie znam nudniejszej rzeczy jak siedzenie na piedestale, łykanie dymu kadzideł — nie chcę uchodzić za niepokalankę o gołębiej duszy i dziewiczej czystości serca! Ja chcę być taką dla każdego, jaką jestem: złą, przewrotną, o zbrodniczych instynktach, zdolną do każdej zbrodni, i każdej przewro-

tności... taką jestem, taką zostanę i nie myślę komuśkolwiek, chociażby nawet tak dobremu człowiekowi, jakim jest książe, oczu zamydlać.

Poraj nie dał się stropić.

— I szczerość pani, aczkolwiek bardzo przesadzona, jest piękną — nie każdą kobietę na nią stać. Zresztą to wszystko, co pani mówiła,,to są prywatne pani relacje w jakich pani do życia pozostaje, więc mnie nic obchodzić nie mogą. Cóż pani ma z tem do czynienia? Jeden się tak do życia odnosi, drugi inaczej, to wszystko.

— A gdybym była kogo zabiła?

— Widocznie było tego jednego za dużo na świecie — zawadzał pani — więc słusznie, że go pani usunęła.

— No, a gdybym kradła?

— Prawo kradzieży, jaknajzupełniej przyznaję tym, którzy nic nie mają, więc muszą brać... kradzież jest wtedy brzydką, gdy się ma, a jeszcze się bierze — wtedy jest rzeczą ordynarną.

— No, a gdybym się oddawała?

— Jeżeli z miłości, to najwyższa cnota...

Ada zaśmiała się na cały głos.

— No, ktoby to pomyślał? tak młody człowiek — ile pan ma lat?

— Dwadzieścia trzy!

— Pomyśleć tylko: z dwudziestu trzema

laty filozofuje pan, jak mędrzec, który życie do samego dna zbadał... ale dajmy spokój filozofowaniu — wyciągnęła do niego ręce:

— Będziemy przyjaciółmi! — powiedziała poważnie.

— Tego właśnie gorąco pragnę, i zapewniam panią, szczerszego i więcej sobie oddanego pani nie znajdzie.

— Ale nic więcej poza serdeczną, braterską przyjaźnią...

— Nic więcej?—uśmiechnął się cicho — to już moja osobista rzecz—to jedno mogę pani zaręczyć, że nigdy jednem słowem przed nikim a najmniej przed panią się nie zdradzę—zgoda?

Uścisnęli sobie w milczeniu ręce.

— Rozgadaliśmy się, a tu moje piękne kwiaty więdną — wody, czemprędzej wody — wybiegła do kuchni, przyniosła dzban wody i nalewała do wazonów. — A teraz podawaj mi pan kwiaty, a ja będę je układała.

Poraj z wielkim smakiem dobierał kolory i rodzaje kwiatów, układał je w misterne wachlarze, to znowu w rozwichrzone krzaki i naręcza, i podawał Adzie gotowe bukiety.

— Jaki pan zręczny — pochwaliła — uczony ogrodnik artysta piękniejby bukietu nie ułożył.

— Ja miałem dużo z kwiatami do czynienia — już od dziecka wysiadywałem w naszych dużych oranżerjach, a nic mnie tak wówczas nie zachwycało, jak ten nasz ogród zimowy.

— Pan sam cieplarnianym kwiatem — powiedziała zamyślona.

— Co pani chciała przez to powiedzieć? Poraj spłonął.

— Tutejszy klimat będzie za ostry dla pana — pan z innego świata, pan innych warunków do życia potrzebuje, jak te, do których pan na gwałt chce się przystosować...

— Pani się myli, nie pamiętam, kiedy chociaż odrobinę, choć w tysiącznej części tak dobrze się czułem, jak tu w mieszkaniu pani. W jednem ma pani jednak słuszność, ja potrzebuję dużo — dużo ciepła — a od pani idzie ku mnie prąd tego serdecznego przyjaznego ciepła.

— Jakże może iść odemnie ciepło, kiedy ja zimna, jak wypalony żużel? jak ja mogę komu dać odrobinę serca, jeżeli go sama nie mam?

— Dlaczego, i w jakim celu pani to wszystko mówi?

— Bo mi się jeść chce! — parsknęła nagle trywialnym śmiechem.

Poraj aż się zmienił na twarzy — było mu, jakby go ktoś nagle biczyskiem w twarz uderzył.

Ada patrzyła z rozkoszą na mieniącą się twarz Poraja.

Ale Poraj w jednej chwili się opanował.

— Jezus Marja, to ja tu gadam trzy po trzy — a pani pewno jeszcze obiadu nie jadła?

— Oczywiście, że nie! Bielecki nie pomyślał o tem, by mnie na obiad zaprowadzić — tak spieszno mu było do pani Ligęzy—a pan romantyk—pan całkiem, jak Byron, gotów mi się ze zdumieniem zapytać: Jakto? anieli jedzą?

Poraj zaśmiał się wymuszenie.

— Ale to doskonale się złożyło, bo i ja jeszcze obiadu nie jadłem.

— A jak dobrniemy w tym śniegu do miasta?

— Automobil mój czeka na dole.

— Doskonale.

Zebrała się szybko, ogarnęła cały pokój oczyma.

— Mnie te kwiaty dziś w nocy uduszą — toby była piękna śmierć.

Jak każde inne uduszenie — powiedział obojętnie.

Spojrzała na niego uważnie.

Zraziłam go — pomyślała. — Dobrze to na początek, tylko teraz trzeba dawkę cynizmu

i trywialności zwiększać — poco on się w to błoto tak gwałtownie pcha?

Przystanęła w drzwiach i ogarnęła go przenikliwie oczyma.

— Mówiłam panu, że Bielecki na łeb na szyję leciał do pani Ligęzy.

— Mówiła mi pani, jak również, iż tak mu spieszno było, że nie miał czasu panią na obiad poprowadzić.

— Otóż pani Ligęza — to byłoby coś dla pana. Pan, który kwiaty cieplarniane hodować i pieścić umiesz... Bielecki się nią coś gorąco zajął, ale on ma za brutalną łapę, od razu złamie, zniszczy, zmiętosi, z płatków obedrze, a potem zdepcze.

— To są już prywatne upodobania p. Bieleckiego, które mnie nic nie obchodzą.

— Prawda, zapomniałam, że pan filozof, ale będzie pan inaczej myślał, gdy panu ją dziś jeszcze pokażę — dziś dają w teatrze dramat Bieleckiego, więc prawdopodobnie tam pójdą — a po przedstawieniu na kolację do restauracji teatralnej — to i my tam pójdziemy: pokażę ją panu.

— Ale pani Ligęza nic mnie nie obchodzi.

— A mówiłeś pan, że każda piękność w panu uczucie wdzięczności wywołuje.

— Przy pani całkiem już zaspokojona.

— I nie przerazi się pan mego ordynarnego, grubjańskiego apetytu.

Poraj popatrzył na nią głęboko, poważnie, a potem cicho się uśmiechnął.

— Pani zdaje się wciąż mnie jeszcze posądza o jakieś zakusy, czy też zamiary — doskonale pani zrozumiała, iż jestem przeczulony i nadmiernie wrażliwy — w te słabe strony pani godzi — chce pani mnie od siebie odepchnąć: raz jeszcze pani zaręczam, że niczego więcej nie pragnę, prócz przyjaźni.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy — tyle szacunku, tyle oddania się i szczerej przyjaźni i prostoty tkwiło w wyrazie jego twarzy, że uczuła się nagle zawstydzoną.

Zeszli milcząco na dół i wsiedli do automobilu.

IX

W loży pierwszego piętra siedział Bielecki w towarzystwie państwa Ligęzów, zły i pochmurny.

Po jakiego djabła dał się też wciągnąć do teatru, i to jeszcze na swój własny dramat.

Tak swój własny — jak najwłaśniejszy!

Ha! ha! minęły już te czasy, kiedy starał się w siebie wmówić, że to jego własność, że Górski dał co najwyżej ramy, a on obraz.

Zupełnie nie był w stanie pojąć, na co on, się tak łasił, co go skusiło podać obcy dramat za swój? i to jeszcze taką nędzotę!

Wyobrażał sobie, jakby niemiłosiernie schłostał tę głupią szopę, gdyby nie nosiła banderoli z jego własnym nazwiskiem — suchej nitki nie pozostawiłby na niej — wprost już słuchać nie mógł, najchętniejby sobie uszy teraz zatkał, by tych bezecnych bredni nie

słuchać — i pomyśleć, że to pięćdziesiąty raz grają przy wyprzedanej widowni!

— To ma być kulturalne miasto? Głupia Pipidówka — Zakroczym — Berdyczów — ale nie kultura!

Usunął się całkiem w głąb loży — był cały roztrzęsiony po nieprzespanej nocy — Ada też mu spokoju nie dała, a tu teraz siedź i słuchaj gramofonicznej bryndzy Górskiego i patrz na tę głupią hołotę, która to tak zapalczywie oklaskuje!

— Ciesz się panie Bieleckil masz teraz triumfy, zbierasz laury, wstążkami od wieńców dla uwiebianego mistrza mógłbyś dwa pokoje wytapetować — miałeś przez jakiś czas nieograniczony kredyt, który się niestety wyczerpał, bo publiczność czeka podejrzliwie, kiedy się wreszcie ten nowy, dawno zapowiedziany dramat ukaże...

Niedoczekanie wasze! — zgrzytnął, a pomyślał to z takiem szczerem i świętem oburzeniem, że mimowoli usta mu się cierpkim uśmiechem wykrzywiły.

— To nie tak łatwo znaleźć takiego drugiego idjotę, jak Górski, któryby mi swoje ramy do mego obrazu bezinteresownie zostawił.

Wsunął się głęboko w fotel; najchętniej

radby nic nie słyszeć, i nie widzieć, i wynieść się — ale to w żaden sposób nie wypadało ze względu na towarzystwo tej pięknej pani Ligęzy — a ładne ma imię bestyjka: Nina — Nina — jak do miłości i pieszczot stworzone...

Pani Ligęza śledziła z gorączkowym zajęciem przebieg dramatu. Jakby nic nie istniało dla niej na całym świecie, prócz akcji, która się na scenie rozgrywała — z błyszczącemi, rozszerzonemi źrenicami, z wypiekami na delikatnych policzkach, zdawała się chłonąć każde słowo — grać razem z aktorami — nie! nie grać, ale wszystko boleśnie i w ciężkiej męce przeżywać.

— Ta już nie słucha, ale wprost pożera mój piękny dramat — zaśmiał się Bielecki — poczekaj moja duszko, ja ci taki dramat zgotuję, że poznasz dopiero, co to jest istotne — a jak wielki filozof Cieszkowski mówi, istotliwe, a co prostą harlekinadą.

Wlepił oczy w jej lekko odsłonięte plecy: skórę ma delikatną i mleczno białą, jak u dziecka — raz po raz przelatywały po niej dreszcze, na szyi matowa — wysoce podniecająca — zdawała się też brać udział w wytężonem słuchaniu, bo była, jakby napięta, a tak deli-

katna, że Bielecki wcaleby się nie zdziwił, gdyby nagle pękła.

To trywialne spostrzeżenie zwróciło jego myśli w innym kierunku,

— Wszystko, co zbytnio napięte, pęknąć musi — zakonkludował.

Oczekiwanie publiczności, że raz wreszcie ukaże się jego nowy dramat, jest w takim napięciu, że już niezadługo, a przestaną wierzyć w jego geniusz, odwrócą się od niego z poufałością, pełną zażyłego klepania po ramionach, z pewną dobrotliwą wyrozumiałością i politowaniem, że tyle obiecywał, a tak szybko się wyczerpał — tak! to już niezadługo nastąpi.

W kredycie też przeholował, żaden nawet najambitniejszy łyk już mu weksla nie podpisze — a trzy z fałszywemi podpisami ukochanej babci są w obiegu — i tu struna przeciągnięta i lada dzień pęknie z piekielnym zgrzytem.

Sfałszowane podpisy najczcigodniejszej z wszystkich babci — świętej niemal niewiasty — to nie przelewki; więzienie, hańba triumf Kotowicza: — „patrzcie — a nie mówiłem? kto pisał dramaty? Górski, czy on?"

W głowie Bieleckiego poczęło wirować, dudnić, kotłować, jakby był tam jakiś nowy świat w poczęciu — w oczach mu pociemniało, a na całem ciele uczuł zimny pot.

— Jeszcze dwa tygodnie czasu, co najwyżej, a potem straszliwe décable — Waterloo — Sedan — Faschoda — aresztancki ubiór — ciasna cela — piętnaście godzin dziennie przymusowej pracy, całkiem, jak Oscar Wilde.

— A widzisz, mistrzu, do jakich ty gwiazd dobieżałeś!

I w bezsilnej wściekłości przeklinał Górskiego, Łusię, i cały ten motłoch na dole — naokół zagapiony, wsłuchany, rozentuzjazmowany aż do kołowacizny.

— Jeżeli Ada nie pomoże, tom przepadł — może jej się uda coś z tym zakochanym księciem — no jakże on się nazywa? to wołyńskie książątko? — Poraj — Poraj! Ha, ha... w tem już spryt Ady poradzić musi.

Zrobiło mu się nagle przeraźliwie ciasno i parno w tej głupiej loży; chciałby drzwi na oścież otworzyć, wybiedz na świeże powietrze, gonić przed siebie na oślep, wpaść na plant kolejowy, ścigać się z pociągami, i już chciał

wstać i wyjść, ale myśl, że jego wyjście mogłoby obrazić panią Ninę, przykuwała go do miejsca.

Z wściekłą zapalczywością silił się na kpiny, na trywialne i głupie dowcipy, by zagłuszyć w sobie szarpiący lęk, a obrzydzenie i wstręt do tego idjotycznego dramatu zapychał mu gardło.

— Otrzeźwiałem — pomyślał z rozpaczą.

Najwięcej go przerażało, że ten lęk psychiczny, cała ta ciężka rozterka przedostawała się z sfery psychicznej w fizyczną, że ujmuje w swe szpony cielesnego człowieka, że go zdradzić może to drżenie rąk i zimny pot, który mu na czoło występował, ta nagła bladość trupia twarzy.

A wczoraj podczas tej błazeńskiej uczty... co to było, że nagle się słaniać począł — nogi mu posłuszeństwa odmówiły, i o mało co nie padł, jak długi na podłogę?

— Nie dam się — zacisnął zęby — do ostatniej chwili się nie dam! Niech mnie rozszarpią, w kawały porąbią, ale nie pozwolę nad sobą zatryumfować!

A Kotowicza...— drgnął: jak w wizji ujrzał ohydnym śmiechem wykrzywioną gębę i świ-

drujące go chytrze ślepia... Kotowicza trzeba usunąć...

Niejasne dotychczas, tchórzliwie rozpierzchłe myśli skupiły się nagle w jednem, gwałtownem, śpiżowem postanowieniu i pewności.

— Tak pewno wygląda chwila aktu twórczego — pomyślał. Jedna, jedyna sekunda o wszystkiem decyduje i cały mózg zapładnia:

Nagle zrobiła się ogromna cisza.

To pewnie kurtyna zapadła pomyślał Bielecki i podniósł się.

— A istotnie! No, co teraz będzie? — uśmiechnął się z niesmakiem.

Publiczność trwała długo w jakiemś przerażonem milczeniu.

A wreszcie wyładował się długo zaparty oddech w żywiołowej burzy oklasków.

Dawno już się rozniosło po teatrzę, że od pół roku niewidziany autor, znajduje się ze znajomymi w loży.

Cała parterowa publiczność zerwała się z krzeseł i zwróciła się w stronę loży, w której siedział Bielecki, a którą już dawno lornetowano. Pani Ligęza zupełnia nie wiedziała, że na nią wszystkie lornetki z parteru były zwrócone.

Nikt nie umiał powiedzieć, ktoby mogła

być ta obca kobieta, nigdy tu nie widziano tej niezwykłej piękności.

W pierwszych rzędach parteru siedziała Ada z Porajem.

— Patrz! patrz pan! — Ada ściskała kurczowo ramię Poraja — nie widzisz pan, jaka ona piękna? Kwiat cieplarniany — jaki doskonały w każdym ruchu, przegięciu. Ta twarz przezroczyście biała — zdumiewająca — ten przepych włosów miedziano - czerwonych aż w fiolet przechodzących — przepyszny, najkosztowniejszy kwiat... Ada zdawała się tonąć w zachwycie — mówiła cichym głosem, a z takim gorączkowym pośpiechem, że jedno słowo przez drugie się przewracało.

— Istotnie piękna — powiedział Poraj obojętnie — ale czem się pani tak gorączkuje?

To spokojne, zimne pytanie ją otrzeźwiło.

Spojrzała przeciągle na Poraja.

— I pan, pan, który taką wdzięczność dla piękna odczuwa, pan tak zimno wycedził, że pani Ligęza jest istotnie piękna.

— To nie moje piękno — każden ma swoje piękno—tamto mogę podziwiać, ale nie wzbudza we mnie tej gorącej wdzięczności.

— I nie żal panu, że ten wielki, mocny człowiek, ten brutal, który teraz tak promie-

nieje, że może siedzieć w jednej loży z tak piękną, wytworną kobietą, może ten cud zniszczyć?

— Zupełnie nie! Jeżeli to jest jego piękno, a on zamierza je zniszczyć, to największą szkodę sam ponosi.

Miała ochotę z wściekłości ugryźć Poraja w ramię, by zaskowyczał z bólu, a równocześnie uczuła gorącą radość, że sama była dla kogoś jedynem pięknem.

— Autor! Autor! — krzyczała publiczność, która korzystała z rzadkiej sposobności, by mistrza powitać.

Karska myliła się, jeżeli widziała Bieleckiego rozpromienionym.

Poraj zauważył, jak Bielecki się ociągał— widział, że był trupio blady — że pani Ligęza przytuliła się do ściany loży, by mu miejsce zrobić, a jakiś pan, zapewne mąż pani Ligęzy odsunął stołek — Bielecki schwycił się kurczowo poręczy i kłaniał się machinalnie na wszystkie strony — nagle oczy, jak skamieniałe, utkwił w Adzie, która z szyderczym triumfem powiewała ku niemu chusteczką.

Ale to trwało przez błysk sekundy —Bielecki ukłonił się w stronę Ady i zwrócił się szybko do pani Ligęzy.

Ada przygryzła wargi i siadła.

— Może przejdziemy się — zapytał Poraj.

Ada przymrużyła oczy i spojrzała na niego nieufnie.

— Nie! — powiedziała prawie opryskliwie.

Poraj zamilkł.

Nagle odwróciła się do niego z ironicznym uśmieszkiem.

— A gdybyś pan siedział w loży ze znajomymi, czy też krewnymi—a ja tu na dole— cobyś pan wtedy zrobił?

— Zeszedłbym niechybnie na dół, by panią powitać.

— Takbyś pan zrobił?

Poraj spojrzał na nią zdumiony.

— Nie rozumiem całkiem pytania pani.

— Tobyś się pan ciężko skompromitował.

— Ja? wobec kogo?

— Wobec ludzi.

— Ludzie? ludzie? przepraszam panią, ja nie wiem, co to ludzie, bardzo przepraszam panią, ale tym pojęciem nie przywykłem operować. — A poza tem, jeżeliby mnie mogło coś wogóle kompromitować, to w tym wypadku nie rozumiem...

Łuna „souveraine" pańskości biła ze słów Poraja; Ada zawstydziła się swego pytania.

Umilkli.

I w loży pana Ligęzy zapanowało milczenie. W ciężkim jego mózgu odbywała się usilna praca, coś nim bezustannie wstrząsało, odczuwał zimne dreszcze i gorąco na przemian. Pani Ligęza siedziała ciągle nieruchoma, a oczy jej ciemne, rozbłysłe... patrzyły przed się, nic nie widząc.

Bielecki przysiadł chwilę. Ochłonął.

Po chwili wstał, wyprostował się i zwrócił się do pani Niny. Teraz dopiero zauważył na jej szyi kosztowny naszyjnik brylantowy — widocznie bardzo stary, bo brylanty były inaczej szlifowane i oprawione, jak nowoczesne.

Trwało to może jedną sekundę, zdumiony był tylko, że teraz dopiero to ujrzał, co tak w oczy biło, i na co prawdopodobnie głównie lornetki parterowych pań były zwrócone.

Spojrzał niespokojnie w stronę Ady — ale Ada, odwrócona plecami, żywo o czemś z Porajem rozmawiała.

— Strasznie dziś parno w teatrze — zauważył Bielecki.

Pani Nina uśmiechnęła się blado i odruchowo wachlarzem chłodziła rozpaloną, jak w gorączce twarz i falujący biust.

Bielecki namyślał się, co ma jeszcze po-

wiedzieć, ale w tej chwili rozległy się dzwonki, światła pogasły, kurtyna się podniosła.

Pani Nina przechyliła się przez poręcz i z natężeniem wpatrzyła się w scenę; Ligęza w skupieniu oczekiwał, co będzie dalej — a Bielecki pogrążył się w czarnych mrokach ciężkich myśli.

— Skąd się tu Ada nagle wzięła? Czyżby do djabła miał się tak doszczętnie przeliczyć i na tej nawet kobiecie się zawieść? Czyżby istotnie miała być o niego zazdrosną? Nowa komplikacja i z wszystkich najgorsza — zazdrosna kobieta — nieobliczalna! A jakiem jadowitem spojrzeniem go obrzuciła...

Głupio zrobił, że nie zszedł się z nią przywitać — a teraz — teraz właśnie jej tak potrzebuje.

Ona jedna może go wyratować — wzrok jego całkiem machinalnie spoczął na naszyjniku pani Niny. Zdumiewające: przecież cały czas patrzył na jej plecy i szyję i nie zauważył tych szlachetnych kamieni, które płonęły żółtawym ogniem.

Pewno stare klejnoty rodzinne — pomyślał — to jej cały majątek. Ligęza żyje tradycją: pewnoby prędzej z torbami poszedł, zaczemby od żyjącego organizmu tradycji kazał

ten kawałek żywego ciała odkroić. Mówił, że jakiś czas źle mu się działo, czemuż tego nie spieniężył? toć to co najmniej dwadzieścia tysięcy rubli warte...

Myśli tłukły mu się bezładnie i w niesfornem rozwichrzeniu po głowie.

— Jak ja z tej matni wybrnę?

Liczył i liczył — a cyfry mąciły mu się w głowie — czasem wyskakiwały z jakichś skrytek w przerażającej wielkości — czasami bawiły się z nim w chowanego — wysuwały się niewyraźnie, a gdy chciał je pochwycić znowu się kryły, chwilami oplątywały się wzajem i poczynały w jego oczach wirować w piekielnym tańcu: czuł dokładnie, że włosy mu się jeżą.

Parę tylko liczb zdołał uchwycić:

Jeden weksel na tysiąc pięćset rubli, drugi na dwa tysiące, trzeci — sam przed sobą nie śmiał się przyznać.

I to za dwa tygodnie najpóźniej!

I gdyby to były weksle czyste—powiedzmy dziewicze — nie tknięte zbrodniczą ręką — ale — sfałszowane!

Machnął odruchowo ręką, jakby coś z mózgu spędzał. Bronił się przed jadowitym rojem moskitów.

Skrzypnęło mu coś w mózgu, aż się podniósł z siedzenia: — aha! — zaśmiał się rozpacznie — w mózgu moim rozpoczyna się też akt drugi.

Wpatrzył się uporczywie w plecy i szyję pani Ligęzy.

— Jak ona wykwintnie siedzi — jakie przegięcie w biodrach, jak wspaniale ta szyja zarysowana, jaki ponętny ten puszek miedziano czerwonych włosów nad białym karczkiem, a poniżej, właśnie na przegubiu wydłużonego móżdżku, właśnie tam, gdzie każde zwierzę od razu zabić można, jeżeli mu się w tem miejscu szpilkę wepchnie, skrzyła się misterna klamra, cała z brylantów i pereł: takiej już teraz nie robią i robić nie umieją...

Zerknął złym, nienawistnym wzrokiem na Ligęzę.

Ligęza słuchał cały zatopiony... i — istotnie usta miał nawpół otwarte... pewno, jak śpi, to ma je na oścież rozdziawione i chrapie przytem..

A ona rozbudzona, siada na łóżku, patrzy z wstrętem i odrazą na niego, na te szeroko otwarte usta — na tłuste palce rąk, spoczywające, gdyby kłody na kołdrze — a świst oddechu, gdyby przeciągły gwizd lokomoty-

wy — a chrapanie, jak nawoływanie klekotkami na nabożeństwo wielkiego piątku...

I pomyśleć tu odrobinę, ten najwięcej skończony miniaturowy utwór wielkiego sztukmistrza przy boku tego ogromnego — masywnego olbrzyma!

W jej oczach tęsknota, pragnienie, niecierpliwe oczekiwanie:

— Idę już, idę! — Bielecki roześmiał się cynicznie.

— Spragniona jesteś delikatnych, wyrafinowanych pieszczot — dam ci je — dam takie, o jakich ci się nie śniło w najwięcej rozgorączkowanej wyobraźni — mdleć będziesz w mych ramionach i w żyły ci zastrzyknę tak słodkiej trucizny, że w niej skonać zapragniesz.

— Ale, co z tobą zrobić — mój słodki przyjacielu?

Trzeba cię będzie wyprawić gdzieś za miasto, gdy u twej Niny będę — trzeba ci znaleźć rozrywkę, byś nam nie przeszkadzał, nauczyć cię wytwornej dyskrecji, byś, chcąc nie chcąc, w niewłaściwej porze nas nie znachodził...

A może cię do Nastusi zaprowadzić? Tyś pewnie spragniony, znudzony kawalerskiem pożyciem przy twej dziewiczej żonie...

Dziwne! Bielecki ani na chwilę nie wątpił, że pani Ligęza — no! Nina jest dziewicą. — A Nastusia sprytna i w swoim fachu niezwykle wykształcona... dam jej tylko kilka wskazówek i będzie spokój...

— Spokój, nie spokój — pomyślał zrozpaczony — dziś... jutro jeszcze — a potem — potem sprawa Borsuka... Znowu uczuł, że mu się włosy, jak najwyraźniej na głowie jeżą.

Towarzystwo ubezpieczeń oddało sprawę prokuratorji — śledztwo w toku — chytrze, podstępnie i z niezwykłą przebiegłością prowadzone — pewno już przy pomocy Kotowicza i tego — tego — no! Surzyckiego — natrafili na mój trop... Jeszcze są ostrożni — nie tak łatwo, ni stąd, ni zowąd, przyczepić się do słynnego, poważnego człowieka, którego dramaty cieszą się niezwykłem powodzeniem — nic nie pomoże — trzeba iść tam — zamyślił się — tam! te przeklęte weksle...

— Dokąd?

— Ach jak to dobrze, że nie potrzebował sobie odpowiedzi dawać, bo przecież tak dobrze wiedział dokąd ma pójść.

— A jeżeli mi teraz słodka pani Nina powie jakiś komplement, to bluzgnę jej wprost w twarz: zabawne „qui pro quo" — mnie się

ani nie śniło tak głupiego dramatu napisać! Napisałem całkiem inne, wspaniałe, niesłychane dzieło, ale spłonęło w quasi-atealier Borsuka razem z kosztownościami zmarłej Łusi... A trzeba pani wiedzieć, że pani naszyjnik większą wartość przedstawia, a jest równie ponętny i łaskotliwy dla żądnych oczu bankruta...

No! a jak już jesteśmy przy tym zapamiętale jasnem rozważaniu drogi „ad astra", to rozważmy teraz ciekawy problemat Ady.

Zdradzi — nie zdradzi? rozważał głęboko.

Podniósł się po cichu w krześle i spojrzał w dół na parter.

Zdawała mu się być roztargnioną — widział, jak ukradkiem patrzyła na Poraja, idjotycznie zasłuchanego w majaczenia Górskiego.

— Kuj, kuj, Aduchno, żelazo, póki gorące, a ja będę podkowy robił.

Począł majaczeć — coraz głupsze, coraz śmieszniejsze myśli napływały mu do głowy— i tym razem uczuł to, jak wyzwolenie, że rozpaczne, opętańcze krzyki zwarjowanych histrjonów nie pozwalały mu żadnej myśli do końca domyśleć.

Nagle zauważył, że pani Nina niespokojnie się porusza — dali Bóg: szuka chusteczki —

przycisnęła ją szybko, kurczowo do oczu i ust, jeżeli się nie mylił — nie! nie mylił się: pani Nina płakała.

Ciocia Bądarzewska wlazła na scenę — i do łez poruszyła to biedactwo — moja Łusia mi się przypomina — biedactwo też można było łatwo wzruszyć... ach! ach! Souevnir de ma chaumière — i to nieśmiertelne „Prière d'une vièrge"!

Ha, ha, śmiał się dzikim, niechlujnym cynizmem.

— Za czem ty słodka dziewico płaczesz? Czy za utraconą, czy też dopiero mającą się utracić dziewiczością? ! za czem się modlisz? — pytał wściekły. — Chyba nie chcesz kisnąć w klasztorze, lub zanudzać się przy boku chrapiącego męża...

Pogubiła mu się reszta myśli — było to, jak gdyby jakieś obrzydłe robactwo: glisty, gąsienice, stonogi wokół pierzchało, i w tysiącach dziur się chowało przed czarną burzą, która się już w powietrzu rozwyła.

— Teraz spocznę — Bielecki odgarnął włosy, które mokre i spocone spadły mu na czoło, poprawił machinalnie kołnierzyk i krawat, włożył ręce do kieszeni i trwał chwilę w cichej, błogiej somnolencji.

A już był najwyższy czas, by odrobiny spokoju zaznał — kroczył już wytkniętą drogą do — Tworek.

Teraz jął z zajęciem obserwować plecy pani Niny.

Przebiegały po nich raz po raz dziwne dreszcze, to znowu, jakby kamieniały by potem w tem silniejszym odruchu wyzwolenia szukać.

— Płacz, płacz, kochanie — myślał wściekły na nią — a pan Górski w niebie z radości podskakuje, że w najpiękniejszym aniele, który na ziemię spadł i w twoje się kształty wcielił, takie wzruszenie zdołał wywołać.

Spojrzał na Ligęzę — targał nerwowo wąsa — raz po raz przecierał oczy i znowu targał się za wąs.

Bałwan! — mruknął pogardliwie Bielecki.

I cóż się tam właściwie dzieje? — Bielecki przechylił się ku scenie.

— Aha! to Nastusia — nieoceniona Nastka takie gorzkie łzy z słuchaczów wyciska...

Stanął i przypatrywał się.

Mistrzowska gra wielkiej artystki poczęła zwolna i jego rozgrzewać...

Ho, ho — panie Górski, gdybyś ty miał odrobinkę tego poczucia scenicznego, jaką ma

Nastka, to byłbyś się mógł z Szekspirem mierzyć — a tak pozostałeś tylko partaczem — a powodzenie twoich dramatów Nastusi zawdzięczasz.

To przeświadczenie całkiem go uspokoiło. Znowu siadł i czekał, kiedy ta szopa wreszcie się skończy.

Jeden wielki przeraźliwy krzyk posłyszał — aha! koniec drugiego aktu — i w tej chwili ujrzał, jak pani Nina po cichu wstała z krzesła i cofnęła się w głąb loży, by ukryć zapłakane oczy.

Bielecki podszedł ku niej, i sam nie wiedząc dlaczego to robi, chwycił jej obie ręce.

Spojrzała na niego rozbłysłemi oczyma, wysunęła ręce z jego dłoni i odwróciła się zwolna. Już była spokojna.

— Ale, niech cię też jasny piorun świśnie, tak ludziom nerwy rozszarpywać! — Ligęza powiedział to z głębokim żalem i wyrzutem.

— A widzisz, idjoto, wszystkiemi siłami wam odradzałem, byście na ten głupi dramat nie chodzili — odburknął Bielecki.

Ligęza uczuł nagle niepohamowane pragnienie, spłukania tych piekielnych wzruszeń.

— Mój drogi, ja muszę pójść do bufetu,

pozostań tu przy żonie. Ale, jak ona gra! jak gra!

— Kto taki?

— Pytasz się jeszcze? ta panna Żegota... wyniósł się chyłkiem z loży.

Teraz jedyny i ostatni czas, bym uwierzył, że to mój dramat, pomyślał z zaciekłą energją Bielecki — i na chwilę tę zdołał w to rzeczywiście uwierzyć.

Ujął delikatnie drobne, rasowe rączki pani Niny.

Ręka jej drżała — dotknięcie jego ręki — czuł to — wywołało drżenie w całem jej ciele.

Bielecki nic nie mówił, wziął jej rękę i poniósł do ust:

— Pierwszy raz odczuwam radość na moim dramacie — i to pani — pani jednej zawdzięczam...

Łzy jej już oschły, patrzyła na niego szeroko rozwartemi, jakby nie widzącemi oczyma.

Ręka jej się kurczyła, to wyzwalała z jego uścisku, a gdy miał ją wypuszczać, jakby silniej przylepiała się do jego dłoni.

Tym razem Bielecki nie słyszał ani oklasków, któremi cały teatr rozbrzmiewał, ani wywoływań, oczy mu mgłą zaszły...

W mrocznej głębi loży — tak blisko —

blisko przy sobie — dreszcz zbiegł jego ciało — gwałtownym ruchem przycisnął jej dłonie obie do swoich ust — jej ręce omdlewały — poddawały się tej gorącej pieszczocie. — A nagle szarpnęła ręce, i zwróciła ku niemu twarz, a w jej oczach łopotał lęk — przerażenie — i jakieś ogromne, ni brzegu ni ujścia nie znające zdumienie.

Puścił jej ręce, i tak przez długą chwilę splotły się ich spojrzenia, i nijako rozprzęgnąć się nie mogły.

Dyskretne pukanie posłyszał nagle Bielecki do drzwi loży.

I pani Nina je posłyszała — opanowała się i zimna i spokojna siadła na dawnem miejscu z przodu loży.

Dyrektor teatru ukazał się we drzwiach.

— Ależ mistrzu, publiczność tak rozentuzjazmowana — dlaczego pan chociaż na chwilę nie pokaże się na scenie? Usilnie pana proszę w imieniu wszystkich artystów, wszystkich pańskich wielbicieli — to jest bardzo ważne — zechciej pan wierzyć, że to bardzo ważne...

To niech pan do jasnego pioruna Górskiego wskrzesi — miał Bielecki na ustach, ale tylko łagodnie się uśmiechnął:

— Jak już koniecznie potrzeba...

W tej samej chwili stanął w drzwiach olbrzymi pan Ligęza...

— Pan dyrektor Turło — przedstawiał Bielecki — pan Ligęza...

Ligęza uścisnął tak gorąco dłoń dyrektora, że ten się aż zgiął.

— Panie dyrektorze — proszę mi za złe nie wziąć, ale ja już to postanowiłem...

— Co takiego? — zapytał Bielecki.

— Ludzie, artyści, którzy mi tak na nerwach zagrali, którzy ze mnie, kamienia, łzy — nie wstydzę się ich — wycisnąć zdołali, ich zapraszam na wspólną kolację.

— Ależ, czy twoja żona się na to zgadza?

Ligęza schwycił Turłę pod ramię.

— Nino! to dyrektor tego teatru — takiego drugiego niema na całym świecie — wszystkich artystów z panem dyrektorem na czele zaprosiłem na kolację.

— Wspólną, wspólną, łaskawy panie — Turło się uśmiechnął i wyszedł.

— Co to miało znaczyć wspólną? — pytał Ligęza Bieleckiego.

— Turło jest bogatym człowiekiem — on sobie tak fundować nie pozwala, jak pierwszemu lepszemu — rozumiesz?

Ligęza zamyślił się — to słuchaj Heniu — jeżeli go czem obraziłem, to ty już to załatw.

— Ale oczywiście...

— Pani Nina siedziała z suchemi, błyszczącemi oczyma, raz po raz drgnęła z lekka, mimo, że wszystkiemi siłami panowała nad sobą, raz po raz zbiegało ją zimno, to gorąco — czuła tylko z nieskończoną przykrością, że bezustannie ją czyjeś oczy z parteru magnetyzują: było to jak przykry masaż.

Przetarła dyskretnie oczy, i spojrzała w dół.

Na jedną chwilę zwarły się jej oczy z czarnemi, roziskrzonemi oczyma jakiejś wysokiej kobiety, która w tej chwili, gdy się ich spojrzenia spotkały, twarz swą okoloną chmurą czarnych włosów, szybko odwróciła.

Na galerji powstał nagle głośny wrzask — kłótnie, — jakieś nawoływania, potem chwilę cicho i znowu zamęt i zgiełk.

Bielecki nadsłuchiwał — miał chwilę jasnowidzenia. Cały stał się uchem — to... to...? spojrzał w górę... zatrząsł się — ujrzał, jak we mgle twarz Kotowicza, a za nim tłoczącą się, pijaną zgraję.

— O! co to — to nie! — Bielecki drżał na całem ciele w zaciekłym gniewie — żeby głupie, pijane bydlę miało się naigrywać ze

mnie teraz — właśnie w tej chwili — na to nie pozwolę... nie — o nie!

— Państwo wybaczą, ale koniecznie muszę pójść teraz w ważnym interesie do dyrektora.

— A gdzie się spotkamy? — pytał Ligęza.

Bielecki pochwycił prawie wystraszony wzrok pani Niny.

— Ja tu przyjdę jeszcze przed końcem — albo poczekajcie państwo na mnie chwilkę na korytarzu...

Teraz coś niedobrego się stanie, pomyślał — szedł wąskimi, ciemnymi kurytarzami do kancelarji do dyrektora.

Zapukał.

— Proszę!

Turło zerwał się, gdy ujrzał Bieleckiego.

— O! jaki ja jestem szczęśliwy — łaskę, wielką łaskę nam pan wyrządza — pan niema wyobrażenia, jak aktorzy będą panu wdzięczni, gdy się pan z nimi razem na scenie ukaże.

— To wszystko dobrze, kochany panie — tylko trzeba tej głupiej, pijanej burdzie zapobiedz — tam na galerję wpakowała się pijana hałastra, która chce przeciwko mnie demonstrować...

Turło uśmiechnął się: zadzwonił.

— Proszę mi tu przysłać czterech maszynistów — co najsilniejszych.

— Zdaje się — zwrócił się do Bieleckiego — że najzacieklejsza opozycja przeciwko panu rekrutuje się z najbliższego koła przyjaciół pana.

— To bardzo możliwe — Bielecki uśmiechnął się.

Turło spojrzał na niego pytająco.

— Tylko tacy przyjaciele coś warci, którzy nienawidzą. Lubię tych pijaków — im który gorszy i bezczelniejszy, tem bliższy memu sercu... ale nie chciałbym mieć burd na przedstawieniu...

Turło śmiał się.

— Pan we wszystkim oryginalny. — Niesłychana rzecz, mieć za przyjaciół ostatnich szubrawców — niech pan wybaczy, że tak jego przyjaciół nazywam, ale są nimi istotnie, jeżeli w ten sposób w obec pana postępują.

Turło spoważniał:

— Jeżeli to mówię, to jedynie z życzliwości do pana, bo to co w mieście przebąkują, to przechodzi miarę zwykłego szubrastwa.

— No? no? co takiego czegobym jeszcze nie wiedział? Bo chyba niema świństwa, do którego by nie byli zdolni.

— Zdaje się, że panu na wartość pańskich

przyjaciół oczu otwierać nie potrzebuję — a jednak to, co panu powiem, wprawi pana w zdumienie.

— No, co takiego?

— Uporczywie krążą pogłoski o jakimś zmarłym przyjacielu, tym, który się otruł — no — jakże on się nazywa? Aha! Górski — tak! niejaki Górski!

Bielecki roześmiał się na cały głos tak szczerze, serdecznie, że i Turło śmiać się począł.

— A to rzeczywiście wziąłem rekord: takich przyjaciół jeszcze nikt przedemną, ani po mnie mieć nie będzie — ha, ha, ha... muszę im na nowy rok specjalną bibkę urządzić i za wspaniałą reklamę podziękować... Setne przedstawienie jednego i drugiego dramatu zapewnione — nieprawdaż panie dyrektorze?

Turło wybałuszył oczy.

— Rzeczywiście ja z tej strony jeszcze tego świństwa nie oglądałem... uderzył się w czoło — to istotnie w mieście musiało wzbudzić olbrzymie zainteresowanie! dziś pięćdziesiąte przedstawienie, a widownia zapełniona, jak na premierze...

— Powiadam panu — Bielecki uderzył Turłę w kolano — urządź pan przy kasie to-

talizatora — olbrzymi interes niech płacą wstawki—jedni na Górskiego, drudzy na mnie...

Zanosili się od śmiechu.

— Bajeczna myśl...

— A co? I jeszcze pan znieważył moich przyjaciół i nazwał ich szubrawcami, a nie pomyślał pan, jaką olbrzymią reklamę mi zrobili, a dramatom moim zapewnili stałe powodzenie. Za sto przedstawień, co najmniej ręczę... zdałoby się nawet tę sprawę w prasie poruszyć — kapitalna, bajeczna wprost reklama...

— Ale to nie przeszkadza zapobiedz dzisiejszej burdzie w teatrze — byłem już o tem, co prawda, uprzedzony — ale myślałem, że to głupie plotki aktorskie...

Otworzył drzwi — na kurytarzu stało już czterech tęgich, silnych chłopów. Turło zawołał ich do kancelarji.

— Rozstawcie się na galerji, a jeżeli tam kto rozpocznie awanturę, proszę bez pardonu w tej chwili wyrzucać...

— A za fatygę każdemu po dwa ruble— dorzucił Bielecki — wyjął portmonetkę, wsunął każdemu po dwa ruble...

— Już my się porządnie i rzetelnie zała-

twimy — powiedział, kłaniając się nisko, najstarszy z nich.

Bielecki spojrzał na nich z przyjemnością: tęgie, rosłe draby — kto wie, może mi się na co przy jakiejś sposobności zdadzą — a pewno mu są oddani — toć po premierze rozdał między nich około stu rubli.

— Moim drogim przyjaciołom taki lekki masaż wyjdzie na dobre...

— Tylko, chłopcy, sprawcie się rzetelnie...

— Już pan dyrektor i pan autor będą z nas zadowoleni — szerokim, przedsiębiorczym krokiem wyszli z kancelarji.

— Jeżeli co z tego będzie — śmiał się Bielecki — to niech pan pośle jutro króciutką notatkę o przykrem zdarzeniu do Kurjera — a ręczę, że na pół dnia przed następnem przedstawieniem teatr będzie wyprzedany... Ale co to chciałem powiedzieć... prawda — pan przyjął zaproszenie pana Ligęzy?

— Oczywiście, tem więcej, że i mnie i moim artystom będzie niezmiernie miło, spędzić jakiś czas w towarzystwie drogiego mistrza.

— Więc spotkamy się w restauracji teatralnej — wstąpię tylko jeszcze do panny Nastusi... ją trzeba osobno zaprosić... w trzecim akcie nie występuje.

— Więc do widzenia — za pół godziny będzie pranie — moi maszyniści nie żartują — Turło zacierał ręce — pańskim przyjaciołom dawno już ta nagroda się należała.

Bielecki przeszedł długi kurytarz i zapukał do garderoby artystki dramatycznej Anastazji Żegoty.

— Proszę! — odezwał się głos z wewnątrz.

Bielecki wszedł do garderoby. Na sofie leżała Nastka w jedwabnych dyrektoarach — na wpół obnażona i wypoczywała.

Na widok Bieleckiego zerwała się z kanapy i rzuciła mu się na szyję.

— Mistrzu kochany! Wreszcie raczyłeś mnie odwiedzić... A tak czekałam, z takiem upragnieniem czekałam...

— Tylko nie tak gwałtownie, Nastusiu, jestem po nieprzespanej nocy piekielnie zmęczony.

— O ty — ty — szepnęła z wyrzutem — ile razy do mnie przyjdziesz — zawsze jesteś zmęczony — ugryzła go w ucho.

— Zmiłuj się, co ty robisz? Gdybyś nie była tak wielką artystką, oberwałabyś teraz porządnego szturchańca...

— O ty, mój słodki mistrzu, powiedz mi raz jeszcze, że jestem wielką artystką.

— Jesteś nią — powiedział Bielecki poważnie.

— Taką, jak Réjane?

— Inną, ale również wielką.

— Ty łotrze — ty pochlebco... ale powiedz mi tylko, jedno uczciwie — jak dziś grałam?... Nigdy jeszcze tak nie grałam, jak dziś — chowałeś się w loży, ale ja cię w tej chwili zobaczyłam — dla ciebie grałam, mistrzu — a mistrz się chował za plecami tej pięknej pani — kto ona?

— Olbrzymie wrażenie zrobiłaś na niej twoją grą — zanosiła się od płaczu... ale wiesz: najwyższy czas byś się zebrała — dziś jubileuszowe przedstawienie — będą nas wywoływać — a przecież w dyrektoarach i w koszuli na scenie się nie pokażesz...

— Jezus Marja — prawda! Nawet nie uważałam — zaczęła się pospiesznie ubierać.

— Kto ona, ta malutka ślicznotka?

— Zapytaj lepiej: kto on?

— No?

— Bogaty szlachcic z Wołynia, żądny uciech, stęskniony za pieszczotą kobiety.

— Czy ona nie jest jego żoną?

— Żoną i nie żoną — przysiągłbym, że

w każdej chwili dostałby rozwód wskutek niewypełnionego małżeństwa.

— A ty złodzieju! — chwyciła się za boki od śmiechu.

— Jeżeli ci mówię, że tak jest, to istotnie tak jest...

— Bogaty powiadasz? — pytała Nastka nagle zamyślona, i wdziewała jedwabną halkę.

— Miljoner! Bielecki zapalił papierosa...

— Słuchaj, Nastko, ja cię ogromnie poważam, jako artystkę — nowy mój dramat tobie poświęcę — ale byłabyś wprost niepoczytalnie głupią, gdybyś teraz nie chwyciła czemprędzej wspaniałej sposobności, by się raz wreszcie wydostać z tego paskudnego położenia, w jakiem tkwisz... Długów masz po uszy — wiem, że nie możesz wykupić toalet do nowej sztuki — kredytu nie masz ani na kopiejkę...

— To wszystko prawda — potwierdzała Nastka z głębokim smutkiem...

— On miljoner.

— Kto?

— No ten mąż tej dziewiczej pani?

— Miljoner?

— Znam go jeszcze z ławy szkolnej — zrobiłaś na nim wprost piekielne wrażenie.

Chłonął, żarł cię oczyma — mówił mi, że jesteś cudem i objawieniem — bądźże rozsądną. Zaprosił dyrektora i wszystkich artystów; ciebie specjalnie przezemnie kazał prosić na kolację...

Nastka zapinała stanik...

— Jeżeli będziesz się umiała rozumnie do rzeczy wziąć, to raz wreszcie wybrniesz z wszystkich kłopotów — przytem chłop przystojny, tęgi — niezbyt głupi i nieskończenie poczciwy — a przedewszystkiem bogaty.

Nastka włożyła suknię, przeczesała włosy, nałożyła na twarz lekką warstwę pudru i różu, siadła na kanapie obok Bieleckiego i głaskała jego ręce.

— To wszystko rozumiem — ale, widzisz — tak bez miłości...

— Przecież nie jesteś rozmazgajonym dzieciakiem i sama się z tego śmiejesz — przecież nadewszystko kochasz sztukę, musisz mieć spokój do pracy — wierzyciele twoi uganiają za tobą, jak sfora szczwanych psów — dla twej sztuki, dla twego wielkiego artyzmu możesz poświęcić — nie siebie — to głupstwo, ale godzinkę czasu twojego i trochę humoru i wesołości twej dla takiego pana, który cię z toni wyratuje.

Nastka zamyśliła się, a nagle wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Aha! więc to ja sama się podreperuję i tobie przysługę zrobię!

Bielecki spojrzał na nią filuternie.

— O czem ty mówisz?

— No, no, ty złodzieju jakiś, już ja wiem, co ty masz na myśli — tobie tam Nastka w głowie nie była, gdyś z tym planem tu do mnie przyszedł...

— Co takiego?

— Przy jednym ogniu dwa placki się upieką. Prawda?

— Jeszcze nie wiem, o czem mówisz.

— Ach, ty wisusie, jak cudownie to wykombinowałeś! Ja wyratuję się z toni długów, a tobie wyrządzę całkiem inną przysługę — tak?

Bielecki uśmiechnął się.

— Odwrócę jego uwagę od tego, co w tym czasie mój mistrz zamierza wobec jego dziewiczej żonki — co?

— No, oczywiście: ręka rękę myje.

Śmieli się wesoło.

Inspicjent zapukał do drzwi.

— Proszę na scenę — publiczność tak się drze, że teatr się trzęsie.

I Bielecki się zatrząsł, ale zapanował nad sobą.

— No chodź! przez cały czas będę cię za rękę trzymał na znak, jak głęboko cię poważam i twoją sztukę cenię.

Na scenie oczekiwała ich gromada zniecierpliwionych aktorów.

— Autor! autor! — ryczała publiczność.

— W górę — krzyknął inspicjent — kurtyna się podniosła.

Nieokiełznana burza oklasków zerwała się na sali.

Bielecki trzymał Nastusię za rękę i kłaniał się głęboko,

Kurtyna zapadła.

Oklaski umilknąć nie chciały.

— W górę! zakomenderował po raz drugi inspicjent.

— Pokłoń się twojej pani tam w loży — oczy jej roziskrzone, jak chciwe ręce za tobą się wyciągają — szepnęła Nastka Bieleckiemu do ucha.

Znowu kurtyna się podniosła.

Bielecki wprost ostentacyjnie zwrócił się w stronę loży, gdzie siedział Ligęza z swoją żoną — ujrzał ją bladą, skamieniałą z szeroko

rozwartemi pociemniałemi oczyma i nawpół rozchylonemi ustami.

Ukłonił się w jej kierunku głęboko — a nagle zatrząsł się cały!

Na galerji rozległ się przeraźliwy ryk:

— Górski! Górski!

W teatrze powstało zamieszanie — publiczność cała zwróciła się w stronę galerji — coś niezwykłego się tam działo.

Krzyki, klątwy szamotania, piski kobiet — bijatyka — burda karczemna... raz po raz chrapliwe, pijane krzyki:

— Górski! Górski!

A potem wszystko ucichło.

Publiczność stała chwilę, jakby oniemiała— a nagle zdawała się orjentować, że nieprzyjaciele Bieleckiego chcieli burdę z zawiści urządzić i całe przedstawienie zakłócić, więc ze zdwojoną energją i zapałem poczęła bić brawo i wywoływać Bieleckiego.

— W górę! krzyknął tym razem sam Bielecki.

I znowu kurtyna się podniosła, a on stał mocny i pewny — nie kłaniał się już — tylko całą siłą wzroku wpatrzył się w panią Ninę, która drżała, jak liść osiki.

X

Ada weszła z Porajem do restauracji teatralnej, tuż naprzeciw teatru.

— Poszukajmy sobie jakiś zaciszny kącik, by nam nikt nie przeszkadzał, i nikt się na nas gapić nie potrzebował — powiedziała Ada, z wymuszonym śmiechem...

— Jak sobie pani życzy...

Sala była jeszcze pusta.

— Tu rozpoczyna się życie dopiero około jedenastej — objaśniała Ada.

Usiadła w głębi — Poraj odwrócony tyłem do sali.

— Nie, nie! Siądź pan tu obok mnie — tu zaraz przyjdzie Bielecki, pani Ligęza i niepotrzebny dodatek: jej mąż. Bielecki się wścieka: ale tak ni stąd, ni zowąd, męża za drzwi wyprosić nie można. — Mąż to gnat, ochłap, jaki los-rzeźnik do kupna mięsa do-

rzuca — trzeba go brać, choćby z prostej grzeczności.

Poraj spojrzał na nią zdziwiony i uśmiechnął się.

— Pan się wcale nie potrzebuje sardonicznie uśmiechać — ja wiem, że moje porównanie kuleje na wszystkie cztery nogi — ale również wiem, że dla mężczyzny, który flirtuje z piękną kobietą, mąż jej jest niepotrzebnym gnatem, starym rupieciem, które się z grzeczności toleruje — czy nie tak?

— Nie wiem, łaskawa pani, jeszcze nigdy z mężatką nie miałem do czynienia...

Ada przymrużyła figlarnie oczy.

— I nie może pan sobie wyobrazić, coby pan odczuwał, gdyby się pan zadurzył w jakiejś mężatce, a tu ustawicznie mąż się naokoło was kręcił? gdyby sobie kochaną żonusię sadzał na kolana, bo jako przyzwoity mąż ma do tego prawo — czulił się do niej, szeptał jej po cichu słówka do uszka, od którychby kraśniała... co, kochany panie?

Poraj przybladł nagle, zamyślił się chwilę, a potem spojrzał jej spokojnie w oczy.

— Przyszłaś pani z pomocą mojej leniwej wyobraźni — teraz nie potrzebuję sobie wyo-

brażać, ale wiem doskonale, że to dla tego drugiego jest niezmiernie przykre.

— No, no, no... a skąd to pan tak doskonale wie?

— Doświadczyłem tego na sobie samym.

Spojrzała na niego pytająco:

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Wczoraj?

— Tak — Poraj ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu — jeżeli będzie dalej pytała, powiem jej wszystko — może sobie uprzytomni, że nie można jednego mężczyzny do teatru lub restauracji ciągnąć po to tylko, by tam drugiego zobaczyć.

Zdjął go nagle zły wstyd — czem on teraz jest? Jej lokajem, usłużnym i dyskretnym kamerdynerem? Pragnął być z nią razem, a ona myślą i całą duszą przy innym — teraz go tu zaciągnęła, bo szarpie nią zazdrość o panią Ligęzę... Jaka śmieszna moja rola, pomyślał.

— A kiedy, przy jakiej sposobności pan doświadczył tego, bądź co bądź niemiłego uczucia?

— Mówiłem pani, że wczoraj... zastanowił się chwilę a potem wybuchnął:

— Wiem dobrze, że pani nie jest żoną Bieleckiego. —

Spojrzała na niego z udanem zdumieniem.

Ale Poraj nie dał zbić się z tropu.

— A mimo to, miałem niezmiernie przykre uczucie, ile razy pan Bielecki zbliżał się do pani z tą zażyłą poufałością — a to uczucie było tem przykrzejsze, że pani nie jest jego żoną — bo w tym wypadku byłbym sobie pomyślał: jako mąż ma pewne prawa i wolno mu z nich korzystać...

Ada przechyliła się do niego poprzez stół:

— A więc pomyślał pan, że jestem kochanką Bieleckiego?

— Tak! tylko usilnie panią proszę, byś mnie pani fałszywie nie rozumiała. Zresztą przed paru godzinami jasno moje stanowisko zaznaczyłem. Pani pytała, cobym powiedział, gdyby się pani komu oddawała — odpowiedziałem, że o ile z miłości, jest to w moich oczach najwyższą cnotą... Więc ten fakt, że pani mogłaby być kochanką Bieleckiego, bynajmniej nie obniża wartości pani w moich oczach, odnoszę się do pani z tym samym głębokim szacunkiem, jaki ku pani powziąłem, gdym pierwszy raz panią ujrzał...

— Książę! powiedzieliśmy sobie, że będziemy przyjaciółmi. —

— Zostanę pani najszczerszym przyjacielem, a jeżeli się teraz wypowiedziałem z tego, co czuję, to pani sama temu winna — pani sama tę spowiedź wywołała...

— Więc o co panu chodzi? — Ada przymrużyła oczy.

— O to, co już pani mówiłem: doznałem niezmiernie przykrego uczucia, gdy widziałem, z jaką poufałością się pan Bielecki do pani odnosił — a ponieważ to uczucie jest nietylko przykre, ale i brzydkie...

— Więc — więc...

— Jeżeli pani cośkolwiek na mojem towarzystwie zależy — Poraj przybladł, ale w głosie jego brzmiała stanowczość — to prosiłbym, byśmy stąd wyszli, bo aż nadto dobrze wiem, że pani czeka tylko na przyjście Bieleckiego, by zobaczyć, jak się będzie odnosił do pani Ligęzy...

— Książe się całkiem zapomina... Ada spojrzała na niego roziskrzonemi oczyma.

— Nie, łaskawa pani: zbyt głęboko noszę panią w sercu, bym się mógł wobec pani zapominać — pani mocno mnie uradowała, gdyś pani zezwoliła, bym się uważał za jej

przyjaciela — więc jestem pani winien bezwzględną szczerość.

Ada czuła się zaskoczoną. Niczego nie byłaby się prędzej spodziewała, jak tych prostych, szczerych, a tak stanowczych słów Poraja... próbowała ratować sytuację lekkim cynizmem:

— Cóż u djabła — pan o mnie zazdrosny?!

— Niech pani to nazwie, jak pani zechce — ale przykrzejszego jeszcze uczucia nad to wczorajsze doznałem dziś, gdym pana Bieleckiego ujrzał w loży z panią Ligęzą, jak udawał, że nas nie widzi, a po trzecim akcie zamiast się pani pokłonić, kłaniał się ostentacyjnie pani Ligęzie... Zupełnie w to nie wchodzę, co Bielecki myśli — ale uważam, że całkiem niema potrzeby, chcieć zwracać na siebie uwagę wszystkich.

Ada przestała nad sobą panować.

— Brutal! — syknęła.

— Kto? — zapytał Poraj cicho.

— On! on!

— Wielcy ludzie, zdaje się, dużo tracą na bliższem poznaniu — zadecydował Poraj z zimną flegmą.

Uczuła się nagle małą i upokorzoną, wstydziła się wobec Poraja, że odsłoniła rąbek

swojej ciężkiej tajemnicy, że zdradziła przed nim odrobinę męczarni, jaką w ostatnich dniach przechodzi.

Milczeli przez długą chwilę.

Kelner zniecierpliwiony obchodził dyskretnie, a rownocześnie znacząco stolik.

Poraja to irytowało, wsunął mu do ręki kilka rubli:

— Proszę zaczekać.

Teraz mieli spokój.

— A cobyś pan na to powiedział, gdybym była istotnie kochanką Bieleckiego? — Ada odsunęła nagle stołek i spojrzała wyzywająco na Poraja.

— Dziwiłbym się tylko, gdyby pani po tem, com dziś widział, chciała nadal nią pozostać... Toby mnie zmusiło zmienić doszczętnie kąt widzenia, pod jakim od pierwszej chwili na panią patrzę.

Ada osłupiała — zawrzał w niej gniew: jak ten smarkacz śmie jej coś podobnego mówić — morały jej prawi, nauki daje, czy co?

Jakieś ordynarne wyrazy, wyzwiska cisnęły jej się do ust, ale Poraj przerwał jej.

— Pani, zdaje się, całkiem mnie nie rozumie. Pani jest dla mnie czemś tak pięknem i podziwu godnem — nie bierz mi pani za złe,

jeżeli się niedołężnie wyrażam — że sprawia mi to wprost fizyczny ból, gdy widzę, że ktoś, komu pani swe serce oddała — jak najwyraźniej panią lekceważy.

— Panie Poraj, jak pan śmiesz mi coś podobnego mówić!

— Nietylko śmiem, ale w każdej chwili jestem gotów to wobec pana Bieleckiego powtórzyć. Postępowanie jego dziś w teatrze — a doskonale nas widział — było co najmniej wysoce niełądne... I przyznam się pani z całą szczerością, że dziś w teatrze miałem niemniej przykre uczucie, jak wczoraj na uczcie wigilijnej...

Poraj nie myślał się już hamować, ani też cofać.

— Pani jedynie dlatego prosiła, bym pani towarzyszył do teatru, by zobaczyć pana Bieleckiego z panią Ligęzą.

Zwiesiła głowę, ciężko znużona, jak człowiek, który nie ma ani sił, ani ochoty się bronić...

— Pani gwałtownie chciała zajść do tej właśnie restauracji, by — by... czy wolno mi szczerze powiedzieć?

— Wolno — powiedziała ostro.

— A więc — by się rozraniać widokiem

pana Bieleckiego, nadskakującego pani Ligęzie.

Podniosła oczy i patrzyła przenikliwie na Poraja.

— Widzę niedowierzanie w oczach pani— może mnie pani posądza o jakąś samczą zazdrość — może pani myśli, że chciałbym tem, co mówię, obniżyć i zdyskredytować Bieleckiego w oczach pani? W takim razie jest pani w najfatalniejszym błędzie — ja wszystko rozumiem, wszystko wybaczam — nie! nie wybaczam, to . głupio powiedziane — wszystko znoszę, ale... — Poraj począł się nagle plątać.

Ada błądziła ręką po stole...

— Nie może pan dokończyć? Ja panu pomogę... Pan nie może znieść, bym była o Bieleckiego zazdrosną?

— Nie, to nie to — ja bym pragnął tylko, by pani była świadomą swej wartości i nie poniżała się wobec Bieleckiego.

— Czem?

— Tem, że go pani szuka i śledzi.

Twarz Ady oblała się szkarłatem.

— Jakim prawem mówi mi pan te impertynencje? Czy tem, żeś mi pan cały automobil kwiatów przywiózł?

Poraj aż się skurczył — twarz jego wy-

krzywiła się takim bólem, jakby mu ktoś czaszkę rozłupywał — syknął tylko — ale nic nie powiedział.

Spojrzał na nią, ale taką mocą, że się zlękła.

I tak patrzyli na siebie długą chwilę — ona stropiona — on chwilę mocował się z sobą, zdusił ból i gorący płomień urazy, który już, już miał buchnąć i stłumił go mokrym piaskiem żalu i smutku.

Tymczasem restauracja coraz więcej zapełniała się gośćmi — gwarno było i rojno. Ze strzępów rozmów, które z wszystkich stołów i stolików dolatywały, zrozumiał Poraj, że dyskutowano o ostatnim skandalu w teatrze... Górski! Bielecki! Co miały znaczyć te krzyki Górski! Górski!?

Ale Poraja w tej chwili nic nie obchodziło. Patrzył na czysty, przeraźliwie biały obrus na stole, raz po raz odgarniał jasne włosy, które mu na czoło spadały, starał się zebrać myśli, ale obuch, który na jego głowę spadł, był zbyt silny — oszołomił go.

— Chodźmy stąd!

Poraj podniósł ciężko głowę — ujrzał przed sobą Adę, śmiertelnie bladą, w oczach jarzył się ogień gorączki.

Poraj patrzył na nią w milczeniu.

— Pójdzie pan ze mną? — brzmiało to, jak nakaz.

Poraj wstał, ale nic nie odpowiedział.

Patrzyła na niego z ciężkiem pytaniem.

— Czy ja z panią pójdę? Pewnie, że panią odprowadzę do domu, skoro sobie pani tego życzy.

Usiadła nagle, obejrzała się dookoła — chwyciła go za rękę.

— Ja panu ciężką krzywdę wyrządziłam.

— Większą, aniżeli ją sobie pani wyobrazić może.

Ada ściskała kurczowo jego rękę.

— Niech pan wybaczy — to była niepoczytalna chwila, i moje słowa niepoczytalne...

Poraj podparł dłonią twarz i patrzył na nią uważnie—jakby pierwszy raz ją widział— a nagle uświadomił sobie, że taka niedbała pozycja wobec kobiety jest uwłaczającą jej godności, wyprostował się i zapytał z ujmującą grzecznością;

— Więc wolno panią odprowadzić do domu?

Ada już całkiem się opanowała.

— Do domu — nie! ale do innego lokalu.

— Służę pani!

Wstali od stołu.

Nagle zrobiło się w restauracji cicho.

Cała gromada nowych gości weszła na salę.

Ada i Poraj przystanęli.

Na przedzie pani Ligęza, za nią Bielecki— potem Turło z najprzedniejszym aktorem, pan Ligęza z Nastką i cała gromadka aktorów i aktorek.

To wszystko zatrzymało się u wejścia.

Bielecki rozglądał się bezradnie naokoło: wszystkie stoliki były zajęte — podszedł do kelnera pogadał z nim — kelner pokłonił się i wskazał na drzwi prowadzące do przyległej, jeszcze ciemnej sali, rozsunął je, zaświecił elektryczne światło: całe towarzystwo z śmiechem i gwarem zwróciło się do saloniku, który Turło przedtem już telefonicznie zamówił.

Bieleckiego zaniepokoiła ta cisza, która nagle zapanowała na sali, gdy wszedł z całem towarzystwem — pewnie omawiają skandal w teatrze — pomyślał. — Rozejrzał się: wszystkich oczy były na niego uporczywie zwrócone; łechtało go to, jakby mu ktoś setki szydełek w ciało wsadzał — a! niespodzianka: — ujrzał Adę — i panna Ada wraz z Po-

rajem również ciekawi, jak mu dzisiejsza owacja Kotowicza posłużyła...

Ukłonił się od niechcenia w ich stronę — Ada wybuchnęła wesołym śmiechem i to tak głośnym, że wszyscy zwrócili się w jej stronę.

— Chodźmy, chodźmy — naglił Poraj, któremu było przykrem, że dziwne zachowanie Ady zwróciło ogólną uwagę...

— Niema co czekać — pani widzi, że pan Bielecki będzie przez cały wieczór niewidzialny...

Towarzystwo całe wraz z Bieleckim zniknęło w przyległym saloniku i drzwi się za nimi zamknęły.

Ada powoli wciągała rękawiczki.

— Pan się lęka, że mogłabym pana skompromitować?

— Mnie nic kompromitować nie może, ja tylko o panią się lękam, bo pani w niezwykle podnieconym i podrażnionym stanie.

Zagryzła usta, ale nic nie mówiła.

Gdy wyszli na ulicę, przystanęła.

— Panie Poraj, pan, zdaje się, ma ochotę dawać mi lekcje taktu i tego, co wypada, lub nie...

— To się pani ciężko myli — nie o tem myślałem, gdym naglił do wyjścia — całkiem

inny proces myślowy odbył się w moim mózgu.

Stała po kostki w śniegu i przecinała go parasolem.

— Jeżeli pani ciekawa, com przez cały czas w tej restauracji przemyślał, to mogę pani powiedzieć.

— Wcale nie jestem tego ciekawa.

— A więc chodźmy — wziął ją serdecznie pod rękę, przycisnął jej ramię mocno do siebie i powiedział z jakąś zamaszystą, rozbrajającą wesołością:

O, widzi pani, teraz sobie tak pójdziemy przez miasto, jak dwóch serdecznych przyjaciół — po drodze wstąpimy do jakiegoś rozumnego i mniej burżuazyjnego lokalu, jak ta obywatelska restauracja teatralna, wstąpimy do baru na kieliszek Sherry Brandy — to nas rozgrzeje — po drodze będziemy sobie opowiadać wiele ciekawych rzeczy, a potem pójdziemy na kolację, bo przyznam się pani, że jestem głodny. A na deser możemy wstąpić do wczorajszego Marchołta — odwiedzimy Miecię i Cesię i tak wesoło i serdecznie spędzimy cały wieczór.

Powiedział to wszystko z taką swobodną dobrocią, oględną pieczołowitością, by ją w do-

bry humor wprawić, z takim dyskretnem zrozumieniem tego, co boleśnie przez cały wieczór ją żarło, że spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Pan jest pierwszy i jedyny człowiek, który jest dla mnie dobry — powiedziała miękko i szła raźnie naprzód. Ale w tej samej chwili zawstydziła się, że się mazgai:

— Ale nie myślałam, że pan umie być taki zuchwały.

— Ja? zuchwały? Nie, nie, nie! — przeczył nerwowo — to nie zuchwałość — ja tylko głęboko z panią współczuję...

— Co — co — co? — przystanęła.

— W tej chwili pani powiem — szarpnął ją niecierpliwie naprzód — fałszywie się wyraziłem — ja współczuję sam z sobą, bo to wszystko, co pani dziś przeżywa, ja już od wczoraj przeżywam.

— Gadaj pan po ludzku, nie wyrażaj się pan tak enigmatycznie, bo nic nie rozumiem...

— Ależ to tak proste, a jeżeli pani instynktem kobiety tego nie przeczuła, to najlepszy dowód, jak pani miłość intuicję kobiecą zamąciła.

— Miłość? do kogo?

— Przecież nie do mnie — o tem wiem —

wystarcza mi, że pani mnie zechciała nazwać swoim przyjacielem — więc powiem pani wszystko szczerze — pani udaje że mnie nie rozumie, a przecież rozumieć musi, bo jesteśmy w analogicznem położeniu.

— W jakiem? Mów pan jasno, bo ta krętanina niecierpliwić mnie poczyna.

Poraj roześmiał się wesoło.

— Krętanina? Doskonale pani nazwała najprostszą rzecz w świecie: więc jasno i wyraźnie powiem: pani kocha pana Bieleckiego, a pan Bielecki zadurzony w pani Ligęzie, i przez cały wieczór, mimo, że panią widział, nie zwracał na panią najmniejszej uwagi — to panią wysoce podrażniło i wielką przykrość Jej sprawiło. — Niech tylko się pani na moją szczerość nie oburza — sama pani tą szczerość wywołała. — A teraz, wracając do mnie: moje położenie jest znacznie przykrzejsze — oddychał szybko tak, że trudno mu było mówić — nie zdradzam zresztą tajemnicy, bo pani ją doskonale zna — ja panią kocham: pani wyznaczyła mi szranki przyjaciela, w nich też pozostanę — ale faktem jest, że panią kocham, więc łatwo pani zrozumie, com wczoraj i dziś przecierpiał, i jak doskonale stan pani odczuć mogę.

— O, o! — Ada zaśmiała się wymuszonym śmiechem — teraz poczyna być wesoło.

— Istotnie, droga pani Ado, mnie się dusza rozweseliła, a raczej wyzwoliła — prawda, że szczerość chociażby najbanalniejsza bardzo upraszcza stosunki między ludźmi — i ułatwia im pożycie z sobą?...

— Pani powiedziała, że teraz poczyna być wesoło — zaśmiała się pani przytem, ale śmiech pani był wymuszony i nieszczery — ja radzę pani usilnie: niech się pani wtedy tylko śmieje, gdy pani ma do tego ochotę, bo każdy inny śmiech męczy, jak wogóle każde kłamstwo. — Przyznajmy sobie uczciwie, że ani pani, ani mnie wcale nie jest wesoło na duszy, to będzie nam raźniej...

— Solamen miseris — zaśmiała się Ada — widzi pan, jak dużo skorzystałam z przestawania z Bieleckim.

— Socios habuisse malorum — dokończył Poraj — o! widzi pani, teraz weszliśmy na właściwą drogę, teraz nam będzie dobrze razem.

— Tak, teraz mi dobrze z panem — powiedziała Ada — nigdy nie myślałam, że mężczyzna może być dla kobiety rzeczywiście przyjacielem.

— I ja nie myślałem, że mężczyzna wo-

bec kobiety, którą kocha — niech się pani nie śmieje — pierwszą miłością kocha, może być równocześnie — a raczej tylko współczującym przyjacielem.

— Nie wiem, co to rodzina — bom ją wcześnie opuściła, a potem wszyscy pomarli — nie wiedziałam też, co to przyjaźń i przyznam się panu, że pierwszy raz jakieś dobre uczucie zaległo moją złą duszę.

— Oczywiście złą — śmiał się Poraj — nietylko to, ale zbrodniczą, przewrotną — to już mi pani mówiła.

— Nie wiedziałam, że, że...

— No? co? Tak sobie wszystko szczerze mówimy...

— Że mężczyzna może być czemś więcej, jak prostym, ordynarnym samcem...

Nagle wyciągnęła rękę z pod jego ramienia — cofnęła się i przystanęła.

— Ja wprost nie pojmuję, co się ze mną dzieje? Pańskie towarzystwo nie dla mnie — ja się przy panu gubię, zatracam, ślamazarnieję. Dobroć pańska, ta... ta... wytworna, współczująca dobroć ubezwładnia mnie — to gorsze jak morfina... i — i... nie chcę, nie chcę!

— Czego pani nie chce?

— Obrzydliwego haszyszu dobroci nie chcę! wybuchnęła.

— Jedną zniewagę po drugiej rzuca mi pani w twarz... Gdyby to, co dla pani czuję, było dobrocią — tobym się sam spoliczkował — to nie dobroć: to miłowanie — niech pani wybaczy, że o tem mówię, — muszę się bronić — poza tem jestem i zostanę pani przyjacielem...

W oczach rozprysło mu tysiące iskier; jakieś ogromne planety wystrzeliwały w górę i spadały siarczystym deszczem w dół — pociemniało mu w oczach.

— Ordynarnym samcem — wykrztusił nagle i bezpośrednio, — jest tylko ten mężczyzna, który się swej kochanki wobec drugiej, którą zdobyć pragnie — wstydzi — wstydzi! — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Coś pan powiedział? — wydała mu się w tej chwili tak straszną i równocześnie tak piękną, jak nigdy jeszcze.

— Jaka pani piękna! powiedział — i pomyśleć, że ten wielki, głupi człowiek, ten pan Bielecki za inną goni! Dziwne — dodał z niesmakiem — jak wielcy ludzie przy bliższem poznaniu tracą... Ale teraz chodźmy — jak tak będziemy dłużej stać, to poczną się ludzie

naokoło nas gromadzić, a toby było dla pani i dla mnie wysoce nieprzyjemne.

Posłuchała go, wsunęła bezwiednie rękę pod jego ramię i szła posłuszna, przybita...

— O kim pan mówił?

— O panu Bieleckim.

— Aha! o nim — o nim... — umilkła chwilę — o panu Bieleckim pan mówił — no tak! Noga mi się na chwilę powinęła, ale teraz już wszystko w porządku.

— A jak panu na imię? — zapytała nagle.

— Roman.

— A to dobrze, tyle możliwości zdrobnienia tego imienia... ha, ha, ha... Ale zdumiewające! pan taki młody, a tyle przenikliwej intuicji w panu, tyle znajomości duszy ludzkiej, tyle zimnego, sprawnego — a! wreszcie znalazłam odpowiedni wyraz — tyle sprawnego, rzetelnego, czysto i uczciwie myślącego rozumu... Jak to pan powiedział? że wielcy ludzie —

— Na bliższem poznaniu tracą.

— Doskonale pan to powiedział — pomyliłam się — ciężko się pomyliłam, zdawało mi się, że to jakiś słoneczny zbrodniarz — jakiś olbrzymi Baldur zbrodni — a to prosty tchórz!

— I źle wychowany — dorzucił Poraj.

— Ale do ostatniej chwili będę wobec niego lojalną.

— To już pani rzecz.

— A teraz — panie Romanie — tak! panie Romanie — teraz przestańmy o tem wszystkiem myśleć i mówić — teraz bądźmy weseli — zabawimy się dzisiaj tak całkiem — no, no, jakby to powiedzieć? bez różnicy płci — ha, ha, ha, prawda, że dobrze to powiedziałam — patrz pan — teraz wstąpimy do baru — tuż obok — potem zjemy kolację — a potem idziemy do Sprośnego Marchołta...

Cesia wczoraj mi mówiła, że na dziś obmyśliła specjalny program: bardzo ciekawy numer w jej produkcji. Nauczyła się chodzić na rękach, więc wyobraź sobie pan: spódniczka spadnie jej na główkę, a w górę będą sterczeć nóżki — przyobleczone w najświeższej mody paryskie majteczki: Directoire! Dałam jej wczoraj dwadzieścia rubli, żeby sobie do tego odpowiednie, wspaniałe pantofelki kupiła. Wystaw pan sobie te małe nóżki wyfikujące w górze, w takt mazura — hołubce.

— To będzie rzeczywiście ciekawe — zaśmiał się Poraj...

Przystanęli przed barem — Ada chwyciła go za ręce:

— A teraz między nami jaknajzupełniejsza zgoda i koleżeńska swoboda i harmonja? pytała.

— Zgoda i harmonja — powtórzył Poraj.

XI

Swoją drogą, krzywdę mu wyrządziłem, gdym mu prostactwo zarzucał — Bielecki patrzył, zamyślony, na Ligęzę — to pan całą gębą...

Jak on to zręcznie i wytwornie wszystko robił, musiał mieć z służbą dużo do czynienia: nigdy żaden kelner nie wydawał się Bieleckiemu sprawniejszym, jak pod okiem Ligęzy.

Przypatrywał mu się z przyjemnością.

Ligęza potrzebował tylko mrugnąć, a w lot wszystko było na stole — mnóstwo zakąsek, wódek; Bóg wie skąd nawet kwiaty się na stole pojawiły...

Jaki ja roztargniony, pomyślał Bielecki: doszczętnie zapomniałem, że kwiaty ofiarowane mi na pięćdziesiątem przedstawieniu, kazałem tu przynieść.

No, no... pomyślał zdumiony, mnóstwo musiał mieć wielbicielek — służący teatralny wciąż jeszcze znosił bukiety, kosze, wieńce kwiatów..

Patrzył z dobrotliwym uśmiechem na te dowody umiłowania i szacunku i uwielbienia... no? i czego jeszcze? Ha, ha, ha! Właściwie powinien był to wszystko ponieść na grób Górskiego, ale cały sęk w tem, że nie wiedział gdzie on leży... niejasno sobie, coś niecoś, przypominał: pogrzeb Górskiego był mu nieskończenie obojętny — pamiętał tylko, że Łusia, świętej pamięci Łusia, rozpacznie nad grobem Górskiego zawodziła.

Cichy i dobry spokój wam obojgu się przynależał: śpijcie spokojniel lepiej wam, aniżeli mnie z Kotowiczem na karku, trzema sfałszowanemi wekslami — i co najgorsze: z grożącem niebezpieczeństwem ze strony przewrotnej, zazdrosnej i prawdopodobnie mściwej Ady.

Na drugim końcu sali siedziała pani Nina.

Uczuł na sobie ciężki jej wzrok.

Skrzyżowały się ich spojrzenia: dziwnie długo i głęboko utkwiły w sobie.

Jakby ją pierwszy raz widział:

Jak ona dziwnie piękna! to już nie była zagadka, która go nęciła: dziewicą jest, czy mężatką?... ujrzał nagle kobietę.

Nie spuszczał z niej oczu.

— Czekaj, czekaj — cóż znowu? — pierwszy raz mu się zdarzyło, że przebiegł go na widok kobiety gorący dreszcz, że serce mu się nagle rozhulało — uczuł je w krtani, w tętnicach — załopotało mu w oczach, szumem buchnęło mu w uszy — biło, drżało, trzęsło się...

— Co to? — pytał zdziwiony — co to mogło znaczyć?

Chmura miedzianych włosów wokół małej główki — rysy tak delikatne, żeby je zdmuchnąć można — malutkie, pełne usta, jak u czternastoletniej dziewczynki i oczy — oczy — oczy... tak się z jego oczyma sprzęgły i zwarły — nie, nie to! to zatopienie się w sobie... ach! jak rozkosznie tonąć w jej oczach.

Skąd to nagłe, nieznane, niepojęte dla niego uczucie?

Nigdy jeszcze tego nie doznał... przecież jeszcze przed godziną — nie była mu obojętną, przeciwnie, ale jeszcze, jeszcze... Silił się, by zrozumieć, co się z nim działo...

Nawałnica niespokojnych, chaotycznych myśli zalała jego mózg — gorąco, jak po zażyciu ostrego narkotyku zalało jego serce — a oczy ich trwały, jakby w nieprzerwalnem, nierozprzęgalnem spowiciu.

Wołały siebie — nie! nie! to nie było już wołanie, to zazębienie się dwóch kół losu — czy przeznaczenia, mistrzowsko do siebie dopasowanych.

Ach! jak one teraz wartko toczyć się poczęły!

Bieleckiego ogarniało coraz większe zdumienie...

— Co — co to miało znaczyć? to przecież chyba nie miłość?

I w tej chwili zbiegł go gorący dreszcz. Poraz pierwszy w życiu pomyślał to słowo: zdumiewające, jaką to reakcję w całym organizmie wywołało...

Przestał na nią patrzeć — niecierpliwie przetarł czoło.

Nie mógł sobie zdać jasno i rzetelnie sprawy z tego, co się z nim dzieje — podziemne fale oblewały próg świadomości. — Jakie fale? skąd się wzięły? Statek jego mózgu kołysał się i drżał, choć całe morze było ci-

che, całe zalane księżycowem światłem... skąd te wstrząśnienia ustawiczne?

Spojrzał na panią Ninę ukradkiem.

Przywidzenie, czy rzeczywistość? ale wciąż jeszcze ich oczy rozłączyć się nie mogły.

Zanim do niej pójdę, pomyślał... nagle zastanowił się i przeraził na chwilę... Patrzyłem na nią wczoraj i dziś — i skąd nagle?... Zaraz... zaraz... och, jak to trudno było do końca domyśleć... Aha! coś musi być w niej, co, jak iskra, padło na ogromną kadź prochu... no — no —

Cóż u djabła?

Zaczął się jej uważnie przypatrywać — ale nie był zdolen jasno i analitycznie na nią patrzeć. Ile razy rzucił na nią oczyma, za każdym razem doznawał gorącego dreszczu, który go wzdłuż krzyża pacierzowego przebiegał.

Teraz pójdę do niej — postanowił, ale gdy wstał, uczuł, że nogi pod nim drżą...

Tabes dorsalis? zachichotał w sobie cicho — czy co? Jeżeli to jest miłość, to blisko spokrewniona z chorobą...

Na stoliku w kącie złożono mnóstwo kwiatów, które jemu, Bieleckiemu — Górskie-

mu: utkwił w tem złączeniu nazwisk i gorący wstyd buchnął mu falą krwi do twarzy...

Ale tylko przez jedną chwilę...

Wziął najpiękniejszy naręcz kwiatów i podszedł z cicha do pani Niny.

Ale nie mógł słowa powiedzieć. Jakby mu coś głos zaparło... wreszcie po chwili:

— Nie mogę zroumieć, co się ze mną dzieje — zupełnie nie wiem...

Patrzyła na niego prawie wystraszona...

Oddychał szybko:

— Przychodzę do pani onieśmielony, jak żak — cóż u djabła mu się stało? — rzeczywiście przyszedłem, jak żak, który co dopiero ławę szkolną opuścił — teraz już całkiem zdobył panowanie nad sobą... Pani wybaczy, że ośmielę się szczerze powiedzieć, co czuję? Jestem trochę podniecony tym — tym moim dramatem — a przykro byłoby mi zdusić w sobie to, co teraz czuję.

I pani Nina zdążyła przyjść do równowagi.

— Ciekawa jestem bardzo, co pan mi ma do powiedzenia? — powiedziała bardzo uprzejmie.

Bielecki skłonił się do jej małej rączki, ucałował ją, spojrzał jej w oczy, ona uśmiechnęła się nieznacznie...

— Przyszedłem do pani, jak w jakimś lunatycznym śnie — nie, nie — nie miałem pewności lunatyka, raczej czułem się, jak onieśmielony żak szkolny, a jednak przyjść musiałem, by pani powiedzieć to — to głupie, to banalne, że nie widziałem równie pięknej kobiety, jak pani...

Spojrzała na niego zdumiona.

— Niech pani nie patrzy na mnie tym zimnym, ostrym wzrokiem... Ja doskonale czuję, że to, co powiedziałem, może być nawet wysokim nietaktem... nie — nie! nie byłbym w stanie popełnić wobec pani coś takiego, coby choć zdala jakimś nietaktem trąciło... Jestem artystą, więc może mi wolno coś więcej powiedzieć, niżby... — zająknął się — cóż to?

Spojrzał jej w oczy z takiem zdumieniem, że mimowoli się uśmiechnęła,

— Uśmiech pani mnie wyzwolił. — O, o! teraz będę mógł mówić. — Nie bierz mi pani za złe, ale, widzi pani, jestem zmęczony i wczorajszą ucztą wigilijną i dzisiejszem przedstawieniem mego dramatu — znowu się zająknął — tak, mego dramatu. Byłem więc trochę zatumaniony i nagle przed chwilą panią ujrzałem, nigdy równie pięknej kobiety nie wi-

działem — i niech pani zważy: w ustach innego człowieka byłoby to głupim, banalnym komplementem — ale dla mnie było to, jakby objawieniem, ujrzałem panią nagle inaczej... I jedno jeszcze chciałem, a raczej muszę powiedzieć...

Spojrzała na niego tak, jak się patrzy na człowieka, którego się rozumieć nie chce.

— Teraz znowu pani tak spojrzała, że znowu uczułem się owym żakiem szkolnym...

Uprzytomnił sobie równocześnie, że w ręku trzymał ogromny bukiet kwiatów i musiał z tem wszystkiem śmiesznie wyglądać: jakaś fatalna Biedermayerowska scena...

Lęk przed śmiesznością był tak u niego silny, że chociażby był po kilku przepitych nocach, w jednej sekundzie z niechybną pewnością trzeźwiał...

Jeszcze jakąś chwilę plótł trzy po trzy, tak że pani Nina nie mogła się zorjentować, czy ma trzeźwego, czy pijanego człowieka przed sobą, a nagle usłyszała przejmujące, głębokim uczuciem tłumione słowa:

— Całe moje życie było ciężkie, trudne, nieskończenie trudne i przykre, ale z rozkoszą rozpocząłbym je na nowo, by raz jeszcze taką chwilę przeżyć, jaką dziś przeżyłem...

— O czem pan mówisz? — w oczach jej łopotały niespokojne skrzydła wystraszonego ptaka, który już jedną nóżką wplątał się w zdradzieckie sieci...

Teraz już był całkiem pewny siebie, jakąś ogromną, dobrą, jasną pewnością człowieka, który się zbliża wprost z bratnią miłością do ukochanego dziecka.

Było to dla niego samego niepojęte, ale tak to czuł.

— O czem ja mówię? — uśmiechnął się i spojrzał jej jasno i szczerze w oczy — jeszcze o niczem — ale chciałbym mówić: pozwoli pani?

— Pan jest tak wielkim artystą — powiedziała po chwili — że panu wolno niejedno powiedzieć, czegoby się od drugiego słuchać nie chciało.

Jakby go ktoś na nagniotek nadepnął — wiecznie to z tym wielkim artystą — aż syknął i uczuł silne rozdrażnienie.

Pani przynajmniej powinna zapomnieć o artyście — człowiekiem chcę być — niczem innem — podrażnienie poczynało być irytacją, a nagle wybuchnął przytłumionym, dławionym szałem:

— Artysta, wiecznie artysta! pluję na

artystę! Do jasnego pioruna z wszystkimi artystami! człowiekiem pragnę być! podoba się pani artysta — owszem — ale ja dziś poczułem w sobie człowieka... i pani to zawdzięczam...

Opamiętał się nagle, przysiadł się do niej, ujął jej rękę, pocałował i z gorącą rozkoszą czuł, jak ta maleńka rączka drżała — nie — nie! to nie było drżenie — to podziemny, wprost już metafizyczny lęk przed czemś... aha! lęk ptasząt przed zaćmieniem słońca...

— Niech mi pani wybaczy, zachowałem się wysoce niekulturalnie, ale to ustawiczne z tym mistrzem i artystą drażni mnie — i — wybuchnął nagle: pani zawdzięczam, żem dziś po raz pierwszy uczuł się człowiekiem!

— Co? co? co?

— Tylko niech się pani nie lęka — teraz postaram się o jasne, możliwie jasne powiedzenie tego, com pomyślał. Siedziałem dziś w loży z panią — pani płakała — a płacz pani wywołał we mnie taki dziwny, bolesny wstyd, że na chwilę poczułem się dobrym... Nie — dobrym w znaczeniu etycznem, bo tem się brzydzę...

Spojrzał na nią chwilkę, ale ani drgnęła.

— Tylko jasność w sobie uczułem — jasność, jakby mi ktoś duszę świętym hyzopem oczyścił...

Chwila ciemnego, parnego milczenia — zapragnął błyskawicy, któraby mu mroki jego duszy rozjaśniła —

— Czemu pani milczy, czemu pani jednego słowa nie powie?

Milczenie.

Bielecki drżał z rozdrażnienia.

Brutalne, plugawe słowa zmagały się z jakąś nieskończenie cichą, pełną smutku, tęsknoty, żalu melodją — ale brutal przemógł...

— Jak o artystę chodziło — mówił prawie opryskliwie — to pani umiała mówić, a jak chodzi o moje człowieczeństwo, to pani się otula w wygodny płaszcz tajemniczego sfinksa i milczy... I niech pani nie będzie tak przerażoną — pani może być dumną z tego, że pani człowieka we mnie obudziła — tak, tak, tak! Kosztowna miedź pani włosów okręciła się wokół mego serca, pani oczy rozświeciły się w mej duszy słońcami światów w poczęciu, pani małe, nieskończenie wytworne rączki raczyły wygrzebać z mej czarnej, łotrowskiej duszy jakąś świętą hostję, o której nie miałem pojęcia, że tam jakaś mogła być

ukryta; widzę ją teraz w rączkach pani ponad całym światem: rychło co, a łany zboża się pokłonią i lipy z jaknajgłębszą czcią zaszumią i jeziora z brzegów wystąpią:

„Tantum ergo sacramentum!"

Przymknęła oczy, jakby zwolna zapadała w hypnotyczny sen.

Bielecki coraz więcej się podniecał.

Jaki ja muszę być zły, jeżeli sama myśl, że na chwilę stałem się dobrym, do wściekłości mnie doprowadza!

Miał teraz ochotę schwycić ją za ręce i szarpnąć, ażby na kolana padła na ziemię, a potem pastwić się nad nią:

Czemu milczysz, czemu nic nie mówisz!?

Opanował się... prawda: przedewszystkiem nie trzeba zapominać o zasadach, jakie zobowiązują dobrze wychowanego człowieka.

Równocześnie pomyślał, jako przytomny i rozważny człowiek, że przedłużona zbyt i poważnie głęboka rozmowa z panią Niną mogłaby zwrócić uwagę całego towarzystwa. A częste przestawanie z aktorami nauczyło go już, że trzeba mieć się przed tą, skądinąd bardzo sympatyczną bandą, na ostrożności.

Bielecki począł mówić tonem, jakby jakąś

towarzyską plotkę, albo wesołą anegdotkę opowiadał,

— Niech mi pani pozwoli wszystko mówić; ja pani tak wiele zawdzięczam — zgadzam się nawet na to, że pani toleruje mnie tylko jako artystę, zapomnę o tem, że jestem człowiekiem i to przez panią wskrzeszonym człowiekiem; niech mi pani tylko pozwoli mówić...

Spojrzała na niego chwilę i znowu oczy przymknęła.

— Drażnią mnie przymknięte oczy pani — i ten — tak banalnie nazwany „owal" twarzy — który żadnym owalem nie jest, bo ma sam w sobie nową, nieznaną i tak przedziwną piękność...

— Przestań pan!

— Właśnie, że nie! właśnie teraz muszę mówić!

— Panu nie wolno takich rzeczy mówić do mnie!

— Właśnie, że mnie, mnie jednemu, który tak nieskończenie radosną nowinę — taką niesłychaną „gaya scienza": że ja także jestem człowiekiem, pani zawdzięczam — królewsko bogatym perłom łez pani...

Bielecki czuł, że traci chwilami panowanie

nad sobą i wpadał w coraz większe rozdrażnienie.

— Jeśli się pani lęka, że to wszystko, co mówię, nie mógłbym powtórzyć w obecności męża pani, to...

Rozwarła szeroko oczy — spojrzała na Bieleckiego przerażona — ogarnęło ją dziwnie nieznane, niespokojne, bezwolne a tak nieskończenie słodkie ubezwładnienie i nie wiedząc całkiem co robi, ujęła rękę Bieleckiego.

— O, o... raz jedyny jeszcze... było to tak słodkie, jak jasne chmurki na niebie — boże baranki, które się w uroczysty wszechświat, ogarniający nas, po niebie gonią — były to leciuchne, nieskończenie łagodne, miłe, jak drobniuteńkie fale, które w kąpieli na ciepłym piasku człowieka opływają...

Bielecki oglądnął się nagle dookoła. Co to? wizja? delirjum? Doszczętny wywrot samego siebie, przenicowanie się na ręby?

I oprzytomniał.

Miał ochotę — gwałtowną, nieprzepartą, parsknąć zimnym, szyderczym, cynicznym śmiechem i wyrzucić z siebie tę... tę „chaumière", ale nie zdołał...

Podniósł zbożnie i z niezmierną tkliwością

małą, drobną rączkę dziecka z oględną pieczołowitością, jakby się lękał, ją przebudzić...

— Widzi pani — może się pani to śmiesznem wydawało, że przez kwadrans pieszczę już i niańczę ten najpiękniejszy naręcz kwiatów — przyszedłem go pani dać — całkiem o tem zapomniałem przy tej mojej najzupełniej niepotrzebnej gadaninie...

Pani Nina spojrzała na niego, jakby w jakiemś zamyśleniu, jakby w dalekiem przypomnieniu — w oczach jej było widoczne wytężenie człowieka, który z ciężkim trudem sobie uświadamia: sen to, czy jawa?

I spojrzała na niego tak bystrowidzącym wzrokiem, że drgnął cały i tak całkiem niewidzącym, że uczuł wprost lęk, iż ją z głębokiego snu przebudził.

Podawał jej kwiaty, ale nie wyciągnęła rąk po nie.

— Kwiaty mi pan daje? — uśmiechnęła się cicho: patrzył na nią w jakiemś uroczystem zdumieniu: jej uśmiech był, jakby połysk najkosztowniejszego starego złota, przycichły, matowy, senny: legendami wieków lśniący.

— Jakto? Pan mi, przezemnie samą wybrane dla pana kwiaty, chce dawać?

To nie był szept, to nie były jasne słowa —

zdawało mu się, że nic nie słyszał, przeczuwał tylko, że było coś powiedziane...

Teraz Bielecki spojrzał na nią wystraszony...

Uśmiechnęła się, ale tym razem jej uśmiech wyglądał, jak drapieżne łyskanie się na czarnem, ciężkiemi chmurami spowitem niebie.

— Co? — zapytał.

— Co? To przecież kwiaty, które ja panu dałam...

Stała się w nich nagle taka cisza, że słyszeli rozkwit kwiatu lotosu chwiejącego się w tajemniczych mrokach świętego Gangesu — usłyszeli przeraźliwą ciszę antarktycznych gór, z których widniał, dla mózgu człowieka niepojętem milczeniem spowity... całunny biegun.

Cisza przed ciszą — milczenie przed ogromem, grozą i strachem przejmującem: stań się!

Nina wstała cicho.

Ale to nie było wstanie, to, jakby wzmożenie się cichego akordu, który nabrzmiał smutkiem, żalem i cicho się rozbił o piaszczysty brzeg.

— To pan istotnie nie wiedział, że te kwiaty odemnie?

Bielecki milczał: jednego słowa nie byłby w stanie z siebie wykrztusić.

A wokół nich wirowała w szalonym roz-

pędzie rozpalona do czerwoności obręcz — nie — dwie — trzy roztopione obręcze.

Tak — tak — roztopiony ogień...

Przerwał się nagle pierścień. Miliardy gwiazd rozprysły się w oczach Bieleckiego: to od niej — od niej...

Widział, jak znikła w gronie gości.

Wstrząsnął się i opamiętał.

Co? co to było? Co to wszystko miało znaczyć?

Miłość?! — pomyślał — to... to — znowu odruchowo oczy przetarł — to tak miłość wygląda?

Tego mi jeszcze brak teraz — pomyślał wściekły...

Nie!

Wyprężył się, jakby co dopiero oprzytomniał.

Zaraz! zaraz... na gwałt antydotum! jeszcze nie czas się otruć — morfina, opjum, haszysz po całem cielsku się rozłazi — ratuj się ratuj, póki czas!

Jak niesłychanie śmiesznie musiał z tym bukietem wyglądać... Nie! to nie był bukiet — to ogromny naręcz kwiatów — to była ciężka miedź jej włosów, pod któremi jej mała główka się uginała — to była gorąca czerwień jej ma-

łych, pełnych ust i upalny żar południa na jej policzkach — całkiem ten sam, który się tak lubieżnie, tak rozkosznie na żytnich, czy też pszenicznych łanach rozkładał...

— Panie Bielecki — zaczął z sobą poważnie rozmawiać — najwyższy gwałt, byś się opamiętał! coś załopotało, co w języku ludzkim sercem się nazywa, a czegoś dotychczas w sobie nie umiał odnaleźć, a o jego istnieniu dowiadujesz się co najwyżej po całonocnem przepiciu, więc —

Bądź rozumnym — a kosztowało go to długą chwilę, zanim tak logicznie i rozsądnie począł myśleć.

Na gwałt antydotum!

Podziałało to na niego, jak kategoryczny, z wszystkich imperatywów najkategoryczniejszy.

Patrzył przed się.

Zdumiewające: tyle ludzi, tak rojno i gwarno — a jeszcze przed chwilą miał wrażenie jakiejś przedstworzeniowej ciszy — ten przedostatni wyraz bardzo mu się podobał.

Otrułem się! zaśmiało w nim złym, cynicznym śmiechem: na gwałt antidotum!

Cichutko, podstępnemi, lisiemi krokami su-

nął ku Nastusi, ale w połowie drogi skręcił i znów usiadł w kącie.

Nikt na niego nie zważał, wszystko było zajęte bufetem. Aktorzy dawali koncertowe przedstawienie, istotnie: przedstawienia godnego apetytu.

Pan Ligęza, całą gębą pan, musiał na chwilę zniknąć, by z gospodarzem pomówić, bo... naturalnie Ligęza nie mógł się lumpować— jak już, to już... Nasta zadowolona: z jaką to rozkoszą wydmuchuje półrublowego papierosa!

Tuż obok Nastki ujrzał Bielecki panią Ninę.

Szeroko i szczerze roześmiało mu się serce.

Ale w tej chwili nie wiedział dlaczego.

Spojrzał nagle na ten ogromny, ciężki bukiet przedziwnie kosztownych, jak stara miedź jej włosów, jak ten ponad wszelką cenę rozkoszny uśmiech jej malutkiej, upalnem słońcem czerwcowego południa gorejącej buzi, kosztownych kwiatów: i nagle strzeliła mu zła, ordynarna myśl do głowy: mógłby podejść do Nastki i powiedzieć jej jasno i dobitnie, tak, żeby pani Nina mogła to też posłyszeć: Nastuchno! jestem Ci wdzięczny — pięknie mi grałaś — tak, jak jeszcze nigdy — i prawdopodobnie nigdy już grać nie będziesz — bo mimo, że ten mój dramat — jak najzupełniej mój...

Tak! już chciał wstać, ale w tej chwili posłyszał w swoich myślach to ostatnie powiedzenie z tym dramatem —

Przetarł czoło... Straszny lęk go zdjął — Jezus Marja! Włosy mu się jaknajwidoczniej na głowie jeżyć poczęły... no — no...

W przeskokach wymagających na jedną minutę miljon mil, zaczęły mu się myśli układać. — Zbiera mi się na Tołstojowską spowiedź — dalibóg! wypaplę się!... że to nie mój, jaknajoczywiściej nie mój dramat...

W tej samej chwili pański odruch:

Wstyd, panie Bielecki — a! wstyd — a maleńka, głupia, no? jak to nazwiesz... aha! faiblesse... faiblesse, równie głupia, jak to bezsensowe uczucie, które mu jasne horyzonty jego zimnego, trzeźwego mózgu ciężkiemi chmurami obwłóczyło... to, to, co ludzie miłością nazywają: fatalne uczucie, to ani faiblesse, ani miłość — tylko malaise!

Choroba! i to najprzykrzejsza z przykrych.

Posmutniał, bo jakkolwiek musiał trzeźwym rozumem przyznać sobie, że ten ordynarny pomysł, by kwiaty pani Niny, jemu dane, ofiarować Nastce, był sam w sobie wspaniały, bo taką potworną zniewagą, do którejby jej nawet było wstyd przyznać się mężowi — nie

tylko by ją od niego odepchnął, ale pozwolił jej uważać Bieleckiego za brutalnego parobka, i raz na zawsze zażegnał grożące jemu niebezpieczeństwo, spotkania się kiedykolwiek z uroczą panią Niną — zastanowił się. — Więc, jakkolwiek ten pomysł był najzupełniej jego godny, to jednak tym razem, niezdolnym był go wykonać i musiał skapitulować... Zdawało mu się, że pomysł ten i ze względu na niego samego był wysoce niefortunny — to byłoby tak, jakby sobie coś z najniepotrzebniejszą w świecie brutalnością z pod serca wydarł...

To ostatnie doskonale było pomyślane. Uśmiechnął się z rezygnacją.

— A więc: ça y est: miłość! Chytra, znienacka, cichutkiemi miękkiemi, niesłyszalnemi krokami go naszła i zdradzieckim Dżiu-Dżitsu ubezwładniła.

Bielecki błądził dookoła oczyma — sam nie wiedział, że jej szukał.

A! a! tam stała i to ciągle jeszcze z Nastką.

Ho, ho, co to za świetna aktorka z tej Nastusi! że też ten idjota Górski tak głupio z tym cjankali eksperymentował... mogliby teraz we dwójkę nową rolę, specjalnie dla Nastki przeznaczoną napisać...

O, jak się do pani Niny łasi... Nastuś! nie

zadawaj sobie takiego trudu: pomyśl przecież, jak głęboko ją w moim dramacie wzruszyłaś, i mówiąc po ludzku, to ona tak znowu gwałtownie chwilowego braku mężulka nie odczuwa — i... Chryste! jakaś ty sprytna — przysiągłbym, że ty jej o mnie mówisz — z takiem ogromnem zajęciem pani Nina inaczej by twojej płytkiej paplaniny nie słuchała...

Przykry cyniczny śmiech skręcił mu serce.

Doskonale, Nastuś, ręka rękę myje — opowiadasz o mnie najwięcej interesujące szczegóły — wyrafinowanym instynktem rajfurki — a według smutnej pamięci Weiningera, w każdej kobiecie ten instynkt tkwi... opowiadasz jej naturalnie takie rzeczy, które jej wyobraźnię podniecają, ciekawość rozpalają — wdzięczną ma duszę: za pana Ligęzę przygotowujesz mi pewny i wygodny teren, na jakim żonę jego będę mógł zdobyć...

Myśl ta była mu, nie wiedział dlaczego, wysoce przykra i aż po brzegi wypełniła go niesmakiem.

Muszę, droga Nastusiu, przerwać twoją zacną robotę.

Wstał ciężko z kanapy, ułożył troskliwie bukiet pani Niny na osobnym stoliku, wstawił go w framugę okna, wziął karafkę z wodą,

skropił starannie kwiaty, a gdy się przypadkowo, czy też z wyraźnym zamiarem — tego dokładnie nie wiedział — obrócił w stronę pani Niny, oczy ich się spotkały.

Zmieszał się, bo było mu to nieprzyjemnie, że pani Nina, a raczej oczy jej, spotkały go na gorącym uczynku, więc szybko się odwrócił i znalazł wspaniałą drogę wyjścia.

W kącie, przy ścianie, zobaczył wieniec białych i czerwonych róż, przepleciony ogromną, czerwoną szarfą z szumnym i pompatycznym napisem.

Nie był ciekaw tego napisu: znał go już, bo przecież firmie Górski i Spółka innego napisu dedykować nie sposób.

Niecierpliwie, z zaciętemi zębami, oderwał od wieńca dwumetrową kosztowną szarfę, już nie namyślał się, bo miał w sobie ciężki nakaz: Antidotum!

Z cichym uśmiechem podszedł do Nastki, obok której stała pani Nina, obie zajęte ożywioną rozmową i zręcznym ruchem opasał szarfą pannę Anastazję wpół powyżej bioder, zawiązał szarfę na węzeł i pokłonił się głęboko.

Jakkolwiek artystyczna drużyna była bardzo zajęta jedzeniem zakąsek i popijaniem wyśmienitych wódeczek, to jednak w tej chwili

owacja, jaką pan Bielecki znakomitej i bardzo lubianej artystce wyrządził, zwróciła ogólną uwagę.

Tę relację, która jutro rano z całą pewnością będzie pomieszczona w Kurjerze, antycypował Bielecki, na co nawet zbytniego daru jasnowidzenia nie potrzebował, więc, aby jeszcze większej wagi nadać tej owacyjnej uroczystości, przemówił — to już naprzód w jutrzejszym Kurjerze czytał — z szczerą, ujmującą prostotą:

— Droga pani — na sekundę przerwał, chcąc się upewnić, że go słuchają — a raczej droga Nastko — to „ty" nawiasem mówiąc, nikogo na fałszywe myśli nie naprowadzi, bo jest to w stosunkach nas artystów ogólnie przyjęte, a przytem, jak wiadomo, erotyczne ralacje między nami nie istnieją.

Powiedzenie to wywołało gromkie, i szlachetnym narkotykiem wyśmienitych wódek mocno rozentuzjazmowane brawa.

— Chciałem ci, Nastko, dać kwiaty, ale nie chciałem i nie mogłem robić przykrości szczodrym ofiarodawcom — są przytem w aż nazbyt hojnej dzisiejszej owacji kwietnej, kwiaty tak mi nieskończenie drogie, że za nic dopóki jeszcze żyją, z nimi rozstaćbym się nie

mógł, więc na dowód mej wdzięczności opasałem cię tą szarfą, na której złotemi głoskami mam wypisany patent na wielkiego mistrza.

Ponieważ jednak ja sam mistrzem nie jestem, za to ty jesteś istotnie wielką artystką, więc ten patent mistrzostwa do ciebie należy, nie do mnie, i dlatego nim cię opasałem.

Znowu głęboko się przed nią skłonił.

Nastka nie mogła się w pierwszej chwili zorjentować, co to miało znaczyć, czy to nie kpiny Bieleckiego? ale nie wypadła z roli — dwoma paluszkami każdej ręki ujęła suknię, podniosła ją i zrobiła przed Bieleckim dworski dyg, pełen nieopisanego, rokokowego wdzięku, jak zauważył Ligęza, który przed chwilą ukończył konferencję z gospodarzem i wprost pochłaniał, rozpromieniony i niezwykle podniecony, powabną Nastkę.

Zauważył to Bielecki — zdumiony był swoim wszechwidzącym wzrokiem i uradował się tem migawkowem spostrzeżeniem.

— Niegodna jestem — wielki mistrzu — Nastka znowu filuternie dygnęła — ale niech się według twej woli stanie.

Bielecki z wielkim trudem opanował wprost wulkaniczny wybuch śmiechu: teraz

dostał od Nastki patent na archanioła Gabryela!

Wpadł w doskonały humor; chwilę jeszcze panował nad gwałtownem pragnieniem śmiechu, ale już nie był w stanie dłużej.

Aż się zaniósł od śmiechu. Dobry humor mistrza udzielił się zgromadzonym artystom, mimo, że i tak byli wszyscy w świetnych humorach i wszystko śmiało się na umor, chociaż przeważnie nie wiedziano dlaczego.

Śmiech wyzwolił Bieleckiego... jakaś sprężyna w jego mózgu, która go o fizyczny ból, niepokój, lęk przyprawiła, odwinęła się nagle: tylko jeszcze jedno bolesne uderzenie i potem szeroki oddech, jak po wyrwaniu chorego zęba...

Szukał oczyma pani Niny...

Towarzystwo znowu się rozdzieliło — nastrój stał się podniecony — przestano na siebie zważać — każden był tylko zajęty tym, który się przypadkowo w jego pobliżu znalazł.

Aha! tam siedzi — Bielecki ujrzał ją nagle — siedziała we framudze okna — właśnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą tak starannie umieścił kwiaty, które ona, ona... Nina — bezwiednie pieścił się tem imieniem — ona! Nina mu dała.

I znowu oczy ich się zwarły. Było to, jakby ani ona, ani on na jedną chwilę rozstać się nie mogli, bo oczy ich nierozerwalnie się wiązały; tak sobie wyobrażał stan człowieka zahypnotyzowanego, który tygodniami, miesiącami całemi tkwi w tym stanie, nawet, gdy ze snu się przebudzi.

Uczuł wprost przerażenie: więc on — on jest zahypnotyzowany przez nią — teraz stan tej hypnozy potrwa tak długo, dopóki ona z tego snu go zbudzić nie raczy, albo jakiś inny brutalny, od jej woli niezależny czynnik, go z tego stanu przemocą nie wyrwie...

Broń się! pomyślał — oczu od niej oderwać nie mógł — rwało go ku niej, ale resztką sił postanowił dziś, do niej się nie zbliżać.

Odwrócił się, żartował z tym i owym, i siadł w kącie, do którego tylko przytłumione światło dochodziło.

Teraz ciebie widzieć nie mogę, przynajmniej cieleśnie — a w tym gwarze, śmiechu, zgiełku rozbawionych gości, dziwnie jasno myśli jego się rozwijały.

A może to jednak nie jest miłość? myślał — teorję miłości znał, bo, jako rzekomo wielki artysta, tym problematem psychologicznym przeważnie zajmować się musiał.

Spróbował więc pomyśleć coś niechlujnego o pani Ninie — wzdrygnął się bezwiednie, jakby popełnił coś nieskończenie ohydnego, bynajmniej nie w znaczeniu etycznem, lecz estetycznem.

A! — a! więc jednak miłość! Jeżeli on, Bielecki, który mógł się dotychczas tem szczycić, że nigdy jakaś kobieta nie istniała dla niego z innego punktu widzenia, jak tylko czysto płciowego, a teraz wobec tej niepokalanki już na tę samą myśl, że mógłby ją czemś zbrukać, się wzdryga...

Zastanowił się.

Skąd te słowa: zniechluić—zbrukać—zbezcześcić?... Tego przecież w jego słowniku nie było!

Tak — tak musiało być istotnie: niepokalana czystość, która biła od tej kobiety, paraliżowała jego pierwotne zamiary, by ją posiąść tak, jak każdą inną, jak Adę naprzykład, jakby mógł sobie Nastusię pomiędzy jednym aktem a drugim w garderobie zniewolić — i stąd to uczucie lęku, fizycznego wprost strachu przed czemś, czego dokładnie nie znał, a coby go mogło niechybnie zaprzepaścić.

Jego dusza, nie przywykła pętać się smutkiem, była może po raz pierwszy dzisiaj

smutna... A tak było rojno i gwarno naokół... Świetliste jej oczy wżarły mu się smutkiem w samo dno duszy.

Źle z tobą, Heniu — pomyślał — pójdę potem do Ady — u niej wytrzeźwieję: jak w nagłej wizji przeleciały mu przez mózg wszystkie pieszczoty, jakiemi go Ada, jakiemi go przedtem Łusia darzyła i zastanowił się, że zawsze przyjmował raczej pieszczoty, a ich nie dawał, a nagle uprzytomnił sobie, że tę, tę jedyną spławiłby w oceanie najwyszukańszych pieszczot, a nie było takiej, którejby z nią przeżyć nie pragnął, i teraz — teraz już się nie łudził: kochał ją!

Odmieniały się wszystkie wartości — pojęcia, które jeszcze niedawno z brutalnym cynizmem wypluwał, stały mu się nagle rzeczami, zasłoniętemi uroczystą tajemnicą: zagadek, przeczuć, niepojętych dziwów pełną świątynią — a on stąpał pokorny, skruszony — cichutko, cichuteńko na palcach — w zbożnej, słońcem najuroczystszego święta przepojonej czci i wiary w cud, który się w nim nagle dokonał.

Tak! ta miłość — teraz już wiedział, że to miłość: to był istotny cud... Ale to nie było szczęściem dla niego, przeciwnie: wykolejeniem, katastrofą, a może i zgubą...

— Cóż mój drogi mistrz taki zadumany?— Nastka przysiadła się poufnie do niego na kanapkę.

— Wiesz, jestem głęboko wzruszona... Tyś nie tylko wielki artysta, ale i ładny człowiek... ten hołd, któryś mi złożył — a na który ja w mojem zmieszaniu, ku niesłychanej uciesze całej bandy — słowami Zwiastowania odpowiedziałam...

Bielecki wreszcie wydobył się z gęstwiny na słoneczną polanę:

— To co? przypomniała mu się rola archanioła Gabrjela i roześmiał się serdecznie...

— Ale w gruncie rzeczy, to mi się należało — prawda?

— Hołd, czy zwiastowanie? — Bielecki zapalał papierosa.

— Oh! ty zbereźniku!

— Jak ważysz się mnie tak nazywać?

— Im który jest milszy —

— No — przerwał Bielecki — niedługo, a nazwiesz pana Ligęzę miłym prosiaczkiem.

Nastka wybuchnęła śmiechem.

— Ja już go tak w myśli nazwałam — tobie się do wszystkiego przyznać mogę. Ten... ten wołyński szlachcic jest swoją drogą bardzo porządne i miłe homo i taki od razu...

Nastka zaczęła szeptać Bieleckiemu do ucha:

— Mogłabym przysiądz, że jego żona jest dziewicą... tak rozpalonym — i to z punktu— to tylko może być mężczyzna, który niema tego, co mu się prawnie, socjalnie i kościelnie należy...

— Nastka? ty sobie trochę podpiłaś...

Spojrzała na niego filuternie.

— Och ty urwiszu! Jakiś ty piekielnie sprytny, a jednak cię przejrzałam! Poco mamy przed sobą grać komedję? przecież już teraz jesteśmy „en famille".

— Hę?

— No — co tak patrzysz, jakby cię dopiero przed chwilą bocian na świat przyniósł? jesteśmy w pewnym familijnym związku — zaszedł tylko mały kadrylowy changement: ja jej męża — ty jego żonę... żachnęła się nagle — no? co to ma znaczyć? Coś tak serjo na mnie spojrzał? przykro ci, że Cię przejrzałam? I wiesz — ty — ty Bielecki zdradziłeś się z twą największą, najgłębszą tajemnicą tym jednym spojrzeniem: tyś zakochany!

— Nastuś, dopiero kolację wnoszą, a ty już jesteś pijana — co to będzie za dwie godziny!?

— Ach, ach, jaki mistrz niedobry! sam się zdradza, a potem człowiekowi przykre rzeczy wygaduje — ale w familijnym kółku— tak, en quatre, to się niejedno wybaczyć powinno.

Znowu nachyliła mu się do ucha:

— Słuchaj, bądź ze mną szczery — ty jesteś zakochany — na tem się znam — ja widziałam mojego mistrza z tą i ową, sama miałam chrapkę na ciebie — tej twojej Adzie, czy jak ona się nazywa, a która teraz — ha, ha, ha, pójdzie w odstawkę, byłabym najchętniej oczy wydrapała, ale ta — pani Nina ujęła mnie czemś, co ty mi może potem rozanalizujesz i wytłumaczysz: to czyste, jak łza, czytać w niej można, jak w niezmąconem zwierciadle — i pomyśl, ja zła, przewrotna kobieta, doznałam ogromnej ulgi, że nie potrzebuję jej męża kraść: ona go nie kocha...

— No, no? — Bielecki zadrżał i czuł, że blednie.

— Czy nie widziałeś, jak naokoło mnie skakał, jak pożera mnie oczyma, a ona dla mnie coraz, przyjaźniejsza?

Bielecki uśmiechnął się wymuszenie.

— Wiesz, ja zapiszę się u ciebie na kurs praktycznej psychologji.

— A ja u ciebie, i wtedy wzajem się dopełnimy... ale teraz żarty na bok... to jest słodki, kochany dzieciak... gdybyś się nie był twoim spojrzeniem zdradził, że jesteś w niej naprawdę zakochany — tylko proszę, nie graj komedji i nie marszcz tak srogo brwi — ja, może być jestem przewrotną, no, no, no! pokazała mu język — nawet rozpustną, ale gdybym nie była się przekonała, że ją kochasz, to byłabym ją przed tobą ze wszystkich sił broniła. Ale tak, to rzecz inna: spojrzyj tylko, siedzi osowiała, nie wiedząc, co z sobą i tymi wszystkimi ludźmi począć — oczy, jak jaskółki przed burzą latają, gubią się — ciebie szukają, ciebie... Ha, ha, ha... Ja dla ciebie jestem narzędziem twojej sztuki, wykonawczynią twoich planów — ale, widzisz, ja jestem jeszcze też człowiekiem, bo inaczej miałabym i brylanty i majątek i najwięcej fashionable toalety z Paryża...a tak! wczoraj, dla rozmaitości, sama prałam swoje paradne batysty... Idź, idź do niej — patrz — wstaje — rozgląda się niespokojnie — buzia zbladła...

I Bielecki rzeczywiście wstał. Bezwolnie, jak sobie nagle uprzytomnił — ocknął się, przybrał odświętny, nie ten uroczysty, ale rozsłoneczniony wyraz twarzy istotnie szczę-

śliwego człowieka, i poszedł do pani Niny, która co dopiero jakiemś zdawkowem słowem zbyła jakiegoś natrętnego aktora.

— Chciałem się po angielsku wynieść — mówił swobodnie Bielecki — a jednak nie mogłem tego zrobić, by panią, panią jedyną, nie pożegnać...

Spojrzała na niego naprzód z przerażeniem, potem wyraz ten zmienił się w cichy, głęboki wyrzut, wreszcie w oczach załopotała jakaś bezradna, niewypowiedziana prośba:

— Zostań pan!

Oczy jej powiedziały wszystko, rozświetliły najskrytszą tajemnicę z tego... początku i końca — dopełnił Bielecki: tego, co nagle zakiełkowało, co już pędami w lęku i trwodze przy ziemi się przyczaiło, co niedługo prostem prawem heljotropizmu ku słońcu się wypręży.

Ogarnęło go nieznane, tak nieskończenie słodkie uczucie szczęścia: miał wprost ochotę rzucić się jej do maleńkich stóp i krzyczeć: będę ci słońcem! Ale, jako dobrze wychowany i panujący nad sobą człowiek, ukłonił się przed nią tylko, pocałował małą jej rączkę i powiedział:

— Zostanę...

XII

Było już nad ranem, kiedy się goście rozeszli.

Ligęza trzymał się do samego końca, ale z wielkim trudem... zato pani Nina była niezwykle podniecona.

Bielecki szedł ciężko przed się i rozmyślał.

Cały czas siedział przy niej, mówił jej bezustannie rzeczy, jakich dotychczas żadnej kobiecie nie powiedział, sam już teraz nie wiedział, jak jej to mówił — tok rozmowy mógł jedynie zrekonstruować z blasku, lub przyćmienia jej oczu, z pochylenia jej główki, z nerwowego drżenia jej maleńkich, nerwowych rączek.

A kiedy już wychodzili, bo większa część gości była w nader opłakanym stanie — co — co ona mu powiedziała?

Słyszał, jak najdokładniej słyszał — to nie

było proste majaczenie... powiedziała mu: jaki pan miły!

Drgnął cichą rozkoszą, i w tej samej chwili głęboko się zasmucił.

— Tu już nie masz się co okłamywać, kochasz ją, pokochałeś ją od razu tą nagłą, piorunującą miłością, która jest prawdopodobnie pierwszą i jedyną — no! oczywiście: jednem słowem nie kłamałeś, gdyś jej mówił o objawieniu...

Bielecki był zdumiony, że po raz pierwszy w swojem życiu nie kłamał, że to wszystko, co dziś Ninie mówił, było prawdą, z pod serca sobie wyrwaną, tak głęboko i tak szczerze przeżytą, że musiałby się jej wstydzić, gdyby miała chociaż najlżejszy odcień kłamstwa.

Był znużony i uczuł żal.

Wszyscy się porozjeżdżali — jedni automobilami, drudzy dorożkami — tylko on jeden musiał jeszcze pieszo w śniegu błądzić, bo musiał iść tam, — gdzie bytność jego niekoniecznie musiał pierwszy lepszy dorożkarz zdradzić.

Tak! doskonale wiem, że wczoraj już „tam" chciałem pójść, ale przeszkodziła mi w tem pani Nina. Jakiś fatalny los mnie prześladuje, że właśnie teraz, kiedy najwięcej sił i zimnej rozwagi potrzebuję, musiała stanąć

na mojej drodze — nie, nie stanąć, ale wszystkie moje plany pokrzyżować — ta... ta — no! jak się to nazywa? Miłość! Miłość!

I co niezmiernie zastanowienia godne — rozważył głęboko i przystanął — że ile razy wypowiadam to słowo miłość — albo, ile razy jestem wprost zmuszony, powiedzieć sobie, że Ninę kocham, zawsze zbiega mnie jakiś dziwny dreszcz, a więc miłość i kochanie nie jest jakąś werbalną kategorją, jak wszystkie inne pojęcia.

— Och! jaka ty piękna! — aż oczy przymknął — te twoje małe, miękutkie rączki, te, te oczy — błyszczące oczy pod ciężkiemi powiekami — i tyle łagodnego, a tak parnego ciepła..!

Że on, ten mocny, zimny człowiek, nie był w stanie tego wszystkiego rozumieć, pojąć, rozanalizować!

Co to było?

Aha! błyskawica rozjaśniła mu mózg.

Cicha, słodka melancholja, łaźń szatańska, w której szatan dusze kąpie... dlatego więc ojcowie Kościoła tak się lękali melancholji... Botticeli, Botticeli, gdybyś żył za czasów Tertuljana, byłbyś na stosie spłonął!

Co za głęboka mądrość tkwiła w tym lęku przed melancholją i tajemnicą...

A — a — a!

Bielecki aż się zdumiał.

Teraz dopiero zrozumiał, co tak... nagle — tak niespodzianie...

O! o! teraz chwilę spocznij! Zrobiłeś porządny kawał drogi.

Ujrzał się na małym placyku, z którego na wszystkie strony rozchodziły się wąskie uliczki.

Na środku stał jakiś skromny pomniczek, ale nie wiedział czyj, kogo ma przedstawiać, i nie myślał, nad tem się zastanawiać...

Siadł na cokole.

Wprawdzie mógłby się na mokrym śniegu zaziębić, ale do tego futro jego nie dopuści.

Ale, pomyślał, pono ostatnim łotrem jesteś — wszystko, coś zrobił dotychczas, przemawia za słusznością tego twierdzenia, ale to ci nie przeszkadza, jasno i rzetelnie pomyśleć... Jeżeli jesteś łotrem, to w każdym razie zdecydowanym i uczciwym, takim, który się na swoim fachu zna.

Chciał o czem innem myśleć, a myśl jego bezwiednie wracała do pani Niny.

Piękna, zamyślił się, drobniejsza jeszcze od

Łusi, delikatniejsza... Ha! Łusia! Łusia! była głupią, upartą dziewuchą, pełną zaściankowych przesądów — ta zaś tajemnicza od samego dna duszy stęskniona... tak! ona tęskni, tak, jakeś ty sam tęsknił, a czegoś się tak gruntownie przy Adzie oduczył, że na gwałt duszę sobie plugawić jąłeś...

I jakby ktoś inny do niego począł przemawiać:

Spotkaliście się w smutku i wielkiej tęsknocie, czeka was najgłębsze piękno, dopełnienie wszystkiego, co wam na drogę życia dano, ziszczenia wszystkich tęsknot, wszystkich pragnień — i czego się jeszcze opierać?

Już, już nie będę się opierał, pójdę za tobą, tak, jak ty za mną pójdziesz — a że Nina za nim pójdzie, nie wątpił w tej chwili — ale teraz święta, słodka, czysta pani, która jakimś cudem jesteś dziewicą — i o tem nie wątpił, mimo, że mocno w Nastusi zadurzony, silny, jak tur okaz męski, który się zwie twoim mężem, nie wygląda na to, by z praw swoich nie korzystał — otrząsnął się... Wybacz, pani Nino, że jestem zmuszony o czemś innem pomyśleć, a przedewszystkiem o tem, iż muszę iść tam, gdzie mi piekielnie trudno było się wybrać.

A to „tam" już niedaleko.

Tchórzę?

Zamyślił się.

Teraz już musiał otrząsnąć się z tego miłosnego zatumanienia, bo już dłużej zwlekać nie mógł.

Więc muszę cię teraz jedyna ukochana — ach! co za głupie słowa... gdybym cię chciał nazwać tem słowem, któreby mogło wyrazić, czem dla mnie jesteś — musiałbym parę lat strawić na jakiejś ekstazie hinduskiego Fakira — wybacz mi: ja muszę cię mieć, i będziesz moją.

Zląkł się — ale w tej chwili piorun postanowienia wpadł w jego duszę. Tak, będziesz moją! I właśnie dlatego muszę cię teraz wyrzucić z mego mózgu, właśnie dlatego muszę o tobie zapomnieć.

Postanowił i począł rozważać, dlaczego się teraz w tem miejscu znalazł.

Prosta rzecz.

Był wprawdzie pijany, chciał to w siebie wmówić, ależ, jakiż człowiek nie jest pijanym po dwóch nocach ustawicznego picia, choćby miał tak silną głowę, jak on, ale zdumiewające, że mu to pozwalało jasno myśleć...

Primo: jestem na drodze i to najbliższej

do mieszkania mej drogiej babuni. A powtóre: by do niej iść, mam tysiące powodów — sprawa nagli — przeszkodzić jej nie mogę, bo siedemdziesięcioletnia staruszka mało snu potrzebuje...

Na zegarze pobliskiego kościoła biła jakaś godzina.

Nadsłuchiwał.

Wpół do czwartej... a no, więc najlepsza pora, kochana babcia będzie już prawdopodobnie na nogach.

Tak! słusznie! ale, aby jej złożyć wizytę, musiałbym mieć klucz od jej mieszkania... głupia historja — pachnie kryminalną opowieścią Conan Doyle'a — a po co? na co?

Z wizytą, którą tobie złożę, droga babko, jest połączona stokroć razy milsza wizyta, którą koniecznie muszę złożyć twojej lektorce, czy też towarzyszce, pannie Tosi, której już Adę poleciłem, by ustaliła jej „alibi", gdy mój trzeci dramat, drogocenne klejnoty Łusi, i chef d'oeuvre Borsuka ni stąd ni zowąd spopieliła.

Babciu droga, ty jesteś chytra, przebiegła i rozumna kobieta — jedyny twój błąd, że mnie — nie wiem z jakich powodów — nienawidzisz: gdybyśmy, ty i ja, za ręce się schwycili, ziemia musiałaby z posad się ruszyć...

Twoja towarzyszka... ha, ha... od chłopięcych czasów się znamy — i jaka ona cnotliwa — babciu kochana: oddała mi się dopiero, jak miałem szesnaście lat.

To wszystko psychologicznie bardzo ciekawe: jesteś w najwyższym stopniu podejrzliwa, willa twoja położona w odległym zakątku na przedmieściu — wnuka zbytnio nie cenisz, chociaż tak niezwykle udanego, że dziś zalicza się do najsłynniejszych ludzi w Europie, zato pannie Tosi, która twemu wnukowi jest tak oddana, że w każdej chwili, bez wahania przysięgę złoży, że w tych godzinach, w których płonął kosztowny dobytek Łusi i długoletnia praca Borsuka — pani Ada z nią razem Musseta — czy też... prawda: Musset jest przestarzały — a więc Verlaine'a czytała.

Tu już najwytworniejszy detektyw, który jaknajniepotrzebniej w świecie głupiego Surzyckiego sprowadził — niejaki pan Kotowicz nic nie pomoże. Surzycki! Brl co za nazwisko! Jaki ten Kotowicz dowcipny! Umyślnie wynalazł tak głupie, małomiasteczkowe nazwisko, by delikatnie zsymbolizować mój głupi lęk. A ponieważ będę miał prawdopodobnie jeszcze nie raz z owym panem — jak on się nazywa? — panem Surzyckim do

czynienia, więc muszę go szlachetniejszym nazwiskiem ochrzcić... Długo się namyślał — wreszcie: aha! nazwijmy go dla sproszczenia panem Uherą!

U, ciemne brzmienie — h — przydech niepokoju — e — pewne zdumienie... — r — zgrzyt — a — to jasne „a" — wyzwolenie!

Doskonale: Uhera!

Wpadł w świetny humor: zauważył, że jest przemęczony, ale w każdym razie, jak już postanowił tam pójść i sprawę ostatecznie załatwić, a nawet w wysokim stopniu naglącą sprawę, to już cofnąć się nie może...

Co do panny Tosi, to tem nie potrzebuję sobie głowy zaprzątać...

Zdjął go ciężki wstyd: jedna, druga i trzecia, i jeszcze inna i tamta wszystko dla niego robiły, poświęcały całe życie, narażały wszystko, a on nic im w zamian nie dawał...

Cicho, pani Nino! Niech mi pani teraz losów nie krzyżuje: teraz wszystko — bo siebie samego pani oddam — jestem już cały, duszą, sercem i ciałem pani własnością, ale dziś jeszcze do siebie chwilę należeć muszę.

Tylko dziś jeszcze!

Wybacz, dziś... dziś muszę być wdzięczny pannie Tosi.

Panna Tosia! no tak! w tej chwili drzwi mi otworzy.

Pójdę do niej na pierwsze piętro, bo babcia — i to też jest ciekawe dla psychologji skąpych ludzi — z nikim spać nie może i szuka sobie jak najwięcej odludnego miejsca, wskutek czego jej willa żadnego sąsiedztwa nie ma...

Prawda! — pomyślał Bielecki — to wszystko niezwykle sprzyjające okoliczności do jakiegoś stanowczego czynu, który spełnić musi, a o którym dotychczas jeszcze najmniejszego pojęcia niema...

Lada dzień zgłoszą się do babci z wekslami z fałszowanym podpisem, a Bielecki ani na chwilę się nie łudził, że zacna, pobożna, Bogu oddana, w jezuickich rękach tkwiąca babcia, też ani na chwilę się nie zawaha oddać go w ręce sprawiedliwości.

Jasnego planu jeszcze nie miał, nie wiedział właściwie, poco się tak spieszył...

Powie swojej babci: na twoje imię sfałszowałem weksle, a jeżeli je zaprotestujesz, dostanę się do ciężkich robót — no! wiedział, co babunia odpowie:

— Doskonale, kochany synku; dawno powinieneś się zabrać do uczciwej pracy, będzie

to dobrą szkołą, jeżeli przymusowo cię jej nauczą.

W nijaki sposób dobrocią — trzeba inaczej popróbować...

Można jej powiedzieć tak: moja droga babciu, jesteś w kołach klerykalnych szanowana, ceniona, uważana za wzór wszystkich cnót, powiem ci nawet więcej jeszcze: na najbliższym synodzie będą rozważali kwestję czy po śmierci twej zostaniesz błogosławioną, czy też od razu dostaniesz patent na świętą. Proces kanonizacyjny kosztuje około 200 tysięcy franków, ale ponieważ ty rozporządzasz pół miljonem, co najmniej, więc możesz mi z jakie dwadzieścia tysięcy rubli bez uszczerbku dla twej świątobliwości ustąpić — a raczej dać mi odczepnego. Bo widzisz — ten proces kanonizacyjny mógłby być piekielnie utrudniony, bo ja, jako wielki i sławny człowiek, nie omieszkam po twej śmierci, wydać twej miłosnej korespondencji z tym, a tym panem, z onych czasów, kiedy jeszcze, świętej pamięci dziadek Bielecki żył. — A więc utrzymywałaś miłosną i wysoce twoją cnotę kompromitującą, z panem tak, a tak... korespondencję...

I zapytasz, babciu, skąd te listy wziąłem —

może ich się zapragniesz wyprzeć — na to odpowiem:

— Wybacz, droga babciu, ale ty jesteś wiekowa niewiasta, więc nie bierz twemu wnukowi za złe, który cię za życia w sercu swem ukanonizował, że był ciekaw twego testamentu... Wprawdzie testamentu nie znalazł, natomiast dowody twego świętobliwego i cnotliwego życia i tak wzorowego, że twój wnuk jest wprost zdumiony, że nie otrzymałaś od papieża złotej róży czystości i nabożności.

Przystanął nagle — to byłoby wszystko bardzo piękne, gdyby miał te listy, pisane przez babunię do tego pana, ale on był niestety na tyle głupi, że wrodzona głęboka uczciwość jego nie pozwoliła mu tych listów zabrać, chociaż je z zajęciem przeczytał — więc wiedział tylko, że babcia miała kochanka, któremu było na imię Zdziś: ale, z tej mąki chleba nie będzie.

A nawet, gdyby był je skradł to chytra, przebiegła i na wszystkie cztery nogi kuta babunia uśmiechnęłaby się, zażyła tabaczki i powiedziała:

Ach! drogi mój wnuku — rzeczywiście wpadłeś na doskonały pomysł — te listy, które znalazłam w familijnych papierach, mają wielką kulturalną — historyczną wartość: ra-

dzę ci istotnie je ogłosić, i ja je zbierałam i nimi się interesowałam, chciałam je nawet opublikować, jako ciekawy przyczynek do czasów Stanisława Augusta. — Ale swoją drogą policja, już zawiadomiona, swego czasu o kradzieży drogocennych papierów, na razie niewyjaśnionej — więc będzie mi nader przyjemnie ją o tem powiadomić, że złodziejem jest mój wysoce utalentowany wnuk, autor, dwóch przez ojczystą krytykę cenionych i nagrodzonych dramatów...

Z tej beczki lepiej nie rozpoczynać, pomyślał Bielecki.

Tak! to był całkiem idjotyczny pomysł.

Na pamięć matki zaklinać jej nie mogę — za dobrze mnie zna.

Słyszał jej starcze bełkotanie:

— Synuchno kochany — ja zbyt dobrze cię znam, bym dała się wziąć na lep twoich słodkich słówek — ty jesteś tak doszczętnie wyprany z tych ludzkich — zbyt ludzkich uczuć, ty jesteś tak silny i mocny, że podobne uczucia w życiu ci bruździć nie mogą. Więc to, co mówisz, przyjmuję do wiadomości, ale, wybacz, że w to wierzyć nie mogę... A jeżeli sfałszowałeś mój podpis na wekslach, to wy-

bacz, że w tych zacnych czynach popierać cię nie będę.

Zauważył, że jest przemęczony, i że to wszystko, co dotychczas pomyślał, na nic się nie zda.

Na nic finezyjne i podstępne podjazdy, bo kochana babunia, po której prawdopodobnie wskutek atawizmu odziedziczył swój ogromny, ogólnie uznany talent, wszystko przenika, przewiduje, i choćby najwięcej mistrzowskie floretowe pchnięcia, również mistrzowsko paruje.

Na nic! — pomyślał zrozpaczony. A nigdy jeszcze nie uświadomił sobie tak jasno, że wisi nad nim zagłada, i to tak głupia i marna, iż ogrom tego haniebnego i plugawego ciosu, który miałby go zmiażdżyć, całkiem go otrzeźwił. Dobrze! niech zmarnieję, niech się zaprzepaszczę, ale przynajmiej za jakiś istotny czyn, za jakąś rzeczywiście wielką zbrodnię, ale za głupie sfałszowanie weksli a conto spadku, który z natury rzeczy mu się przynależał, a więc za rzecz w najwyższym stopniu etyczną i moralną — a! podskoczył... nie! tego za wiele, by on! on miał cierpieć, dostać parę lat katorgi za czyn moralny — a raczej umoralniającego potwornie skąpą, i niezdolną

zrozumieć mej wielkości starą megerę — nie! to już stanowczo za głupie!

Na wieży ratuszowej wybiło trzy kwadranse: najwyższy czas — trzeba się spieszyć — najlepiej zdać się na los i żadnych nie przedsiębrać planów.

Uśmiechnął się podstępnie.

Zresztą jest wysoce głupie i niepotrzebne, z wszystkiego samemu się spowiadać.

Więc sprawę z babcią trzeba na razie umorzyć i pomyśleć o słodkiej schadzce z cnotliwą panną Tosią...

Tak rychła godzina po krótkim, ale krzepiącym śnie, odpowiada doskonale miłosnym zamiarom...

W tem tylko sęk, że ona nie śpi — ale czuwa — czuwa. — Tem lepiej...

Inaczej gotowaby była godzinę schadzki przespać, a on mógłby aż do jasnego rana w śniegu wyczekiwać.

Teraz dopiero zauważył, że znowu padał gęsty śnieg, ale to tak gęsty, jak gdyby się cała śnieżna chmura oberwała.

Doskonale! Sam pan Bóg sprzyja moim zamiarom, ale jakim?

Szarpnął się niecierpliwie.

— Po co się nad tem zastanawiać? dla

mnie i dla cnotliwej Tosi jest to okoliczność nader pomyślna, że wskutek tego śniegu nie pozostanie ani śladu moich stóp.

No! teraz za dziesięć minut staniesz przed willą twojej babci w samotnym ogrodzie — zadzwonię trzykrotnie: furtka od ogrodu automatycznie się otworzy — w drzwiach będzie mnie już oczekiwała Tosia — no! i w ten sposób przekroczę próg twego domu, babuniu, z którego mnie jaknajkategoryczniej wyprosiłaś, a gdybym się przemocą do niego chciał wedrzeć, policję byś mi chyba na kark sciągnęła.

Jednej rzeczy było mu tylko żal, że musiał się teraz w ten przykry czas fatygować dla głupich dwudziestu tysięcy rubli...

Jeżeli nie otrzymam dwudziestu tysięcy rubli, to katorga pewna: no! i koniec...

Rozejrzał się.

Teraz już niedaleko: tą ulicą wprost, potem na prawo wąską aleją, kawałeczek jeszcze przez niezabudowany plac i wjadę do portu...

Posłyszał swój śmiech i strofował się, że w tej, o jego losach decydującej chwili, mógł się w głos śmiać.

A — więc tu!

W jednem oknie migotało czerwone światełko.

— Aha! babcia, bogobojna bezustannie pali lampkę przed obrazem Najświętszej Panienki... A może przeczuwa pobliże ukochanego wnuka — kto wie? starsi ludzie mają dziwne przeczucia — a znowu — ciekawa psychologiczna krańcowość: jedyny człowiek, któremu ufa, to Tosia!

Tosia? „to święta kobieta" — ja ci, babciu, na słowo wierzę, tem więcej, że mi to ogromnie na rękę.

Zadzwonił trzy razy.

Prawie równocześnie otworzyła się furtka ogrodowa, przeszedł szybko ogród, w bocznych drzwiach willi oczekiwała go Tosia, nieco przywiędła, ale, znać, kiedyś powabna panna, cała drżąca z zimna i lęku.

— Wdzięczną ci jestem, żeś wreszcie przyszedł.

Pociągnęła go ciemnym kurytarzykiem za sobą.

Znaleźli się w niewielkim pokoiku.

— A może stara słyszała dzwonek?

— Nie, nie, owinęłam go watą, tak, że z drgania tylko posłyszałam, iż naciskasz...

Mówili cichym szeptem.

— Słuchaj, Tosiu, pozostanę u ciebie, jak długo zechcesz, ale teraz nasamprzód muszę pójść moją babunię odwiedzić i z nią uczciwie pogadać.

Tosia aż zbladła z przerażenia.

— Jezus Marja, człowieku! czyś ty oszalał, czy co? teraz o tej godzinie? — ona cierpi na ciężki artretyzm — skleroza lada chwilę serca sięgnie...

— Właśnie dlatego muszę z babcią pogadać... jutro, może pojutrze, będę musiał jechać, i muszę się z nią pożegnać...

Tosia tak tem była przerażona, że całkiem zapomniała o wszelkiej ostrożności i zapaliła małą elektryczną lampkę.

— Zmiłuj się, co ty chcesz robić? Pomyśl, co się ze mną stanie?

Uśmiechnął się dobrotliwie.

Nie lękaj się — już ja ci nic złego nie zrobię. Wiesz dobrze, że za mądry jestem, by coś takiego zrobić, coby cię skompromitować mogło. Za bardzo ci jestem wdzięczny za to, żeś mnie do tego, tak piekielnie strzeżonego domu, wpuściła, bym cię mógł skompromitować...

— Nie bój się, zdaj się na mój rozum, na moją wdzięczną miłość ku tobie — i nie prze-

szkadzaj mi, bo wtedy — spojrzał na nią z tak zdecydowanem postanowieniem, że na chwilę umilkła, tylko ciężki lęk rozwarł jej oczy i ścisnął krtań.

— Widzisz, teraz dobrze — ja cię w mojem sercu zamknąłem, kto wie, czy niezadługo nie nadejdzie czas, kiedy będziesz już na zawsze moją. To zmiarkuj: bądź mi posłuszną i nie stawiaj mi przeszkód.

— Chcesz ją zabić?—dyszała przerażona.

— Cóż znowu? Za co ty mnie masz? Jakiegoś ordynarnego parobka, który nie zna innego środka nad powróz lub siekierę, by swoje zamiary wykonać? Więc siedź tu cicho, a ja tymczasem moje interesa z babcią załatwię, a przytem jej moje uszanowanie złożę.

Teraz daj mi klucz od jej sypialni, bo wiem, że go masz. Tylko się nie wypieraj—to byłoby zupełnie śmieszne i niesmaczny brak zaufania do mnie. Ja w zupełności rozumiem, że chcąc nie chcąc, musiałaś go sobie dorobić—prosta samoobrona—ta stara sknera za mało, za nędznie cię wynagradzała, wprost ohydnie wyzyskiwała twoje oddanie się i dobroć, więc byłaś wprost zmuszona, by się nie zagłodzić... no... po co o tem wszystkiem mówić? Wiem, że klucz masz, bo już go raz, również bez twej wiedzy, użyłem więc nie rób mi teraz wstrętu i daj mi go...

— Za nic w świecie!

— Tylko bez żartów—wiesz, że jakkolwiek je lubię w pewnych wypadkach, nie znoszę ich wtedy, gdy krępują moje postanowienia. I przytem rozważ, że nic złego stać się nie może, bo przecież oddaję się zupełnie w twoje ręce... A o tem, bym jakąś sprawę kryminalną mógł popełnić, wiesz równie dobrze, iż jest niemożliwem, bo za dobrze jestem wychowany...

— Przysięgasz, że nic się nie stanie?

— Przysięgam.

Poszukała w łóżku, w jakimś schowku klucz i dała mu go.

— No, widzisz... poco tyle ceregieli? przecież ja nie powiem, że klucz mam od ciebie — zadużo wiesz o mnie, byś się mogła mnie lękać — a babusia w danym wypadku wszystko inne mogłaby przypuszczać, prócz tej jednej rzeczy, że ty, właśnie ty, bez samopomocy, na głodową śmierć skazana niewiasta, ty bez skazy, mogłabyś mieć klucz podrobiony do jej sanctuarjum.

— Co się tak trzęsiesz? Jakiem prawem drżysz o starą, złą wiedźmę, która cię w najohydniejszy sposób wyzyskiwała, głodzić ci się kazała, bo każdy kęs dla biednej, zdanej na jej łaskę i niełaskę krewniaczki, był aż zbyt

dużem dobrodziejstwem?! Jedyną jeszcze i piękną rzeczą w twojem życiu był istotnie kapitalny pomysł, oddać mi się—czy też odwrotnie...

Urwał, zamyślił się.

— Ja jej ani nie zabiję, ani jej nic złego nie zrobię—muszę tylko z nią uczciwie i stanowczo pogadać... zgaś lampę, siedź tu i czekaj...

Wstał.

— Łóżko stoi tam, gdzie zawsze?

— Tam!

Tosia dygotała cała, ledwo słowo mogła ze siebie wydobyć.

Cicho, jak kot... nie! to porównanie było banalne — wolał wrócić do wczorajszego, gdy się chciał po cichu wykraść z łóżka Ady: a więc, jak akademicko wykształcony złodziej, który, mimo, że cały dzwonkami obszyty, ani razu nie brzęknie nimi, skradał się po schodach na pierwsze piętro, gdzie babka spała.

Przy drzwiach sypialni przystanął.

Ciekawa psychologja skąpych ludzi. Są chorzy, ryzykują co chwila anewryzm serca lub mózgu, a mimo to na noc na klucz się zamykają... I jak tu im w danym razie nieść pomoc?

Czekał chwilę. Mgła z jego mózgu całkiem opadła—jakaś przeraźliwa, męcząca i jasna trzeźwość rozlała się w nim.

O! starzy ludzie mają czujniejszy sen od

najwierniejszego psa — już się pewno obudziła — jakiś szmer posłyszała — siedzi na łóżku i nadsłuchuje.

Trzeba raz wreszcie to załatwić! Postanowił: i jaknajspokojniej włożył klucz do dziurki, otworzył drzwi, wszedł, przycisnął guzik od elektrycznego światła i zbliżył się do łóżka staruszki, która w śmiertelnem przerażeniu z niego się zerwała — widocznie krzyczeć chciała, ale skurcz strachu unieruchomił szeroko otwarte, bezzębne usta.

— Niech się babcia nie przeraża — ujął ją łagodnie za rękę — to ja, twój przywiązany wnuk... muszę... muszę jutro rano wyjechać, więc wybacz, że o tej rychłej porze chciałem się z tobą pożegnać...

Ochłonęła z pierwszego przerażenia, tylko drżała, jak osika, a usta, złożone do krzyku, napróżno powietrze łapały...

— Tylko, babciu, niepotrzebnie się do jakichś krzyków przygotowujesz, niegodnych tak zacnej i świętobliwej niewiasty, która dawno już duszę swoją opiece boskiej poleciła...

— Nic ci nie zrobię — nie mam przy sobie ani rewolweru, ani noża — pozwól tylko po ludzku z sobą pomówić... I napróżno sięgasz do dzwonka elektrycznego — watą go po-

zatykałem — bo nie chciałem, by nam naszą spokojną rozmowę obca interwencja przerywała...

Stara patrzyła na niego osłupiałemi oczyma.

Bieleckiego poczęła zajmować ta istotnie zabawna sytuacja.

— Tobie babciu się zdawało, że ja przyszedłem z jakiemiś zbrodniczemi zamiarami— och, och, jak ty niedoceniasz mojej inteligencji! Ja przyszedłem cię pożegnać — nacieszyć się po raz ostatni twojemi srebrnemi włoskami, a masz ich, jak na twój wiek, zdumiewająco dużo — tylko usilnie cię proszę, nie próbuj krzyczeć, nie awanturuj się, pamiętaj, iż serce twoje nie jest w porządku...

— Czego chcesz? — zdołała wreszcie wybełkotać.

— Czego? Drobnostki dla ciebie, babciu, małej drobnostki: dwudziestu tysięcy rubli.

Starej zdawały się oczy z orbit wychodzić z oburzenia i złości.

— Ja rozumiem, babciu, twoje przerażenie, mnie już niedawno mówił jeden z moich przyjaciół, wiesz, jeden z tych najserdeczniejszych, że chcieć od niego parę rubli pożyczyć, to, jakby mu kwartę krwi najserdeczniejszej wytoczyć się chciało.

Staruszka zerwała się, ręce jej trzęsły się, latały w powietrzu.

— Nigdy! Przenigdy!

Bielecki uśmiechnął się i ułożył ją łagodnie na łóżku.

— Przeklinam cię, szatanie! — zerwała się znowu.

— Uspokój się, babuchno — mówił Bielecki z dobrocią — pamiętaj o twojem chorem sercu: mnie przeklinać, to całkiem to samo, jakby teraz papież rzucał klątwę na angielskiego króla... No — no — leż spokojnie, bo to gwałtowne zrywanie się, może twojemu sercu bardzo poważnie zaszkodzić, a na tyle jesteś rozsądną, że rozumiesz, iż nie jest już tak mocne i gorące, jak wtedy, gdy Zdziś do niego pukał...

— K... K... Kto? — śmiertelna trwoga skamieniała w jej oczach.

— Zdziś! Zdziś! — pochylił się nad nią i ciskał jej to imię, gdyby grad kamieni do uszu.

— Precz szatanie! głos jej resztką sił dobywał się z krtani, jak z potłuczonego garnka.

— Szatana jeszcze niema, ale jak babcia się nie uspokoi, to gotów się zjawić... Zresztą dajmy spokój tej głupiej gadaninie — babcia

jest bardzo zmęczona, cała się trzęsie, wpół nieprzytomna. Ja jestem również zmęczony i, jak babcia wie, nie przywykłem głupich żartów robić.

Teraz począł umyślnie mówić ostrym, stanowczym głosem:

— Tajemnice twego życia znam, ale nie chcę, byś miała pretekst, mnie oddać w ręce policji, że chciałem od ciebie coś wymusić, więc pytam po raz ostatni:

— Dasz mi dwadzieścia tysięcy rubli, czy nie?

— Nie dam! — zacharczała wściekła.

— Tylko się nie wściekaj, babuniu—ja ci całkiem tego za złe nie biorę, patrz, przeciwnie, idę ku oknu, by za chwilę z niego sam wyskoczyć. O! — widzisz — jak daleko już od ciebie odszedłem, przecież na ten dystans nic ci złego zrobić nie mogę. — Patrz — nawet dla uspokojenia zapalam papierosa. — Wyjął papierosa, zapalił go, a palącą się jeszcze zapałkę niedbale rzucił poza siebie na lekkie firanki.

W jednej chwili stanęły w płomieniach...

Stara zerwała się w przedśmiertnym strachu z łóżka, wyskoczyła z niego, zachwiała się, załopotała rękoma, wyprężyła się i byłaby

się, jak kłoda, zwaliła na podłogę, gdyby Bielecki nie był w sam czas do niej podbiegł i nie pochwycił jej.

Ułożył ją starannie na łóżku: ani drgnęła. Firanki się dopalały, Bielecki poodsuwał od okna meble, by się nie zajęły, zerwał szybko szmaty firanek i nogami zdusił ogień. Potem z głębokiem współczuciem podszedł do łóżka zmarłej.

— Pewno ci, biedactwo, na myśl o tych dwudziestu tysiącach serduszko pękło — a widzisz... przestrzegałem cię.

Przyłożył ucho do serca zmarłej.

— Koniec! — zawyrokował... jakie szczęście, że ją w sam czas pochwyciłem i nie padła na ziemię: byłby straszny rumor, czaszkę by sobie rozbiła i byłaby heca z policją.

Opukał ją troskliwie, miał ochotę głośno się roześmiać, ale było mu jakoś nieswojo — oczywiście wobec majestatu śmierci.

I ta myśl właśnie pozwoliła mu się cicho roześmiać.

— A widzisz, babuniu, potrzebne ci to było dla głupich dwudziestu tysięcy, kiedy ich masz pół miljona? Co za nierozum, by nie chcieć dać tej głupiej sumy jedynemu wnukowi, kroczącemu do onych gwiazd, do których jeszcze

nie dotarł — bo zaplątać się musiał paru wekslami przez ciebie, babuniu, podpisanemi... Co za ironia losu? Za życia nie chciałaś, a teraz po śmierci wykupić je będziesz musiała.

Rozejrzał się.

Tu już nie miał co robić.

Jeżeli jakiś testament jest, to go tu z pewnością niema, ale już dawno złożony u notarjusza.

Jeżeli w testamencie coś dla niego wyznaczone, to prędzej, czy później się o tem dowie. Jemu chodziło na razie o weksle.

Jeżeli babcia go w niezmiernej czułości wydziedziczyła, to przynajmniej po śmierci weksle popłaci i dziesięć razy ze wściekłości w grobie się przewróci.

Spojrzał na staruszkę, przyszło mu na chwilę na myśl, że chytra i podstępna wiedźma mogła udawać śmierć, aby go jutro kazać w łańcuchy okuć, więc dla pewności podłożył małe lusterko, które leżało na toalecie i przyłożył je do ust..,

Nie ulegało wątpliwości — przedostatnia z rodu Bieleckich zakończyła żywot doczesny.

— Requiescat in pace!

Zgasił światło, zeszedł na dół, gdzie go

w korytarzu oczekiwała, wpół żywa z lęku i niepokoju Tosia.

Chwyciła go za rękę i wciągnęła do pokoju.

— Co — co — co?

— Tylko nie tak gwałtownie... Babcia przed chwilą oddała w ciszy i spokoju ducha, na moich rękach.

— Zamordowałeś?

— Nie bredź! umarła! trzymała się jeszcze tak długo, by ukochanemu wnukowi w oblicze spojrzeć, a gdy to ostatnie jej życzenie Bóg spełnić raczył, powiedziała sobie, że teraz w spokoju może odejść i umarła.

— Umarła?! krzyknęła Tosia.

— Tak, ale nie z mojej winy. — Idź teraz na górę, zdejm resztki firanek, które przez nieostrożność się zajęły, uprzątnij je — co masz ochotę sobie wziąć, to weź — a potem dobijaj się do zamkniętego na klucz pokoju zmarłej, a gdy ci nie otworzy, bo otworzyć nie może — leć po policję.

Siadł, zapalił papierosa... i zamyślił się głęboko — spojrzał nagle na nią.

— Coś ty tak przybladła? Ty myślisz, żem ja taki nieroztropny, by ją mordować — to było niepotrzebne — anewryzm serca — i koniec. Nawet nie myślałem, że to tak łatwo

da się załatwić: gdybym był to wiedział, że tak łatwym kosztem można się przy artretyzmie ze starą, złą, skąpą i chciwą babą urządzić, to byłbym sobie oszczędził długich, a niepotrzebnych męk, kłopotów i lęku.

— Sama umarła?

— Zwołaj jutro policję i lekarza, to się dowiesz, jeżeli mi nie wierzysz... I słuchaj — ja nie tknąłem — nic! Jeżeli w testamencie coś mi zostawiła, co jest prawie wykluczone, to ci połowę z tego dam — na wypadek rozejrzyj się w jej sypialni, zaczem będziesz musiała wezwać ludzi — weź sobie, co będziesz uważała, że może ci być potrzebne...

Zaświeciły się zblakłe oczy Tosi — odetchnęła głęboko.

— Jak to dobrze, że sama z siebie umarła... a ja już tak się bałam, że ty w tym interesie pomagałeś. — Nie z miłości ku starej lękałam się, tylko o ciebie mi chodziło.

Bielecki wstał.

— Niemiły wypadek... Byłbym u ciebie został, ale ty nie masz dużo czasu do stracenia: a co robisz, rób z rozwagą i zimną krwią — pamiętaj: niechby ani cienia podejrzenia paść nie mogło, że tam ktoś w rzeczach starej grzebał.

Gorętszym jeszcze blaskiem zapłonęły czarne oczka Tosi.

— Nie bój się, nie bój!

Kiedy wyszedł w ogród, zauważył z przyjemnością, że śnieg wciąż jeszcze padał, że śladu nie pozostało z jego stóp: zresztą niepotrzebna całkiem ostrożność, bo kochana babcia zmarła tak naturalną śmiercią, jaką tylko może skończyć człowiek świątobliwy i służbie Bożej gorliwie oddany.

XIII

Bielecki już od dłuższej chwili dobijał się do mieszkania Ady... Wreszcie po jakim kwadransie otworzyły się drzwi...

— Masz specjalny sposób pukania, odrazu wiedziałam, że to ty...

— Ale ja ci wcale za złe nie biorę, że po innem pukaniu poznajesz innych...

Bielecki drżał, mimo, że był w futrze.

Stała w korytarzu w narzuconym pospiesznie szlafroczku...

— Czego ty tu właściwie u mnie chcesz? Jakieś brutalne rzeczy przyszedłeś mi gadać?

— Ado — proszę cię, nie pleć głupstw — bez twego pozwolenia nie wejdę do mieszkania, ale proszę cię, wpuść mnie — mam ci dużo do powiedzenia...

— Ha, ha, ha — co to za ważne rzeczy, z któremi pan Bielecki tak rychłym rankiem—

przecież jeszcze szóstej niema — zdołał do panny Ady przylecieć?

— Lepiej zapal światło — nie zdążyłem się jeszcze zorjentować w twojem mieszkaniu.

Było coś w jego głosie tak stanowczego i nakazującego, że w jednej chwili zapłonęło w całem mieszkaniu elektryczne światło.

Bielecki zrzucił futro: chwilę stali oko w oko: nienawistnie, zło, oschle...

— Pocoś tu przyszedł? Poco? nie udało ci się z panią Ligęzą?

Popatrzył na nią zimnym, dalekim wzrokiem.

— O czem ty gadasz?

— Jakżesz?

— Wiem co chcesz powiedzieć, więc zaprzestań. Jest mi zimno, cały jestem skostniały.

— Trza ci było ogrzać się u romantycznej pani Ligęzy...

— Oczywiście, to była doskonała myśl i rzeczywiście powinienem był to zrobić, tymczasem ja głupi osioł uważałem za stosowne, zrobić pożegnalną wizytę mojej ukochanej babce, i przy czułem pożegnaniu tak się biedactwo do głębi wzruszyła, że się z panem Bogiem połączyła...

Ada cofnęła się o parę kroków, chwyciła go za ramię, pociągnęła do pokoju: była wzburzona... Coś ty znowu zrobił, człowieku — zamordowałeś?!

Zrzuciła z siebie szlafrok, szczękotała z zimna — położyła się do łóżka i cała roztrzęsiona, dygocząca, przykryła się i owinęła szczelnie kołdrą.

— Jakie głupie pytanie, które dziś już po raz drugi słyszę. — Ha, ha, ha — siadł na kanapce naprzeciw łóżka, wsadził ręce w kieszenie, wyciągnął przed się nogi, nie dlatego, by chciał postąpić wbrew przepisom dobrego wychowania, bo tych przepisów ściśle przestrzegał, ale dlatego, że był ciężko zmordowany, a zresztą, wobec tak niezmiernie bliskiej mu Ady, nie był znowu tak zmuszony do ścisłego przestrzegania kodeksu towarzyskiego.

— Nie myślałem, że ty, genjalna Ado, postawisz mi to samo również głupie pytanie, co... — zamyślił się — był tak zmęczony że trudno mu było mówić... aha! to samo pytanie, co ta niezmiernie przywiązana i niezmiernie głupia, staropanieńska Tosia... zamordowałem?! Po co Bielecki ma mordować, kiedy

mu ludzie pod ręką mrą jak muchy?... i to z własnej głupoty lub też konieczności?...

Ada wyskoczyła z łóżka:

— Tu zimno, jak w lodowni — w tej chwili zapalę w piecu — coś ją nagle poderwało i podnieciło: takiej jej jeszcze nigdy nie widział.

Spojrzał na nią długo i z rzeczywistą przyjemnością.

— Podobasz mi się dzisiaj — co — co to tylko może być? przed paru godzinami nie lubiłem cię, boś poczynała być... czekaj — dali Bóg, nie chcę cię obrażać, ale miałaś wysoce wyzywającą postawę kobiety, która gotowa robić jakieś awantury...

Nagle zaśmiał się.

— Ty, ty, która mi mówiłaś, że ty i ja jesteśmy na całe życie związani zbrodnią, czy też całym szeregiem zbrodni — tyś mogła popaść w głupią zazdrostkę o panią Ligęzę — która miała mi posłużyć za to samo „alibi" al-i-bi? roześmiał się na cały głos — za które mi słodka Tosia posłużyła, która w tej chwili obławia się rodzinnemi klejnotami zmarłej babuni — światłość wiekuista niechaj jej świeci: mnie nie potrzebne, tobie również nie.

Ada wzięła niedźwiedzie futro z przed

łóżka, rozłożyła je przed piecykiem i z wielką cierpliwością rozniecila w nim ogień...

— Patrz tylko jaki wspaniały ogień — chodź tu bliżej — skarżyłeś się, żeś zziębnięty — nic a nic ci nie wierzę, ale to że ci było zimno, uwierzyłam ci, boś, biedaczysko cały się trząsł...

Bielecki nie zadawał sobie trudu, by jej odpowiedzieć, było mu istotnie bardzo zimno i był rad, że może się wreszcie rozgrzać.

— To był dobry pomysł wzniecić ogień. Jedyny dobry twój pomysł w tej chwili.

Przytuliła się nagle do niego.

— Skąd ta nagła czułość? — zapytał.

— Jakiś ty śmieszny — czyś ty jeszcze tego nie zrozumiał, że tak długo — urwała nagle...

— Co? — zapytał Bielecki zaciekawiony.

Spojrzała mu zalotnie w oczy i uśmiechnęła się.

Bielecki szarpnął się.

— Śmiej się uczciwie — płacz ze śmiechem — bo wtedy wiem, z kim mam do czynienia.

A ona przymrużyła oczy, i znowu się z pod rzęs uśmiechnęła.

— Ale ten uśmiech, ten uśmiechnięty

uśmieszek kłamliwy — nigdy nie wiem, co z nim począć! — wybuchnął.

— Słodki teraz jesteś — taki, jakim cię raz wreszcie widzieć pragnęła... Nie wiedziałam, że ty się tak unieść umiesz. Miljon rzeczy najsłodszych mógłbyś mi powiedzieć, a ani na chwilę nie wierzyłabym ci, że ci cokolwiek na mnie zależy — ale twój nagły wybuch zdradził cię: tobie na mnie zależy... bo ani na chwilę nie przyszło mi na myśl, byś mnie kochał...

Poco — na co? — powiedziała po chwili zamyślona... — Ja cię też przecież nie kocham. Widzisz, jak teraz ciepło — teraz możesz się cały rozebrać — jesteś przemoknięty — o widzisz — całą pościel tu położę przed tym rozkosznym ogniem i pogadamy po przyjacielsku z sobą.

Ściągnęła z łóżka poduszki i kołdrę, ułożyła na skórze futrzanej...

— Jak to nazwiesz? — pytała filuternie.

— Legowisko...

— No widzisz! — Zgadłeś — a teraz...

Zawahała się chwilę, rozważała, uśmiechnęła się cicho:

— Okłamywać mnie nie potrzebujesz...

byłam chwilę o panią Ligęzę zazdrosna, no? — żachnąłeś się? Poco się tak zdradzasz?

— Ja tu do ciebie przyszedłem, bo byłem śmiertelnie znużony — teraz jestem zupełnie już trzeźwy i mogę z tobą uczciwie i serdecznie pogadać.

— Zamordowałeś ją? — pytała i przysunęła się goręcej do niego.

— Umarła — powiadam ci — wprost sama umarła — może być, że gdybym się z nią nie był tak czule żegnał, toby jeszcze żyła — ale cóż ja temu winien?

— Więc nie żyje?

— Nie! już koniec.

Ada podniecała się coraz więcej.

— Wybacz, że cię posądzam o głupie słabostki.

— O jakąś „faiblesse", czy „malaise" do pani Ligęzy? Ach, jakaś ty naiwna!

— I — i powiedz mi, jak to wyglądało?— Ada wgarnęła się w niego i parzyła go gorącym oddechem:

— Jak? jak to wyglądało? — pytała chciwie.

— Jak to wyglądało? No tak, jak zwykle, gdy człowiek umiera: starowina była chora na serce, ucieszyła się tak niezmiernie widokiem

wnuka, że zerwała się z łóżka, padła mi w objęcia — no...

— I co? — Oczy Ady błyszczały, jak u pantery.

— Nic! Radość ją zabiła.

— Udusiłeś ją? — nerwowemi ruchami dorzucała polan do pieca — pokaż, pokaż mi, jak ją udusiłeś...

Bielecki zrozumiał wreszcie, o co jej chodzi, i postanowił zabawić się podnieceniem Karskiej: dziwna i ciekawa psychologja, że opis zbrodni tę kobietę podnieca...

No — jak chcesz mieć zbrodnię, to ją miej — pomyślał.

Coś tam skrzypnęło w rdzeniu pacierzowym, tuż w pobliżu małego móżdżku, o! tu — pokazał jej to miejsce na jej karku — i odrazu był koniec.

— I co? i co? — wstrząsnął nią dreszcz.

— Zaczęła bić rękami w powietrzu, całkiem jak kura skrzydłami, gdy się jej gardło poderżnie, oczy stanęły słupem, potem gasły — gasły — srebrne włosy się rozwiały, schwyciły ją przedśmiertne kurcze, więc, aby jej ulżyć, nacierałem jej szyję, ale nic nie pomogło...

Opis śmierci jednej z ostatnich z rodu Bieleckich, rozbawił Adę. Zarzuciła mu ramiona na szyję, tuliła się do niego gorąco.

— O ty wytworny, piękny zbrodniarzu! Ale rozbierz się — rozbierz — twoje ubranie mnie drapie!

— Z przyjemnością — gorąco się robi, że niezadługo oddychać nie będzie można.

— O tak... teraz dobrze — tarła się o niego, szeptała mu gorące wyrazy do ucha:

— Nigdy cię jeszcze tak nie pragnęłam... nie pomyliłam się na tobie — siłę i moc masz w sobie — i... i powiedz mi, czy jest jakaś zbrodnia, którejbyś popełnić nie był w stanie?

Bielecki zamyślił się poważnie.

— Nie — powiedział po chwili — mogę powiedzieć razem z największym zbrodniarzem, jakiego ziemia wydała, panem marszałkiem Francji, Gilles de Rais, że jestem pod taką gwiazdą urodzony, iż niema zbrodni, którejbym z najlepszem sumieniem spełnić nie zdołał...

— A nie było ci Łusi żal? Ona taka przytulna, przylepna, uległa, jak łania — widziałeś ją po śmierci?

— Owszem i opłakiwałem. Niech krucza jej główka spoczywa w pokoju.

Poczęli się śmiać.

— Opowiedz, kogoś jeszcze zamordował?

— Czemu się tak banalnie wyrażasz? Co to znaczy zamordować?

— No — więc komuś jeszcze dech w piersi zatrzymał?

— To jeszcze nie dość subtelne wyrażenie — chciałaś powiedzieć, czyją duszę z powrotem poślubiłem duszy wszechświata?

Ada wpadła w doskonały humor.

— Komuś dał jeszcze metafizyczne śluby? — pytała rozbawiona — tak cudownie to powiedziałeś!

— Przeszłość już mnie nic nie interesuje, ale w najbliższej przyszłości dokonam tej świętej ceremonji na...

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się tajemniczo.

— Na kim? — pytała ciekawie.

— Nigdy w życiu byś nie zgadła.

— Na Kotowiczu?

— Tę drobnostkę ty mi uprzątniesz — taką małą podręczną robotę tobie pozostawiam...

— Więc na kim? na kim? — pytała niecierpliwie.

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że cicho krzyknęła.

— Na tobie!

— A! a! — wyrwała się z oplotu jego ramion — przysiadła zaskoczona, wpatrzyła się w niego z zachwytem, a potem rzuciła mu się na szyję.

— Mógłbyś mnie istotnie zabić?

— Nie tylko mógłbym, ale to zrobię.

— Czemu, czemu?

— Bo... bo cię kocham...

Patrzyła mu w oczy z jakiemś szczęśliwem przerażeniem.

Bielecki nie kłamał: miał w swojem objęciu nie jej smukłą wysoką postać — Ada całkiem mu zniknęła z oczu: w objęciach trzymał delikatne, drobne ciało, i małą główkę uginającą się pod ciężarem złotawo miedzianych włosów, czerwień jej małych ust wpłomieniała mu się teraz w krew, niepojętą muzyką rozegrały się w jego duszy linje jej drobnego wytwornego ciała — ciała dziewicy! Tak: dziewicy! nic nie było w stanie zburzyć mu tej pewności, że Nina była dziewicą — nawet zdumiewające: gdyby nawet nią nie była...

— Kochasz mnie? Kochasz? — Ada drżała cała i wpiła ręce w jego ramiona...

Bielecki ani drgnął, chociaż uczuł dotkliwy ból.

— Kocham! — powiedział cicho, sennie,

ale z taką siłą i takim głębokim i zbożnym wyrazem, że zatrząsł się cały...

Teraz Ada mu wierzyła: triumfowała.

A przed jego oczyma wykwitł czysty kwiat, słońca jego miłości upragniony, cały w gwiezdnych blaskach dziewiczej czystości skąpany— ona... Nina! Czarowny kwiat paproci, który raz tylko w tajemniczą noc świętojańską rozkwita i dla jednego tylko — a tym jednym... był on!

— Kochasz mnie?! Powtórz raz jeszcze — powtórz! — Ada szeptała te słowa w namiętnym uniesieniu, wcałowała się w jego usta, w jego pierś, całe jego ciało.

— Kochasz mnie?

— Kocham!

I znowu zbiegł go ten gorący, nieznany nigdy dreszcz, gdy na Ninę patrzył tam w loży jej męża: to łagodne parne ciepło, które od niej biło, ta chmura miedzianych włosów, ustawicznie i wszędzie, gdzie się tylko myślą zwrócił, rysy tej drobnej twarzy, tak delikatne, że, zda się zdmuchnąćby je można.

— Nina!

Całem pragnieniem, nieskończoną tęsknotą chciał to imię wykrzyczeć... już — już miał je na ustach — ale się opanował.

— Kocham! Kocham! Pierwszy raz jestem szczery — nigdy to słowo przez moje usta nie przeszło...

Bielecki mówił z ogromną powagą i głęboką szczerością, mówił prawdę, bo mówił to do — Niny.

Ada tak się wpiła w niego oczyma, jakby do samego dna jego duszy dotrzeć chciała... Przez gąszcz wątpienia do polany prawdy się dorąbać! ale Bielecki spokojnie wytrzymał piekielny napór jej oczu, bo on istotnie — teraz już nie wątpił—kochał po raz pierwszy w życiu — Ninę.

Jak po ciężkiem zmęczeniu, cicho i miękko, jak pantera ułożyła się przy nim.

— Jestem twoją i jestem ci oddaną, jak ci nawet uległa Łusia oddaną być nie umiała, ale niech cię Bóg uchowa, jeżeli mi kłamiesz... Nie, nie! Ja wiem, że ty w tej chwili nie kłamiesz, ja wierzę w ciebie, ty szatanie — łasiła się i przeciągała lubieżnie wzdłuż jego ciała... ale... zerwała się nagle:

— Jeżeli ty mnie zdradzisz...

Wiem już wiem, do czegoś zdolna, słodka, piękna Ado — pomyślał Bielecki — a ciemny, głuchy lęk przed najgorszem niebezpieczeństwem załopotał w jego sercu...

— Wszystko, wszystko dla ciebie teraz zrobię, teraz, kiedy mnie kochasz, tak kochasz — powtarzała to, jakby sobie i jemu to zasugestjonować chciała. — Ja tylko ciebie pragnęłam, nie myślałam, żebym pokochać mogła. — Ja nie wiem nawet, czy cię kocham — i jestem ci wdzięczną, że mnie o to nie pytasz — ja chciałam tylko, byś ty, ty mnie pokochał... o — o! nie myśl, że na to, by nad tobą panować, by wykorzystać tę przewagę, jaką miłość daje...

Bielecki myślał, jak taka przewrotna nawet kobieta, jak Ada, tak się z swojemi najskrytszemi zamiarami zdradzać może.

Znowu spojrzała na niego nieufnie.

— Nie, nie — tyś nie kłamał, ty mnie... w tej chwili kochasz!

Urwała i zamyśliła się chwilę...

— Powiedziałeś, że taką drobnostkę, taką podręczną robotę, jak Kotowicza, mnie powierzasz...

Zawahała się chwilę... Zawinęła w duży węzeł nad karkiem rozpuszczone włosy, i schwyciła jego rękę z nagłem postanowieniem.

— Za parę dni przeniesie się Kotowicz do wieczności!

Nie powiedziała to głośno, ale takim jadowitym sykiem, że Bielecki drgnął... na razie nie wiedział, czy z grozy, czy z radości — w każdym razie Kotowicz nie był dla niego wcale drobnostką...

Wyprężyła się, wlepiła oczy w sufit w ciężkiem zamyśleniu. Patrzył na nią. Gorące refleksy ognia z kominka odbijały się czerwienią w jej ogromnych, błyszczących oczach, pręgowały złoto czerwonemi pasami jej długie, smukłe nogi, jej smagłe ciało. — Bielecki patrzył i myślał o złotawej miedzi włosów, okalających maleńką twarz pani Ligęzy.

— Twoja babcia na starość zawarła ślub z duszą wszechświata: zaśmiała się cicho — to tak ciemno powiedziane—daleko wygodniej powiedzieć: z prochuś powstał.

— I w proch się obrócisz — dokończył.

— To już racjonalniejsze.

— Więc babcia twoja w proch się obracać poczyna, ale jaki zysk stąd dla ciebie?

— Jaki? bardzo duży: swoją śmiercią okupiła moje fałszywe podpisy na wekslach.

— Czyli: wyratowała cię od katorgi — a co dalej?

— Nie wiem... nie głupi byłem testamentu

szukać — tkwi pewno od dawna w żelaznej szafie jakiegoś banku.

— Więc jesteś teraz na blank?

— Jeszcze mi kilkanaście rubli zostało.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— To nie wypada, byś ty — ty wielki, mocny człowiek, pozostał bez pieniędzy — ale to drobnostka—za parę dni będziesz je miał... Ty dużo na mnie wydawałeś. No — no — nie marszcz się — cóż znowu? Może mnie się zapytasz z jakiego źródła? Uczciwie, rzetelnie mogę ci powiedzieć...

Patrzyła na niego znowu tem fatalnem głębokiem spojrzeniem przymróżonych oczu, z którem całkiem do ładu dojść nie mógł.

— Nie możesz odgadnąć?

Przemilczał jej pytanie.

— Od Poraja!

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał.

Zaśmiała się chełpliwie.

— Widzisz, o ile ja jestem uczciwsza od ciebie—ty się bawisz w hypokryzję—przecież, gdyś mi Poraja przyprowadził, miałeś jasny cel na myśli — a ja go odrazu w lot pochwyciłam i wykonuję twoje plany. Widzisz, widzisz, jak sobie bliscy jesteśmy, jeżeli cię tak intuicyjnie przeczuwam. A że, Heniu drogi,

mówiłeś, że mnie kochasz, więc nie mamy przed sobą tajemnic... i możesz śmiało powiedzieć: Jakie szczęście, że się nam ten Poraj pod rękę nawinął!

Teraz Bielecki podniósł się z tego „legowiska", które Ada przed mocno rozpalonym piecem usłała.

— Prawda! To byłoby zbyt głupie, gdybym się miał przed tobą z czemś kryć...

Przez chwilę zastanowił się, czyby teraz nie zamarkować zazdrości o Poraja, coby wypadło bardzo efektownie, a Adę utwierdziło w jego miłości — och, jak mu się śmiać chciało — do niej, ale już był za bardzo zmęczony.

— Istotnie dobra myśl — tylko się mylisz, że się bawię wobec ciebie w jakąś hypokryzję. Gdybym nie był tak przeświadczony o twojem oddaniu i miłości do mnie, tobym cię... tu zauważył, że musi położyć koniecznie jakiś silniejszy akcent — prędzej utłukł, zaczembym się na twoją propozycję zgodził, ale ponieważ absolutnie i bezwzględnie ci ufam, więc rzeczywiście będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli się o jakąś pożyczkę u Poraja dla mnie wystarasz — raz ci jeszcze powtarzam: o pożyczkę... Możesz mu powiedzieć, że jestem w kłopotliwem położeniu — zachichotał szyderczo — lękał

się tylko, czy nie z bolesnym odcieniem — ja jestem na zbyt szerokiej widowni, więc w żaden sposób nie wypada mi się wprost, osobiście do niego zwrócić...

Ty zaś, jako moja przyjaciółka — no już wiesz, co dalej...

— Z dnia na dzień coraz więcej cię podziwiam! Jakie ty masz przenikliwe oczy, jak ty wprost po napoleońsku umiesz rozważać szanse, jednym rzutem ogarniasz cały bilans — w tej chwili widzisz, jakie plusy lub minusy cię czekają... nie dziw, że tak do ciebie przylgnęłam: ty jesteś, genjalny...

Bielecki, mimo swego śmiertelnego rzeczywiście „sans phrase", śmiertelnego znużenia, począł nadsłuchiwać.

Stroi kpiny, czy mówi prawdę? Teraz był zły, że zadał się z tą obcą kobietą i tyle jej powierzył, zaczem jej doszczętnie nie poznał.

— A, kobieta — tego ci powtarzać nie potrzebuję, leci na sławę, jak ćma na ogień, a cóż dopiero, gdy w takim sławnym człowieku genjalność odgaduje — a w tym wypadku intuicja kobiety jest dziwnie pewna...

Spojrzeli na siebie.

— Ty myślisz, że ja żartem mówię? nie

nie! Przyznam ci się, że w pierwszej chwili, gdyś Poraja mi przedstawił, posądzałam cię o... o, no? jakby to wyrazić? o nieuczciwą fasję...

— Moja droga, usilnie cię proszę: streszczaj się — mój mózg za zmęczony, bym się mógł w tych uczciwych subtelnościach połapać.

Poczynała go irytować i właśnie dlatego przygarnął ją, słodko uśmiechnięty do siebie.

A potem mówiła szeptem.

Bieleckiego szept jej niepokoił.

— Potem zrozumiałam, że ten Poraj bardzo bogaty, jeżeli mi tyle najkosztowniejszych, najrzadszych kwiatów teraz w zimie, i w pierwsze święto do tego, naznosił do domu — cóż — czy nie zauważyłeś tego?

— A istotnie dusi mnie ten zapach kwiatów — i przypomniały mu się kwiaty Niny:

Gdyby je teraz miał przy sobie!

Spojrzał podejrzliwie na Adę.

Ale Ada mówiła spokojnie, jakby opowiadała o jakimś interesie:

— I pomyśl: ten wytworny chłopak, nie tylko po uszy we mnie zakochany, ale mnie wprost ubóstwia — i... i... urwała.

— No i co?

— I co? Przed chwilą powiedziałam ci,

że pragnęłam twojej miłości, ale jeszcze nie wiem, czy ja cię kocham...

To właśnie mi na rękę — myślał Bielecki — ale patrzył wytężenie w sufit i rozważał, czy opłaci mu się urządzić tej chełpliwej komedjantce scenę zazdrości?

— Moja Ado — powiedział po chwili namysłu — teraz ty nie jesteś uczciwą. Poczęłaś o Poraju mówić, bo chciałaś swoją próżność nasycić i we mnie zazdrość wzbudzić — po co? Ja cię kocham i jestem zbyt pewien twej miłości, by na chwilę pomyśleć, byś mi mogła stać się niewierną... — podziwiał swoją wymowę... — Poraj — ha — piękny chłopak — ale...

Objął ją gorąco ramionami.

— Spojrzyj! czy ja mogę się lękać?!

Nie dokończył zdania... Ada zerwała się z posłania i zgasiła światło.

XIV

Poraj siedział naprzeciw Ady, całował jej ręce z cichem nabożeństwem.

— Ja może się pani wydaję niedoważonym młokosem — mówił — ale przyszedłem do pani z całą powagą szczerego, młodego serca... i wszystko, wszystko, co we mnie jest, pragnąłbym oddać pani... Ja nieskładnie to wszystko mówię, bo właśnie wszystko umiem, tylko mówić nie umiem.

— Pan też świetnie strzela — śmiała się tajemniczo Ada.

— Tak, strzelam świetnie, nie wiem, co to chybiać celu, biję się też na florety tak, że zawodowych mistrzów w podziw wprowadzam, jeżeli uderzę, to w samo serce, i nowy talent teraz w sobie odkryłem, kochać umiem z taką siłą i mocą, jak chyba żaden człowiek kochać nie jest w stanie — jednej tylko rzeczy nie umiem: mówić!

Ada pozrzucała poduszki z kanapy, zsunęła się i siadła wśród nich na dywanie.

— Pani pozwoli, że się do niej przysiądę.

Rzuciła mu jeszcze jedną poduszkę z kanapy.

— Dlaczego pan opowiada, iż pan mówić nie umie, kiedy pan bardzo pięknie mówi? i poco pan się nazwał młokosem, kiedy nie widziałam równie dojrzałego w sądach, pewnego siebie, i swoją drogą wytwornego i niezwykle dobrze wychowanego pana? — Bielecki powiedziałby „całą gębą pana".

Przerwała i popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Rzadko z kim robiłam sobie „ty", ale pan jesteś tak wytwornym, że bez obawy jakiegokolwiek nadużycia, mogę ci zaproponować, byśmy dla uproszczenia stosunku naszego, zrobili sobie „ty".

— Większego dowodu zaufania od pani otrzymaćbym nie mógł — ujął jej rękę z najgłębszym szacunkiem.

Patrzyła na niego badawczo i figlarnie, a potem nagle z zamyśloną powagą:

— Więc słuchaj — dziwne, wcale mi nie trudno tobie „ty" powiedzieć. Ja ci zawsze miałam ochotę „ty" mówić — a po twoich

oczach i po twojem całem zachowaniu widzę, że umiesz szanować to uczucie głębokiej sympatji, jakie od pierwszej chwili do ciebie powzięłam...

Trzymał jej rękę, głaskał ją i całą ją wziął w posiadanie.

— Dobry jesteś — może jedyny dobry człowiek, jakiego w życiu spotkałam.

— Tak, ja jestem dobry — powiedział Poraj z głębokiem przekonaniem — o ile dobroć polega na tem, że się drugiego człowieka rozumie i dobroci drugich się nie wyzyskuje.

Ada klasnęła w dłonie.

— Jakeś to pięknie powiedział: co za głęboka prawda! Nie wyzyskiwać obcej dobroci jest istotnie najwyższą dobrocią.

Znowu się zamyśliła.

Nagle pochyliła się ku niemu i patrzyła mu bystro w oczy.

— Teraz cię kubłem zimnej wody obleję — śmiała się na cały głos — wiesz dlaczego chciałam sobie zrobić z tobą „ty"?

— Wiem.

— Nieprawda! nie wiesz!

— Wiem!

— Nie wiesz! ja chciałam z tobą uprościć stosunki, by módz cię poprosić o trzy tysiące

rubli i tem samem dać ci nadzieję, że lada chwila zostanę twoją kochanką.

— To nieprawda, a przytem ja za pieniądze nie chcę mieć kochanki.

— Ale ja cię proszę o trzy tysiące rubli.

— Za chwilę będziesz je miała — ale, ciebie kupić... — zamyślił się — mógłbym tylko moją bezgraniczną miłością, którą już chyba instynktem kobiety przeczułaś — tem jedynie mógłbym cię kupić...

Spojrzała na niego zdumiona, głos zatkał się jej w krtani.

— Powiedz: odkupić! — krzyknęła nagle.

— Z czego? — pytał — jeżeli byłaś czyją, a kochałaś go, to nie tylko, że jesteś odkupiona, ale tem samem się uświęciłaś... Co do mnie, to... — umilkł nagle.

Ważył swą piękną, jasną głowę na jedną i drugą stronę — oczy starej rasy o ciężkich powiekach to się otwierały, to zamykały, blada, ściągła twarz raz po raz drgała, na chwilę czoło się zmarszczyło, ale w tej chwili spogodniało, bo instynkt rasowy nie pozwalał, zdradzać obrotu koła młyńskiego, który mełł ciężkie myśli.

— Słuchaj — nie przeczę, że sprawia mi to nieskończoną radość mówić ci „ty“ zrobiłaś

mi tak królewski podarunek, że wstydzę się, iż nie mam tych skarbów, któremi byłbym zdolny ci się odwdzięczyć...

Patrzyła na niego suchemi, rozgorączkowanemi oczyma.

— Ja ci w tej chwili przyniosę pieniądze, ale pod tym warunkiem, że... ważył słowa — że nie będziesz się starała uwierzyć, tylko będziesz absolutnie przeświadczona, że to są twoje pieniądze, ale ja je tylko, jako twój pełnomocnik, z banku podejmuję.

Podniósł się z dywanu.

Ada patrzyła przed się, miljon lat od niego odbieżała.

— To ja teraz pójdę — powiedział Poraj łagodnie.

Ada nic nie odpowiedziała.

Poraj zbladł, spojrzał na nią z jakimś dziwnie ciężkim, głuchym smutkiem:

— Teraz do takiej, jak panią w tej chwili widzę, nie śmiem mówić „ty"...

— Nie chcę wyzwolenia przez dobroć! — wybuchnęła.

— Mogę dać i inne — uśmiechnięta twarz Poraja była blada i głęboko zadumana.

— Jakie — zerwała się i schwyciła go za ramię.

Poraj nic nie odrzekł: oczy ich wgębiły się w siebie, rozwarły do ogromu ciemnych, przepastnych lejów.

— Co? co? — zapytała Ada z nagłem przerażeniem.

— Nic — powiedział z stalowym błyskiem w oczach — a w tem prostem, głuchem „nic" tkwiła jakaś groza, coś... czego mózgiem objąć nie zdołała...

— Coś powiedział? — Oczy jej rozwarły się niewytłumaczoną trwogą i lękiem.

— Ja? nic...

— Lękam się ciebie! — Usta jej drżały.

Poraj uśmiechnął się cicho: stalowe, zimne błyski zgasły w jego oczach.

— Jesteś przemęczona, zdenerwowana — nie wiem wprawdzie, co to kłopoty pieniężne, ale wyobrażam sobie, że to musi być bardzo męczące.

Oprzytomniała i przetarła czoło, jakby z mózgu ciężką zmorę zgarnąć chciała.

— Ty chcesz iść? Dokąd ty idziesz? Och, jakaż ja nieprzytomna, przecież cię o pieniądze prosiłam — chcesz iść, by mi te pieniądze przynieść?

— Twoje własne, chcesz powiedzieć, z twego własnego polecenia, podnieść z banku —

taka była między nami ugoda: inaczej nie pójdę!

Poraj powiedział to stanowczo z głębokiem przeświadczeniem, że idzie odbierać pieniądze Ady.

— Czekaj, chwilę, jeszcze się namyślę... — przeszła się po pokoju tam i z powrotem i znowu przystanęła przed nim.

— O! tyś dobry — powiedziała i popatrzyła mu w oczy, ale dobroć twoja upokarza, nie wyzwala — na taką dobroć pluję — bo... coś ty powiedział? Że nie tylko dobrocią wyzwolić umiesz — prawda?

— Tak powiedziałem.

— Czem zatem? powiedz mi wreszcie!

— Czyż tajemnica nie jest ciekawszą od realnej pewności?

— Masz słuszność.

Jakiś ciemny chaos myśli kotłował w jej mózgu.

— Jeszcze chwilę, poczekaj, będę się lękała zostać samą.

Poraj spojrzał na zegarek.

— Już w pół do czwartej, a więc mam tylko pół godziny czasu.

— To idź, idź! przynieś mi — chichotała wzgardliwie — trzy tysiące rubli — ale pamię-

taj — stanęła przed nim wyniosła i pyszna — że Ada nawet za miljon rubli nie zostanie niczyją kochanką!

Poraj patrzył na jej wysoką, gibką postać z cichym, dalekim uśmiechem.

— Przecież ja wiem, że tych pieniędzy dla siebie nie potrzebujesz...

Drgnęła.

— Ty wiesz — wiesz o tem? Skąd ty o tem wiedzieć możesz?

— Inaczejbyś mnie o nie nie prosiła...

Ada przez chwilę patrzyła zdumiona na Poraja.

— To... po co mi chcesz je dać? — zapytała ostro.

— Po to — jeżeli już całkiem zapomniałaś, że to są twoje pieniądze — po to, że je potrzebujesz dla kogo innego — to mi wystarczy...

Oczy Ady zamigotały złemi błyskami: schwyciła go za ramię.

— Ty — ty! ja ci nie pozwalam!

— Na co? — zbladłe usta Poraja zadrgały złowrogo.

— Na tę — wściekłą pogardę.

— Dla kogo?

— Wiem, że nie dla mnie... patrzyła wpół

nieprzytomnie na Poraja, potem opanowała się całą siłą:

— Banki za pół godziny zamykają, musisz się spieszyć, a ja cię zatrzymuję — idź, idź, ty słodki, ty, z twoją piekielną dobrocią— wybawicielu, ty... idź! przynieś mi trzy tysiące rubli w samem złocie — pamiętaj — w samem złocie!

W złocie — krzyknęła to na cały głos.

— Zrozumiałem — Poraj skłonił się głęboko i wyszedł.

Po wyjściu Poraja padła Ada wyczerpana na łóżko.

Kochała — kochała tego zimnego łotra... jak on kłamał jej, jak kłamał, gdy jej powtarzał, że ją kocha—Ha, ha, ha! Nie musiałaby siebie znać gdyby na chwilę uwierzyć mogła, że Bielecki jest w stanie kochać... ambicja, wyrachowanie, tak! ale miłość — nie! I właśnie dlatego, że siebie znała... teraz poznała... dławiła się rozpacznym, spazmatycznym wybuchem...

Zerwała się.

— Trzeba przemocą się uspokoić — pomyślała — i jasno i trzeźwo, bez wybryków babskich nerwów, pomyśleć...

A więc—wiązała chaotyczne myśli—wła-

śnie dlatego, że siebie tak dobrze teraz przejrzałaś, musisz sobie uświadomić to, czegoby ci twoja pycha i chęć panowania w żaden sposób przyznać nie chciała, że i on jest w stanie pokochać...

I kocha, kocha, kocha!

Wkrzykiwała to w siebie.

Kocha! słyszała to, jak ryk zranionego zwierza w sobie.

Ale nie ciebie!

Zwinęła się na posłaniu, jak jeż.

Nie ciebie!

Zerwała się z łóżka i zaczęła szybkim krokiem okrążać pokój.

Mówiłaś, że się znasz, a ja ciebie całkiem nie poznaję, ty dumna, harda Ado: ty—ty się zakochałaś i to w — Bieleckim?

Gdzież twój rozum? Gdzież twoja ambicja kobieca, którą się tak pyszniłaś? Przecież uświadom sobie, że ten Bielecki kocha tę wytworną, drobną panią Ligęzę...

Opadła.

Tak, tak — mówiła do siebie z błędnym śmiechem — jeżeli ja — ja... ha, ha, ha! — Ada Karska, władczyni serc męskich, byłam w stanie zakochać się, dlaczegoż Bielecki nie umiałby tego zrobić? on — tak ze mną spokrewniony?

Położyła się jak długa na dywanie, podparła na łokciach twarz i poczęła skubać nitki z dywanu.

Ado! twoje myśli całkiem chore, pomieszane — przecież ty Bieleckiego chciałaś tylko opanować, aby ci był powolnym w przeprowadzaniu twoich ambitnych planów, wszak chciałaś go mieć, jedynie dla dogodzenia swojej próżności i pysze — Poraja, Poraja od pierwszej chwili kochasz, w Poraju się zakochałaś... Poraj, Poraj! jakżeż go mogła z Bieleckim pomieszać?

Zawiedziona ambicja, zraniona duma, upokorzona pycha cię boli i uciska. Jak mogłaś się tak w swoich uczuciach mylić? Skąd mi się nagle Bielecki w myśli wplątał?

Zgrzytnęła zębami, bo zdawało jej się, że już ból zdusiła.

Bielecki! Kto to ten Bielecki?!

Przeszły ją gorące dreszcze, bo teraz owinęła się wokół niego, gryzła go, szarpała, krew jego piła: ogarnął ją szał mściwej wściekłości.

Podniosła się, oparła twarz na rękach — zwolna uspakajała się.

Poraj... tak: Poraj — piękny, wytworny; jego, jego kocham... tak będzie dobrze: teraz damy Bieleckiemu pieniądze — och, czy on odczuje

tę bezgraniczną wzgardę, z jaką Poraj powiedział: przecież tych pieniędzy dla siebie nie potrzebujesz, bobyś nigdy o nie nie prosiła? Czy on to odczuje?!

Co za wzgarda!

Złotem kazała Porajowi przynieść pieniądze, wszystkie dziesięciorublówki wysypie na stół, każe Heniowi przyjść, a potem całemi garściami będzie mu ciskać złoto w twarz i powtarzać słowa Poraja: nie dla siebie o pieniądze prosiła!

Mała — maleńka zemsta za to ohydne kłamstwo, że mnie kocha — za to, że mi te słowa powiedział, a myślał o innej — o tej — tej pani Ligęzie. — Czemu on mi to słowo musiał powiedzieć — dlaczego je musiał — musiał wypowiedzieć?

Ból najgorszego upokorzenia, zranionej dumy skręcił sercem Ady.

Pomścić się?!

Ale czem?

Sama przecież dobrowolnie wplątałam się w wszystkie jego zbrodnie, uświadamiałam mu je nawet, uprzedzałam go w nich i umacniałam — większa odpowiedzialność spadłaby na mnie, jak na niego.

Jedno mi tylko pozostało — szeroki gest Poraja:

Pieniądze Poraja rzucę mu pod nogi, a w specjalnym jeszcze podarunku — a to będzie istotnie królewski podarunek:

Kotowicza mu daruję...

Kotowicza!

Myśl, że Bieleckiemu będzie mogła Kotowicza darować, tak ją rozśmieszyła, że poczęła wić się ze śmiechu.

Widzisz, Heniu — nawet Poraj z swym pięknym i szerokim gestem nie zdołał Ady zdystansować...

Popadła w jakieś półsenne majaczenie.

Przetarła oczy.

Cóż to? przecież ja Poraja kocham... tak — jedynie dobrego Poraja — to z Bieleckim to ciężki — a tak czasem słodki sen... o panowaniu i mocy...

Znowu zbiegł ją gorący dreszcz; widziała go przed sobą w blasku ognia tego, tego... szatana!

Myśl, że ona — demoniczna Ada, mogła coś za szatańskie uważać, doprowadziła ją do równowagi.

Teraz postanowiła przestać myśleć. Przecież teraz ma Poraja...

Już, już! wszystko jest przemyślane, już wszystko załatwione — och! jakie szczęście, że nie potrzebowała dłużej myśleć.

Zanuciła piosenkę:

Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja,
Niech cię prowadzi — święta Łucja!

Skąd jej się to nagle wzięło?

A! Łusia! słodka Łusia! którą z pomocą Bieleckiego posłała na dno morskie. Z tkliwą dobrocią tuliła jej kruczą główkę do piersi... Szkoda, że z panią Ligęzą już tego samego zrobić nie mogła — tak samo potem tuliłaby czule do łona jej miedzianą główkę...

Wsunęła się w kąt sofy, a myśli jej — nie, nie myśli — to, jakby sierść kota głaskała: tak to wszystko, co się w jej głowie przewłóczyło było — no? jakby tu powiedzieć? — mechanicznie przyjemne. —

Była wyczerpana, ogarnęła ją senność; coraz ciszej kołysała się do snu, bo, poco jeszcze czekać na Poraja, który miał przynieść pieniądze dla Bieleckiego — śmiała się, jakby Bieleckiemu psikusa jakiegoś zrobiła... Bielecki, co za Bielecki? doskonały dowcip, że ona przez Poraja wystarała się o pieniądze

dla jakiegoś tam Bieleckiego — nagle zerwała się: dzwonek!

Aha to Poraj wraca — z pieniędzmi wraca... Poraj nie wróciłby bez pieniędzy.

Niesie Poraj swą ciężką wzgardę dla mistrza, ha, ha, ha... a dla niej co?

Otworzyła drzwi, i z głośnym śmiechem przywitała Poraja.

— No jakżesz?

Za Porajem ukazał się na schodach woźny banku z sporym mieszkiem.

— Nic — trudno było dostać tak szybko pięć tysięcy w złocie.

— Pięć? Ja prosiłam o trzy.

Trzy, pięć, to wszystko jedno — pomyliłem się, ale to drobnostka.

Poraj śmiał się, jak chłopak, który jakiegoś figla nauczycielowi spłatał.

Funkcjonarjusz banku postawił mieszek ze złotem na stole.

— Mieszek złota dźwigać i po drodze na nie się nie złakomić, to dużo warte, przyjacielu, w tych ciężkich, bandyckich czasach. — Poraj śmiał się, jak dzieciak, rozwiązał mieszek, zaczerpnął całą garść i dał zgłupiałemu z radości woźnemu.

— Tylko niech pan o tem nikomu nie

wspomina — oblężenie bandytów gotowe... Poraj był dziwnie podniecony.

— Jaśnie panie...

— No co?

— Jaśnie panie... bełkotał woźny.

— Czego? — Poraj spojrzał na niego — łzy radości kapały z oczu człowieka, który nie wiedział, czy to wszystko mu się śni, czy to jawa...

— Aha! — skąpy byłem dla ciebie — w tych bandyckich czasach to za mała nagroda — sypnął mu w czapkę jeszcze jedną garść złotych dziesięciorublówek, a potem wyciągnął serdecznie ku niemu rękę.

— Teraz idźcie — woźny chciał go pocałować w rękę — Poraj szarpnął się.

— Gdybyście mnie oddawna nie znali, nie wiedzieli, kim jestem... nagle zawstydził się.

Tak, woźny wie, kim jestem, ale Ada nie wie: może to, co było u niego naturalnym odruchem, mogłaby uważać za jakąś chęć, popisywania się przed nią swoją hojnością...

Ta myśl była mu tak wstrętną i przykrą, że spojrzał na Adę bezradnie.

— Idźcie już — idźcie!

— Ja nie wiem...

— Dobrze, dobrze — tylko nie dziękujcie!

Łagodnym ruchem wyprowadził go za drzwi — patrzył niepewny na Adę.

Stała przez cały czas na środku pokoju — nie mówiła ani słowa, z natężeniem śledziła tylko twarz Poraja.

— Pan — w tej chwili muszę powiedzieć „pan" — jest zaniepokojony, że ja mogłabym hojność pańską fałszywie zrozumieć — wszystkiem byłam: zbrodniarką, a jak kto chce, to i ladacznicą, ale nigdy ordynarną.

Poraj zmieszał się.

— Pan tak, a nie inaczej postąpić musiał.

Poraj odzyskał równowagę.

— Mów mi pani „ty", Była chwila, że nie śmiałem ci powiedzieć „ty", ale zakosztowałem tej rozkosznej trucizny mówienia ci „Ty", słyszenia z twoich ust tego „Ty", że przez całą drogę nic innego nie słyszałam, jak to rozkoszne „Ty", ciemne „Ty"...

Wściekła nienawiść rozlała się w jej oczach: w głowie jej się teraz pomieścić nie mogło, że dla tego, dla tego łotra Bieleckiego, który teraz pewno w objęciach pani Ligęzy spoczywa... syknęła:

— Czy pan wie, że ja dobroć pańską wyzyskałam dla —

— Przestań pani! — powiedział Poraj sta-

nowczo i poważnie. — Jeżeli chodzi o pieniądze, to w tej chwili zatelegrafuję do swego majątku i pięć razy większą sumę wyrzucę przez okno — ja... pani jest rozdrażniona, chciałbym jednym rzutem wypowiedzieć wszystko, co czuję — a ja mówić nie umiem.

Poraj był w tej chwili tak podniecony, że słowa tłoczyły mu się do ust gwałtem, przemocą, ale zrobił się w jego mózgu zator: kry uczuć i słów tak się spiętrzyły, że żadnej wyrąbać nie mógł.

Ze zdumieniem i lękiem patrzyła, jak cała twarz mu spąsowiała, jak mu oczy krwią nabiegły, a usta i nozdrza mu drgały.

Co za wspaniałe, rasowe zwierzę! — pomyślała Ada — ale instynktownym lękiem odsunęła się od niego.

— Ujrzałem w oczach pani coś, gdyby lęk, a ja przyszedłem z tą jedną, z tą gorącą prośbą, byś mi pani nadal mówiła „ty"...

Ada opanowała się.

— Ty, ty, ty!

— Jeszcze!

— Ty, ty, ty! — mówiła mu szeptem do ucha — miałbyś teraz prawo...

Spojrzał na nią z głębokim smutkiem — tak, że nagle urwała.

— Chciałaś powiedzieć, że teraz, kiedym spełnił twoje życzenie, miałbym prawo czegoś w zamian za to żądać?

Nie wstydzisz się mi tego mówić? przecież przed chwilą powiedziałaś, że możesz być zbrodniarką i rozpustnicą, ale że nigdy nie jesteś ordynarną...

— Przestań! Jakiem prawem do mnie tak przemawiasz?

— Prawem miłości.

Usiadł wyczerpany na sofie.

— To ty mnie kochasz?

— Już ci to powiedziałem — od pierwszej chwili.

— Ależ człowieku, czyż ty znasz moją przeszłość, czy ty wiesz kim ja jestem?

— A cóż mnie to obchodzić może? Kocham cię i na tem sprawa dla mnie skończona.

Tego już Ada zrozumieć nie mogła.

— Jakto?

Było w tem zapytaniu takie zdumienie, że Poraj pomyślał, iż coś niestosownego powiedział i zmieszał się.

— Czy coś obrażającego powiedziałem?

— Nie! nie! — patrzyła na niego, jak na coś wizyjnego.

W mózgu Ady poczęło się plątać — przestała jasno myśleć, tworzyły się w nim jakieś dziwne, niepojęte związki, jęły się wyłaniać uczucia, całkiem jej nieznane. Lęk, trwoga, niepokój, szał zazdrości i obrażonej, zdeptanej dumy targały dzikim huraganem jej sercem.

Oczy jej padły na mieszek ze złotem, z którego przed chwilą pańską dłonią Poraj sypał garściami do czapki woźnego pieniądze.

Zaśmiała się dziko.

Podskoczyła do stołu, schwyciła mieszek, wytrząsnęła go i rozsypała pieniądze po całym pokoju.

Szał — chora wściekłość ogarnęła ją.

Deptała złoto, kopała je, rzuciła się na nie, poczęła je rękoma rozsypywać, ciskać o ścianę.

— Masz! Masz! — syczała: Bieleckiego widziała przed sobą, któremu twarz już krwią ociekała od tego gradu ostrego złota...

— Jak można tak szaleć za człowiekiem, który pani nie kocha?

Oprzytomniała nagle.

— A! a! coś ty powiedział?

— Nic, tylko chcę ci pomódz bawić się... O, siądź tu, ja usiądę naprzeciw — przecież musisz znać grę w kamyczki... Patrz: o tak!

kładzie się na ręku, podrzuca w górę i chwyta się w dłoń... Wziął ją za rękę i posadził naprzeciw siebie — ujął garść złota — a ona tak samo, i poczęli podrzucać je i chwytać z powrotem... Nagle zaprzestała, otrząsnęła się, wyciągnęła się na dywanie i podparła rękoma głowę.

— No co? co? — pytał Poraj.

— Wiesz, ja znalazłam dla ciebie i siebie inną zabawkę.

— Kiedy mi dobrze z tobą i żadnej innej nie szukam,

— Ale mnie ją dasz — a przecież mówisz, że mnie kochasz i wszystkobyś dla mnie zrobił, czego zażądam...

— Co mam zrobić?

— Co? tyś takim panem, że to ci obojętne, jaka — bylebyś mi tylko przyjemność sprawił?

— Dobrze powiedział Poraj i wstał — zrobię wszystko, co zechcesz.

— To ubierz się, pójdziemy.

— Dobrze... nawet pomyślałem o tem, że będziesz chciała się orzeźwić świeżem powietrzem, i zatrzymałem na dole automobil.

— Ty — ty! tak! ty tylko jeden jesteś godzien mego „ty".

Jakby za dużo powiedziała, spojrzała na niego badawczo:

— Co ty o mnie teraz myślisz?

— Tylko to jedno, że z rozkoszą najwyższą spełnię co zechcesz — nie dlatego, bym się miał czuć twoim lokajem, lub kamerdynerem, czy czemś podobnem, ale jedynie dlatego, że cię kocham, a w miłości przestaje istnieć stosunek służalczej zależności.

— A jeżeli ja cię nie kocham?

— Cóż z tego? W takim razie własnemu uczuciu miłości sam służę do mszy.

Przysiadła cicho w fotelu,

— To pięknie powiedziałeś — ale wiesz — ja znowu ci nie mogę mówić „ty"... Książę mnie onieśmiela...

— Chyba chcesz powiedzieć, że ja jestem onieśmielony...

Zrobiła się jakaś ogromna cisza.

Tylko bezmierne, pytające, do dna duszy wnikające w siebie patrzenie:

— Powieziesz mnie?

— Jestem gotów — wstał, włożył futro... A niech pani pamięta: co masz czynić, czyń rychlej!

Już się teraz dłużej nie namyślała.

Zebrała się — zeszli na dół.

— Dokąd? — zapytał Poraj.

— Do kawiarni Schütta... powiedziała z namysłem i wahaniem.

— Do kawiarni Schütta — powtórzył Poraj szoferowi.

Przez całą drogę Ada milczała.

W kawiarni, jak zwykle siedział Kotowicz z nieodstępnym Chrześniakiem.

Ada podeszła do ich stolika.

— Ach! pan Kotowicz... z Porajem się już znacie — pozwolicie panowie, że się przysiądziemy?

— Proszę — odburknął Kotowicz...

— Zły jesteś, czcigodny panie Kotowiczu — pewno znowu wczoraj była jakaś bibka, w której ja niestety uczestniczyć nie mogłam...

Kotowicz udawał, że jest zatopiony w czytaniu gazety.

— Pewno znowu pieniędzy ci brak — cały dzień dziś myślałam o tobie, że mój biedny Kotowicz jest bez kopiejki...

Kotowicz odsunął stołek i począł na nią przenikliwie patrzeć.

— Słuchaj, Kotowiczu — dziwna rzecz, że się Kotowiczem nazywasz. — Ty może jeszcze obiadu nie jadłeś? Ale prawda, ja wiem, że jedzenie cię nie wiele obchodzi —

ale może jesteś wogóle na czczo. — Ja ci zaraz postawię wiele chcesz, pięć, dziesięć, dwadzieścia wzmocnionych — więcej chyba wypić nie jesteś w stanie...

Kotowicz jeszcze milczał.

— Z mitycznym panem Surzyckim musi być też krucho, kiedy stół pański taki pusty.

Czekała, ale i Kotowicz czekał...

— A cóż twoja mała, no Jezus Marja, cóż się tak nagle podnosisz? Ta, ta, jakże ona się nazywa? ta, którą tak ukrywasz — a o której wszyscy wiedzą, że ją pan Kotowicz innym odstępuje — czy też nie zdołało biedactwo Kotowicza wspomódz?

Ha, ha, ha...

— Podła małpo! — zaświszczał ryknął Kotowicz — białka oczu krwią mu zaszły.

W tej samej chwili, gdy te słowa z siebie wyrzucił, nagły, jak piorun, a piekielnie silny policzek uczuł na swej twarzy.

Rzucił się na Poraja.

Ale Poraj zimny już i spokojny, schwycił go żelaznemi ramionami, skręcił go, powalił na kolana.

Wziął Adę pod ramię — rzucił Chrześniakowi bilet wizytowy:

— Odszczekasz, coś powiedział?

Czekał chwilę.

— Jak ten pan przyjdzie do przytomności, to będzie wiedział, do kogo się zwrócić.

— Teraz chodźmy! — powiedział nakazująco.

Prawie pokornie wstała i wyszła z kawiarni.

— Jutro do ciebie przyjdę — powiedział.

— Nie, nie, nie! Teraz bądź ze mną...

XV

Ada już całe popołudnie czekała na Bieleckiego.

Gorączka oczekiwania, niepewności, chwilami wybuchy podziemnej wściekłości targały nią, jak ciężka burza targa sosną na pustej polanie.

— Nie spieszno mu — zgrzytnęła zębami — nie może się oderwać od pani Ligęzy. Jak się sprytnie urządził: naiwnego szlagona pchnął na Nastkę, a teraz może spokojnie i bez przeszkody spędzać całe dnie z panią Niną — a może i noce... Zerwała sie z sofy, tak ją to szarpnęło.

Miałaby ochotę teraz coś na kawały rozrywać, szarpać, niszczyć, pragnęłaby się teraz nad czemś, czy nad kimś pastwić, z rozkoszą patrzeć na czyjąś mękę, ale musiałaby ta męka być już piekielną, niesłychaną, przez żadną najpotworniejszą bestję ludzką jeszcze niewymyśloną.

Mieć teraz coś, kogoś, na kimby mogła szał, który jej serce okręcał, rozpasać w kłuciu szpilkami, przypalaniu do czerwoności rozpalonem żelazem ciała, tak, aby się smażyło...

O fe! poczuła swąd żywcem smażącego się ciała ludzkiego.

Wyjęła z biurka mały sztylecik niezrównanej piękności z najprzedniejszej stali toledańskiej, który sobie kupiła podczas podróży z Bieleckim — teraz jej się nie wiadomo czego przypomniał.

Aha! — zaśmiała się ochryple.

Przydasz mi się — przydasz... w oczach jej rozsypały się iskry, gdyby pryskające odpiłki od sztaby żelaznej, w którą się młotem wali: godzinami lubiła na to, jako dziecko na wsi u swego opiekuna, w kuźni patrzeć — w sercu poczuła kłucie, jakby jej tam ktoś długie szpilki wpychał. Siadła znowu i dyszała.

Nie dam się, jak prosty gałgan wyrzucić na śmietnik, na którym już Łusia spoczywał Nie dam! Powiedziałam ci tyle razy, że musisz być moim, i że cię nie puszczę, a jeżeli już nie będziesz moim, to przynajmniej niczyim.

Znowu się zerwała.

Niczyim! rozumiesz? i z pasją wbiła ostry sztylet w stół z taką siłą, że ruloniki złota, które dla Bieleckiego na nim poustawiała, rozsypały się.

Zaśmiała się.

Z większą jeszcze siłą wepchnę go w ciebie, lub w twoją drobniutką, małą Ninę.

Dzwonek nagle się odezwał.

To on! drgnęła — wszystka krew jej do serca spłynęła.

Chciała wstać i otworzyć, ale myśl, żeby mogła mu się cała drżąca pokazać, nakazała jej czekać, dopókąd się nie opanuje.

A może kazać temu panu przed drzwiami wartować, aż skomleć pocznie i łaski żebrać?!

Ryzykowne! — zaśmiała się sucho — może tylko czeka na taką sposobność, by wcale nie przyjść.

Rozległ się drugi, gwałtowniejszy jeszcze dzwonek.

Już była opanowana — wstała leniwie, pocisnęła guzik elektrycznego światła, spojrzała w lustro, by włosy poprawić i zlękła się swego wyglądu.

Ponowne dzwonienie.

No, no! to niecierpliwy kochanek — pomyślała z złym uśmiechem.

Wyszła na korytarz, otworzyła dzwi i stanęła na progu.

— Bielecki, istotnie Bielecki — a gdzież to mistrz tak był gwałtownie zajęty, że nawet o pieniądzach zapomniał.

— Nie błaznuj, Ada — Bielecki był zniecierpliwiony.

— A, a, widocznie nie ma się powodzenia u pani Ligęzy, jeżeli humor taki zły.

Bielecki nie lubiał się zdradzać z stanami swojej duszy.

— Cóż znowu? przeciwnie, nigdy nie byłem tak lekki, wesół, tylko to musisz zrozumieć, że nie należy do przyjemności pod drzwiami wystawać.

— No dobrze, dobrze, ale pomyśl, jakiś ty niedyskretny: mogłabym teraz mieć Poraja w łóżku...

Spojrzała na niego z ukrytem oczekiwaniem.

Ale Bielecki ani drgnął.

— Ten wypadek był by wprawdzie nieprzewidziany — ale jesteśmy kulturalnymi ludźmi, którzy swojej wzajemnej swobody niczem nie krępują i niczem się nie wiążą — powiedział zimno i oschle.

Wszedł do pokoju, spojrzał obojętnie na rozsypane złoto.

— A! bank założyłaś — a, i widzę sztyleciк wbity w stół, widocznie na znak, że będziesz umiała swego złota bronić... Na co to „enfantillage“ — wyciągnął sztylet z trudem: z taką siłą był wepchnięty — a, piękna rzecz, pamiętam dobrze, jak go kupowałaś — zdaje mi się, że już z góry go dla mnie wtedy przeznaczyłaś — nawet coś tam wspomniałaś, że na wypadek, gdybym przestał być twoją własnością... he, he, spojrzał na nią uśmiechnięty: Wiesz, Ado, całkiem cię nie poznaję — ja — wybacz, ale mi się zdaje, jeśli się nie mylę — że ja pakt przyjaźni i wzajemnej wymiany erotycznego rozpędu i tam dalej — z całkiem inną kobietą zawarłem...

Ada, stała, oparta o ścianę, patrzyła na niego chwilę, jakby go nie widziała, zrobiła automatycznie kilka kroków ku niemu, przystanęła, i nagle przejrzała.

On już jej nawet nie pragnął!

Wstrząsnęło nią nagłe zimno, jakiego już raz doznała, gdy, chcąc się szybko ochłodzić po szalonym tańcu, za którym przepadała, położyła się w lodowni na lód, a co wtedy ciężko przechorowała: oprzytomniała.

Siadła przy stole naprzeciw niego i przesuwała przez palce pieniądze.

Przesypywała je z jednej dłoni do drugiej, kładła je sobie na rękę, podrzucała w górę, chwytała dłonią i mówiła niedbale:

— I ja się na tobie pomyliłam, nie myślałam, że taki mocny człowiek, jak ty, jest w stanie rozmazgaić się w miłości do jakiejś tam sentymentalnej pani Ligęzy — i zdaje się zaraziłeś mnie tą dziecięcą chorobą, bo mnie to samo spotkało: pomyśl tylko, że ta zbrodnicza, demoniczna Ada, wspólniczka twoich pięknych sprawek, zakochała się w naiwnym młodzieńcu, pięknym Poraju! Co ty na to?

— Nic! analogiczny wypadek.

Spojrzeli sobie nagle z wściekłą nienawiścią w oczy.

Raz tylko jeszcze odczuł tę samą wściekłą do niej nienawiść, gdy podczas premjery słuchał zachwytu motłochu, oklaskującego dramat Górskiego, gdy równocześnie myślał o utopionej Łusi — wówczas pragnął Adę miażdżyć kolanami i patrzeć na śmiertelne podrygi i gasnące płomienie życia w jej oczach.

A ona ważyła cały rulon dziesięciorublówek w swej dłoni i czuła nieprzeparte pragnienie z całą rozjuszoną, krwiożerczą zemstą cisnąć mu je w oczy, rzucić się na niego, rozdrapać — za mało! rozorać mu twarz paznog-

ciami, wybruździć ją do kości — by krew strumieniami ciurkała — wyglądałoby to, jak górski szczyt, gdy na wiosnę śniegi na nim topnieją.

Roześmiała się nagle — wiedziała, że to w tych chwilach było jedynem wyzwoleniem ale nie mogła opanować drżenia w całem ciele.

— Co się tak trzęsiesz? — pytał Bielecki.

— Zaziębiłam się — muszę się do łóżka położyć.

— Wiesz — przemówił Bielecki nagle troskliwie — ja muszę niezadługo odejść...

— Musisz pójść? Pewno masz ważne interesa, ja cię nie zatrzymuję...

— Widzisz, to po drodze — mówił Bielecki z dziwnem i niezwykłem u niego roztargnieniem — wstąpię do znajomego lekarza...

— Nie potrzebujesz się trudzić — mówiła Ada, słodko i obojętnie — ja lada chwila oczekuję Poraja.

— Poraja?

— A tak! To ty o tem nic nie wiesz?... A, prawda, przez cztery dni nie było cię w domu. Byłam u ciebie, bo się chciałam zapytać czy nie potrzebujesz pieniędzy.

— Nie, nie! już sam sobie poradziłem.

— Doskonale! No, i gospodyni twoja powiedziała mi, że wyjechałeś.

Spojrzał na nią z podełba.

— No i chciałam ci powiedzieć, że już prawdopodobnie najcięższa przeszkoda zostanie z twej drogi usunięta — bo właśnie dziś odbył się pojedynek Poraja z Kotowiczem — a Poraj jest podobno mistrzem w strzelaniu...

Ale Bieleckiego to wcale nie wzruszyło.

— Kotowicz? Kto to Kotowicz? Co ja mam z Kotowiczem? Biorę mu tylko za złe, że mi przez parę godzin popsuł humor opowiadaniem o jakimś przyjacielu Górskiego — Surzyckim, który wcale nie istnieje — zresztą, to wszystko głupstwo! — machnął ręką.

Teraz patrzyła z ciekawością na niego, nie poznawała go.

I on patrzył na nią obco, ale już bez nienawiści.

A trwało to długą chwilę.

W Adzie szalała podwodna burza, przesuwały się warstwy podziemnych pokładów, przemocą wydzierał się wulkaniczny ogień.

Jak on tę kobietę kocha!

— Tak sobie zawsze wyobrażałam miłość, którą ty raz wreszcie pokochasz! — mówiła przytłumionym głosem. — Wszystko ci wtedy

obojętnem się stanie — nawet to, że mógłbyś kark na pień pod topór kata podłożyć.

— Tak! — powiedział Bielecki. I odetchnął: pierwszy raz w swojem życiu szczere słowo wypowiedział: uczuł to, jako niezmierne, niepojęcie szerokie wyzwolenie.

Ada wstała, zatoczyła się: znowu uczuła w sobie łamanie się, trzeszczenie, zapadanie, walenie w gruzy całego gmachu swoich planów i pragnień.

Koniec! Koniec! powtarzała to błędnie bez końca w swoich myślach.

Jak on wygląda? spytała się bezpośrednio i ta dziwna, niezrozumiała ciekawość doprowadziła ją nagle do równowagi.

Przechyliła się ku niemu poprzez stół i patrzyła na niego, jakby go nigdy przedtem nie była widziała — ale chwilę tylko: siadła znowu i bawiła się złotem.

— Pożyczyłam od Poraja pięć tysięcy rubli — dla ciebie — tu na stole leży cztery tysiące pięćset, bo Poraj pięćset z nich dał woźnemu...

— Ależ ja ani twoich, ani Poraja pieniędzy nie potrzebuję! — szarpnął się Bielecki — co? skąd?

— Pocoś więc przyszedł?

Ubezwładniła ją ta odpowiedź, położyła się na łóżku, podwinęła ramiona pod głowę.

— Po co ja przyszedłem? — Bielecki dźwignął się ciężko z kanapy i zaśmiał się cicho — podszedł do łóżka:

— Przyszedłem, by mej przyjaciółce, powierniczce, wspólniczce moich wszystkich zbrodni i t. d. zwierzyć się, żem się sam sobie sprzeniewierzył, żem popełnił najcięższą zbrodnię, jaką na sobie samym popełnić mogłem...

No? — podniosła się na łóżku.

— Pokochałem!

Skoczyła, jakby ją prąd elektryczny zerwał.

— Precz! — krzyczała zduszonym głosem — precz!

To już było ponad jej siły.

— Precz! — zdało się, że lada chwila coś ją rozerwać musi, że na cząstki się rozsypie...

Bielecki patrzył na nią przez chwilę.

Łusia się na tobie pomściła, pomyślał, i wyszedł cicho z pokoju.

W jasno oświetlonem mieszkaniu była chwila ciężkiej, parnej grozy, jakby się wszystko sposobiło do czegoś niesłychanego.

Ada chciała jakiś straszny krzyk ze siebie wydobyć, ale nie mogła, wiła się na ziemi, tarzała, poczęła się czołgać na kolanach, jak

ciężko zraniony zwierz, który resztką sił chce się doczołgać do swego legowiska: gdzieś, gdzieby mógł swoje rany wylizać, gdzieś, gdzieby się mógł ukryć przed wzrokiem ciekawych, a nagle:

Poraj! krzyknęła, i własny krzyk ją oprzytomnił, wyciągnęła się na dywanie i poczęła, by się uspokoić, bezmyślnie z niego wełnę wyskubywać, to ją zawsze uspokajało.

Przysiadła, podwinęła pod siebie nogi i złożyła ręce jakby do modlitwy:

Poraj! Och — przystań moja — miejsce w którem spocznę!

Kocham cię, kocham — od pierwszej chwili cię pokochałam, boś piękny, cały piękny — w każdym calu pan, pan!... Przyjdź, dlaczego ty nie przychodzisz? ja się myliłam — ciebie jednego kocham — ciebie!

Dzwonienie! raz, drugi, trzeci — jedno szybko po drugiem: to umówione dzwonienie Poraja...

Rzuciła się w nieprzytomnem podnieceniu do drzwi, szarpnęła je:

— Jesteś, jesteś... a tak krzyczało moje serce za tobą, tak wołało — rzuciła mu się na szyję: na cały głos krzyczało za tobą...

chodź, chodź, wciągnęła go do pokoju, zamknęła drzwi na klucz.

— Tak... słyszysz? krzyczałam z tęsknoty za tobą!

W Poraju dokonywała się dziwna przemiana: zdumienie, nagły strach, nagła radość.

Zatrząsł się cały, w oczach rozpaliła mu się watra, od której łuna na całe mile idzie, schwycił ją, przycisnął do piersi:

— Krzyczałaś za mną?! szeptał, a szept jego owionął ją, jak Samum, niszczący żarem wiatr pustynny...

— Kocham cię! Było to, jakby po śmierci Jedynego zasłona od góry do dołu się rozdzierała.

— Jedyny!

W szale, z jakim Poraj w całej tej bezpamiętnej namiętności ją do siebie tulił, wyczuła nagle coś, co ją lękiem zdjęło—wyrwała mu się z ramion.

— Udusisz mnie, zgnieciesz na miazgę! — zawołała.

Pochwyciła błysk oprzytomnienia w jego oczach.

— Rozkoszą mi będzie—powiedziała chytrze, jeżeli mnie zdusisz na miazgę, ale jeszcze

nie teraz... nagle przypomniała sobie, że to już musiało być po pojedynku...

— Tyle dni i nocy mamy przed sobą.

Spojrzał na nią z gwałcącem pytaniem.

— Teraz jestem tylko — tylko twoją... i już się nie pytaj... tyś pragnął mnie mieć — prawda — przyznaj się — wszak chciałeś...

— Adol czemu ty mnie nie chcesz rozumieć? Ty jedna przecież możesz mnie zrozumieć...

Jak jego głos ją koił!

— Mów, mów, ty dobry, jedyny — tyś — jedyny wielkim panem.

Poraj jakby nie słyszał, co Ada mówi.

— Pytałaś, czy cię pragnąłem mieć? to u mnie zupełnie co innego, jak u innych ludzi; zespolenie się z tobą wydawało mi się czemś tak nieskończenie pięknem, że tego piękna pragnąłem — piękna! rozumiesz — to całkiem tak, jakby się ktoś pomodlić pragnął...

— To tak, tak mnie pragnąłeś? — uczuła dreszcz czegoś świętego.

— To moje pragnienie było oczekiwaniem uroczystego święta — to, to — już i powtarzać nie potrzebuję, że mówić nie umię,—ale, gdyś mi przed chwilą padła na szyję, to było, jakbym sakrament przyjmował.

Drgnęła, przerażona tem świętem pojmowaniem miłości... Chwilę tylko, a potem znów objęła go ramionami.

— Mów, mów jeszcze, jak mnie kochasz? Ha, ha, ha... mnie jeszcze nikt nie kochał... tysiące pożądliwych rąk, plugawych, niechlujnych rąk wyciągało się ku mnie, ale nikt mnie nie kochał—powiedz, ty mi powiedz, że mnie kochasz!

— Nie umiem mówić, wiesz o tem, ale tak cię kocham, że uczuwam przykrość, iż człowieka, który cię obraził, jak psa odrazu nie ubiłem — oczy mu nagle krwią zaszły — tylko śmiertelnie raniłem.

Nagle wstał.

— Jeszcze nie umarł, ale rana tak ciężka, że się nie wyliże. Lepiej, że się jeszcze przemęczy, odpokutuje ciężej to, że mi moje piękno chciał plugawić.

Poraj powiedział to z taką zaciekłością, z taką dyszącą zemstą nienawiścią, że Ada na chwilę w nim się zorjentować nie mogła, tylko jedno ekstatyczne uczucie:

Człowiek, który mnie tak kocha, że dla mnie drugiego zabija!

Nie mogła objąć ogromu tego szczęścia:

— Zabiłeś Kotowicza? — pytała.

— Pewno już nie żyje — powiedział to, jakby mimochodem: scena pojedynkowa przesunęła mu się przed oczyma i na chwilę myśl jego odwróciła od Ady.

Był widocznie ciężko zmęczony, bo opanowało go nagłe roztargnienie.

— Dlaczego te pieniądze leżą jeszcze porozrzucane wszędzie na podłodze i na stole? — zapytał.

— A ten sztylet?... piękna robota... — dotknął palcem stali... szarpnął się nagle.

— Wybacz, Ado — jakby się w nim całkiem nowy człowiek obudził — wziął jej ręce, tulił do ust, wiesz, dlaczego byłem przed chwilą roztargniony?

— No, no... powiedz!

— Przez jedną chwilę wydało mi się, że ty chcesz mi się oddać w podarunku.

— Za co?

— Że narażałem swoje życie, jak to ludzie mówią, a nie wiedzą o tem, że ja z rozkoszą oddałbym życie za moje piękno, że go wcale nie narażałem, że przeciwnie...

— To, to, ja jestem twojem pięknem? — pytała Ada chciwie.

— Tak! ty! — wyprężył się nagle.

— Powiedziałaś, że jesteś odtąd moją!? — Oczy jego stały się groźne.

— Powiedziałam! Powiedziałam! I jestem twoją!

Przypadł do niej z bezmierną wdzięcznością.

Znowu mu się wyrwała.

— Niech jeszcze popatrzę, jakiś ty piękny, niech całą duszą, całą sobą ujrzę człowieka, który mnie kocha!

— Czekaj, ty królewiczu, czekaj! — poczęła z gwałtowną szybkością zrzucać z siebie suknie, rozrywać niecierpliwie tasiemki — odhaczała zapinki, ściągnęła, zerwała z siebie wszystko, szarpnęła cieniutką koszulą, tak, że się rozdarła i stanęła przed nim cała naga:

Poraj drżał cały w jakiemś świętem, zbożnem zdumieniu:

— Nie wiedziałem, żeś ty taka piękna — szeptał i powtarzał bezustannie to jedno zdanie...

Oprzytomniał nagle.

— Podarunek?! — było to jak warknięcie złowrogie.

Uśmiechnęła się tajemniczo:

— Własność, twoja własność!

Podeszła do niego wysoka i smagła, gib-

kiemi ramionami owinęła mu szyję: już teraz twoją, odtąd i na zawsze twoją jestem... Tyś moim panem... tobie jednemu pozwalam być moim panem... powiedziałeś, że miłość dla ciebie jest sakramentem — i zrozumiałam, że to jest jakaś tajemna, wielka świętość...

Zaćmiło mu się w oczach — błądził rękoma po jej ciele, całował je i wziął w ramiona, złożył na posłaniu, klął i całował...

Szarpnęła go nagle.

— Chodź!

To nie była już rozkosz cielesna, przestał myśleć, poprzez niego przelewały się fale ognia, stracił poczucie cielesnego istnienia, spadał i wznosił się, budził się i znowu omdlewał, a na usta wyrywał mu się ustawicznie krzyk pełen nieziemskiego szczęścia i dokonania wszystkich jego tęsknot, rozwiązania tak strasznie męczącej zagadki jego bytu, krzyk wyzwolenia:

— Ado!

To wielkie, nieprzeczuwane, niepojęte szczęście! W duszy jego przewalał się ocean bezgranicznej, nigdy nie zaznanej, a tak świętej wdzięczności, że przywarł do jej stóp i całował je w nabożeństwa pełnem uniesieniu —

to nie było uczucie czegoś cielesnego, to jego najżarliwsza modlitwa.

— Ado! — powiedział tak gorąco, tak od dna duszy sobie to słowo oderwał, że na chwilę drgnęła.

Znowu otulił ją, objął całą, pragnąłby ją teraz w sobie całą stopić, razem z nią stać się jedną istotą.

Nagle uczuł, jak się wyprężyła, jak obcą mu się stawała, jak jej ciężkie zamyślenie zaległo nad nimi, gdzieś, gdzieś na wysokim szczycie, gdyby olbrzymia nawałnica śnieżna: formowała się zwolna w lawinę, oderwała od skał i z przerażającą szybkością zwalała się w dół.

Ada lodowaciała — odsunęła się od niego sztywna, obca, tak nieskończenie daleka.

— Ado! — krzyknął i zerwał się z łóżka.

— Co?

— Co się teraz z tobą dzieje?

Siadła oparta o ścianę i zachichotała szyderczo.

— Tak gwałtownie chcesz wiedzieć, co się ze mną dzieje? o! o! powiem ci, piękny, dobry, słodki panie, powiem ci: pieniądze mi przyniosłeś: tam leżą nietknięte, już ich nie potrzebuję — możesz je sobie z powrotem

wziąć. Kotowicza zabiłeś, też już całkiem niepotrzebnie — ale za te wszystkie niepotrzebne przysługi nie mogłam cię bez zapłaty zostawić — dałam ci wszystko: samą siebie.

Poraj stał, jak skamiemiały, oczy krwią mu nabiegły, żyły nabrzmiały, drżał, jak pod brutalnym obuchem topora: oś naokoło której cały jego byt się obracał, pękła — siła przyciągająca i ta centrypetalna i ta centryfugalna w jakiś dziwny sposób się rozerwały: wszystkie światy się zapadały, to straszne „dziś", „jutro" na kawałki szarpało, tak, że krew na wszystkie strony tryskała, a ciemnia słońca w zaćmieniu najdrobniejszy atom światła połknęła...

Oczy jego rozwarły się w obłąkanem przerażeniu.

— Ha, ha, ha — roześmiała się szyderczo: głos jej świszczał, jak hulaszczy wiatr szubieniczny. Wam się zdawało, że ja któregoś z was kochałam?! Ha, ha, ha, co za potworna głupota! Ada nikogo nie kochała, a najmniej ciebie, biedny królewiczu. — Nie chciałam ci tylko pozostać nic winną, musiałam cię czemś zapłacić, a ponieważ jesteś trochę czemś więcej, jak mógłby być mój kamerdyner, więc

hojnie twoje usługi zapłaciłam: zrobiłam ofiarę z mego ciała.

Potoki, strugi, strumienie całe krwi rozlały się w oczach Poraja, cofał się błędny, zataczał, oparł się o stół, ręka w tył wysunięta natrafiła na sztylet, kurczowo go schwycił.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Ada — upojona pastwieniem się, którego tak chciwie pragnęło jej serce.

— Jak się strasznie pomylić można na człowieku! Nie tylko kamerdyner, ten cały Poraj, ale prosty, śmieszny aktor prowincjonalny — Otello — ha, ha... który —

Nie zdążyła skończyć: jednym skokiem był przy niej, rzucił się na nią — chciała jeszcze krzyknąć, ale i tego nie zdołała:

Poraj lewą ręką ścisnął jej gardło, ciężarem swojego ciała unieruchomił ją, a prawą ręką wepchnął szylet po samą rękojeść w jej serce.

— Siedzi! — ryknął nagle na cały głos— w obłędzie i w tej chwili ochłonął.

Zawstydził się tego zwierzęcego ryku — on! który nigdy nie krzyczał, darł się jak prosty ekonom na wsi.

Wstręt i obrzydzenie, jak dwa ogniska

plugawej zarazy, zaczęły swój jad w krew jego wsączać.

On, właśnie on, z swojemi snami o pięknie, z swojem za niem najgorętszem pragnieniem — stał się ohydnym rynsztokiem, przez który przelały się najbrudniejsze pomyje.

Pękła oś jego bytu! Koniec!

Szybko się ubrał: szukał rewolweru, z którym się nigdy nie rozłączał.

Jakto? nie było — obmacywał nerwowo wszystkie kieszenie — widocznie zostawił go w drugiem ubraniu, gdy po pojedynku z Kotowiczem się przebierał.

I jakie szczęście, że go zapomniał: myśl, że jego trupa mogliby znaleźć tu w tym pokoju, przy tej kobiecie, była mu wstrętna.

Spojrzał w stronę łóżka. Ada, cała naga, leżała martwa, podszedł do łóżka, spojrzał raz jeszcze na nią dalekim, obojętnym wzrokiem. przykrył ją kołdrą, pomyślał chwilę, wyciągnął z portfelu swój bilet wizytowy, napisał dwa słowa: ja zabiłem. O mało się nie poślizgnął o złoto przez Adę po całym pokoju rozsypane — pogasił światła i wyszedł.

XVI

Bielecki klęczał u nóg Niny, objął rękoma jej kolana.

— To wszystko co ci powiem, to nie kajanie się: to poczucie nowej, nieprzeczuwanej dotąd wartości w sobie, to potwierdzenie tego, coś już odemnie słyszała...

Piękne podanie mówi o drodze, kosztownem suknem wysłanej, którą król do świętego miejsca pielgrzymuje — tą drogą królewską idzie ma dusza do ciebie.

Światło które od ciebie bije, silniejsze od światła słońca... Światło słońca nie przenika do ciemnego, podziemnego lochu, a twoje rozlało się w najskrytszych ciemnicach mej duszy... tam, gdzie się jeszcze do niedawna jakieś potworne robactwo lęgło, dziś tam słoneczna powódź, odświętne umajenie i czystość... Wszystkie okna się rozwarły, a snopy promieni zwycięsko wdarły się do zatęch-

łej ciemnicy — stało się we mnie tak jasno — że stoję olśniony.

To nie dosyć, że coś mnie zmogło przed tobą na kolana, ja powinienem twoje stopy całować, na krzyż rozciągnięty przed tobą leżeć, bić o posadzkę głową pokłony przed majestatem twego serca...

Pozwól mi tak mówić — to nie piękne słowa, to pragnienie wypowiedzenia, czem dla mnie jesteś, wyrażenia tej wdzięczności, jaką mam dla ciebie.

Głaskała cicho jego głowę.

— Nie tak nawet powinienem do ciebie mówić: najprostszemi słowy modlitwy — jaką się prosty chłop w kościele modli, ciężkiem uderzeniem się w piersi, głębokiem, rozpacznem westchnieniem:

Nie godzien jestem, by światło twej duszy rozanieliło się w ciemnym, zbrodniczym przybytku mojej...

Z trudem wydzierał sobie Bielecki słowa, szukał je, gubił: z ciężką mozolną pracą szukał w ich chaosie tych, któreby były w stanie choć w przybliżeniu wyrazić to, co czuł.

— Nie znam zbrodni, którejbym popełnić nie był w stanie, — ale od pierwszej chwili, gdym cię poznał — urwał nagle...

Spojrzała na niego z cichą, uroczystą prawie powagą.

Silniej jeszcze przytulił się do niej, wcisnął głowę w jej łono, całował jej suknie, ręce jej pieścił:

— Gdym cię pierwszy raz ujrzał — ujrzał oczami duszy, stało się we mnie coś niepojętego: objawieniem to było, światłem oślepiającem...

Coraz gorącej garnął się do niej.

— Tęsknota mnie trawi za tobą, ręce drżą na myśl, że będą mogły utulić w swych dłoniach maleńką twą główkę, pieścić się tą jedwabną falą twych włosów miedzianych — dreszcz mnie przenika na tę niewypowiedzianą chwilę szczęścia, kiedy pieszczota twoich rączek słodkiego dziecka spłynie wzdłuż mego ciała, kiedy usta moje wypalą na twoich stygmat miłości, której głębi nie byłbym w stanie wypowiedzieć, bo siła tych słów musiałaby mi piersi rozeprzeć — sercu krwi by nie stało, by je módz wszystkie wypełnić. — Nie! nie będę ci o tem mówił: to chyba czujesz w każdem drgnieniu mego głosu, mych rąk, mego ciała... Ja cię tak ukochałem, że dotykając się ciebie, zdaje mi się, że świętokradztwo popełniam...

A równocześnie ofiarę swiętą sprawuję...

Od tej małej twarzy, jak w słońcu skąpanej, całej, jak z gwiezdnych promieni uwitej, bije światło, co, jak hyzopem wybiela mą duszę — miedź twoich włosów kosztownych ozłaca każdą myśl moją — a pieszczota twych maleńkich rąk obejmuje nieznanem ciepłem moje serce: Ty — ty!

Zasępiło się nagle w nim — ciemne chmury rzuciły cień naokół — wiedział, że jest w nim jeszcze coś, co wypowiedzieć musi.

Bo była mu jego wielka miłość za świętą: bryła szczerego złota, którą u jej stóp składał za kosztowną, by miał na niej choćby pył przyziemny pozostać...

Chwilę się zawahał, a potem przysiadł, przy niej na dywanie i mówił dalej:

Od pierwszej chwili, gdym cię poznał, miałem nieprzezwyciężalne, obłędne pragnienie opowiedzieć ci wszystkie moje zbrodnie, wykrzyczeć najboleśniejsze tajemnice — ale taka spowiedź byłaby śmieszna, mała i głupia, mógłbym ci opowiadać co najwyżej grzechy i zbrodnie jakiegoś obcego człowieka, boś ty we mnie innego do życia powołała...

Dokonałaś czynu tak twórczego, wobec którego stworzenie dzieła sztuki niczem nie

jest: powołałaś we mnie do życia to, co wszystkiemi siłami w sobie zabijałem.

To wszystko, co ci powiedziałem, jest tylko lichym symbolem tego szczęścia, tej radości, jaka w mej uświadomionej duszy zakwitła: królewskiego, a stokroć razy bogatszego daru jakim od ciebie otrzymał, a który z powrotem u stóp twoich składam: siebie samego odzyskanego, siebie całego, takim, jakim się przez ciebie stałem.

Obsunęła się z fotelu na ziemię, przykucnęła przy nim i objęła go rękoma.

— Kocham cię! — szepnęła.

Wiedział o tem, ani na chwilę o tem nie wątpił, boć przecież jej duszą żył, a jednak jej słowo wstrząsnęło nim całym — twarz jego drgała, do oczu cisnęły się po raz pierwszy w jego życiu łzy — nigdy jeszcze nie zaznał błogiej rozkoszy płakania, a wraz zdjął go nagły lęk.

Może on to wszystko śni? tak mu się to niepojętem wydało.

Drżące palce wczepił w chmurę jej włosów, wodził pieściwemi rękoma po jej twarzy, obejmował jej ciało, przyciskał jej ręce do ust, do skroni, kładł je sobie na czoło, by łaską błogosławieństwa na niego spłynęły.

Świat cały zasnuła mgła gęsta: wypadki ostatnich dni: śmierć Poraja, Ady, Kotowicza, niesłychane o tem artykuły w wszystkich pismach, to wszystko błądziło w jego mózgu, jak nieuchwytne, senne majaki... Jeden tylko strach, jeden przeraźliwy lęk, ścinający krew w żyłach: on jej to musi powiedzieć! — to — to...

Mógł o tem z cynizmem mówić do Ady, mógł zawracać głowę zmarłej Łusi, mógł sam przed sobą kłamać, z coraz więcej rosnącą wściekłością, ale jej to wyznać musi!

Zadrżał do głębi serca, przycisnął Ninę gwałtownie do siebie, jakby mu ją ktoś przemocą chciał wyrwać, a w mózgu uczuł kłójący ból...

— Musi — musi jej to powiedzieć!

— Tobie, może się zdawało, że ja cię pokochałam dlatego, żeś sławnym, wielkim artystą? — zaśmiała się cicho — mam cześć dla sztuki, twoja — do głębi mnie wstrząsnęła ale ona mi nawet przeszkadza w mojej miłości ku tobie...

Znowu myślał, że śni.

Cud się jakiś dokonał.

Zerwał się nagle, porwał ją za ręce ku sobie.

— To nie ja napisałem! — wyrzucił zdławionym głosem i serce mu bić przestało.

A ona przysiadła znowu, pociągnęła go do siebie i uśmiechała się cicho:

— No i cóż z tego? czy piękność coś na tem traci, czy ją Bóg, czy szatan, czy jakaś kosmiczna potęga stworzy?

— Ale ja to skradłem! — krzyknął na głos prawie.

— Mówiłeś, że gdybyś mi opowiadał swoje zbrodnie, tobyś mówił o jakimś obcym człowieku, którego nie znałam, który mnie nic nie obchodzi.

Objawił mu się genjusz miłości, blask jego i święta moc z nóg go zwaliła.

Raz jeszcze podniósł się w nim bunt, uczuł wściekłość szatana, który Boga chce zwalić z jego świetlistego tronu.

Nachylił się ku niej i zasyczał jakimś świszczącym śmiechem do jej uszu:

— Czy ty wiesz, że ty swojego męża zdradzasz?

Rozwarła szeroko zdumione oczy.

Zdradzam? Spełniałam wobec tego człowieka do czasu pewne obowiązki, z których się teraz zwolniłam i o czem on pierwszy

wiedzieć będzie: z miłości ku tobie. Toś chciał powiedzieć?

Po raz pierwszy uczuł się Bielecki pokonany i zmiażdżony.

Był jak oślepiony, przymknął oczy — nie mógł zrozumieć, co się stało — wiedział tylko, że jest pokonany — wsłuchiwał się z natężeniem w siebie: nie czuł upokorzenia.

Z nieprzeczuwalnych źródeł w jego duszy poczęła sączyć wielka powaga, świętość i przerażenie chwili, w której się nowa siła zrodziła.

DZIEŁA
STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE
NAKŁADEM ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR"

HOMO SAPIENS

Głośna ta trylogja, składająca się z trzech oddzielnych wypadkami, ale złączonych ściśle i osobą bohatera i psychologiczną nicią powieści: I Na rozstaju, II Po drodze, III W Malstromie, rozsławiła niegdyś nazwisko genialnego polskiego autora w literaturze młodych Niemiec. W transkrypcji polskiej—tłumaczeniem bowiem przetworzenia tego nazwać nie można — pojawia się obecnie po raz wtóry jeszcze raz gruntownie opracowana. Przeżycia duchowe i erotyczne bohatera Eryka Falka, utrzymują uwagę czytelnika w ustawicznem napięciu, losy nieszczęśliwych kobiet, padających ofiarą jego demonizmu, wzruszają do głębi. Obraz ludzi, wciąganych żywiołowym wirem w topiel życia, wirem, który jednego z nich tylko pcha ku szczęściu, lecz który wreszcie i zwycięzcę pogrąży w toni, imponuje potęgą i barwnością psychologiczną.

MOCNY CZŁOWIEK

Trylogja, złożona z „Mocnego człowieka", „Wyzwolenia" i „Świętego gaju" mogłaby być uważana za powieść sensacyjną, gdyby nie jej wybitne walory artystyczne oraz psychologiczna głębia. Z kinematograficzną wprost szybkością następują po sobie wypadki tej historji, przedstawiające dzieje „mocnego człowieka", nie cofającego się przed żadną zbrodnią, byle osięgnąć zamierzone cele, byle zaspokoić chorobliwą ambicję sławy, władzy, posiadania kobiet. Tym typem, namalowanym przez autora z przeraźliwą jaskrawością, jest Bielewski, który karjerę literacką rozpoczyna od przywłaszczenia sobie cudzych dramatów, ktory bez skrupułów morduje swą kochankę Łucję, naocznego świadka popełnionej kradzieży, który nie cofa się przed zniszczeniem artystycznego malarskiego dorobku własnego przyjaciela, by w pożarze atelier zatrzeć ślady swego występku, który z zimną krwią składa na ofiarę wszystko i wszystkich na drodze do swoich egoistycznych celów. Zbrodniczość stała się jego drugą naturą, nie odwodzi go nawet „Święty gaj" miłości ku czystej jak łza kobiecie, która zresztą w swej bezmiernej miłości nie uwierzy jego spowiedzi. Aż wreszcie syt sławy i użycia rzuci światu publicznie i zuchwale wyznanie swych zbrodni w chwili największego tryumfu.